BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

PRZEZ

I. J. KRASZEWSKIEGO.

CHICAGO, ILL.
Drukiem i Nakładem W. Dyniewicza.
1907.

Boża Opieka

POWIEŚĆ

USNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

PRZEZ

I. J. KRASZEWSKIEGO

CHICAGO, ILL.
Nakładem i drukiem Władysława Dyniewicza.
1906,

Nil timet adversi, quem servat
•rector Olympi...

— Otóż tobie pociecha z tego nieszczęśliwego przybłędy, oto tobie pociecha — zawołał oburącz rwiąc się za siwe włosy gospodarz Hruzda, który wpadł do swej chaty i żonę zastał właśnie mieszącą chleb w dzieży. Jestto, jak wiadomo, jedna Z tych chwil w życiu wiejskiej gospodyni, w których nawet głowa domu nie waży się zatrudnienia przerywać... Robota około chleba to prawie obrzęd uroczysty, nie cierpiący oka i wtrącania się profanów... Chleb, dar Boży, miał zawsze u nas po» szanowanie jak największe; upuszczony na ziemię, człowiek pobożny podnosił, ażeby go ludzie nogami nie deptaii... kładziono go na stole chaty na czystym ręczniku jako oznakę błogosławieństwa Bożego w domu, a umarłemu bochenek na trumnę. Gdy gospodyni miesiła go i w piec kładła, nie godziło się jej przeszkadzać. Mimo to Hruzda wpadł do chaty i krzyczał od progu: — Ot tobie pociecha, ot go masz, twojego głupiego Janka, już znowu zmalował coś... i bodaj że się wynosić będzie rnusiał.

— Co? co? co? — odwracając sie spytała Hruzdzina — co ty tam już trąbisz a wywołujesz na Janka? co ci zawinił? Tobie byle pruszynka, zaraz z niej zrobisz wołu... a dziecko — toć dziecko...

— Ale on mnie nie zrobił nic — rzeki Hruzda, rzucając się na ławę — a no sobie piwa nawarzył. Zawsze mu potrzeba wleźć gdzieś tak, aby się z paniczem zetknął. Ten go do żabawy wyzywa, a głupi Janek nie potrafi, jak inne dzieci, rozpieszczonemu jedynakowi uledz, tylko jakby sam był pańskiem dzieckiem.

— A co ty wiesz, kto on jest? — spytała Hruzdzina.

— Et, co tobie w głowie? Co ma być takie dziecko, co się go pozbywają a na cudze ręce dają, aby z oczu szedł, wielką rzeczą nie może być... jakiś tam grzech ma na głowie, to też mu się nie wiedzie, a i drugim z nim.

— Otóż bajesz — przerwała Hruzdzina — gdyby to prawda była, szczęściłoby mu się, a właśnie, że bieda z nim i koło niego, musi być poczciwie urodzony, tylko mu niepoczciwi krzywdę chcą uczynić.

— Babo, babo! — zawołał Hruzda — już ty siebie ani mnie nie durz.

— A no, cóż się stało? co? gadaj — ocierając ręce z ciasta i wołając dziewki, aby ją wyręczyła, rzekła Hruzdzina, która stała przed mężem w postaci sędziego indagującego. — Gdzież bo jest Ja" nęk?...

— Bodaj aby nie w rękach włodarza albo karbowego, bo go pochwycili do dworu... panicza pono trzasnął czy coś...

Hruzdzina załamała ręce.

— A tyś go tak dał poprowadzić! — krzyknęła

— i nie ujął się za dziecko i nie ratował wychowańca! A toś bo już taki ciemięga...

— Dobraś ty, ja mam pod bizuny iść za przybłędę? Co ja się mam za cudze dziecko ujmować?

— A może niewinny... a toć smarkacz! — wołała Hruzdzina — czyż się godzi dopuścić, aby go katowano.

— No to idź ty i wyrwij z ich rąk swojego faworyta, bo że ja nie pójdę, to pewna. — To mówiąc Hruzda dla tern większego przekonania żony zrzucił z siebie sukmanę i czapkę, siadł za stół, łokcie oba oparł na nim i zamilkł.

Nie wiele też myśląc stara pomruczała coś pod nosem, pokiwała głową, zarzuciła na ramiona przyodziewek i wyszła... W ulicy zaczynało zmierzchać, a był wieczór późnego lata, po świętej Annie, więc chłodnawy... Chmury dzienne układały się pasiasto do snu na widnokręgu... W wiosce słychać było wrzawę dnia kończącego się, skrzypienie studzień, ryk bydła, otwieranie wrót powracających od robót w polu i śmiechy dziewcząt, idących z wodą do chat i fujarki pastuszków... Chata Hruzdów stała w Prądniku niemal przedostatnia od dworu. Dwór naówczas był niezbyt odległy w starych olchach i lipach, a od wioski przedzielała go droga sadzona wierzbami... Hruzdzina wyszła za drugą chatę i spotkała parobka, który biegł ode dworu.

— Za czem bieżysz? — spytała...

— Jegomość kazał łozy naciąć...

— Na co?

— Pono waszego Janka rozumu uczyć będą —• zaśmiał się parobek.

Hruzdzina chwyciła go za rękaw od suit mańki.

■ — Słuchaj Stach — szepnęła — dostaniesz se= ra i biały grosz odemnie, ino mi się z tą łozą nie spiesz. A gdzież dziecko poprowadzili? dokąd?

— A do dworu, włodarz za kołnierz pociągnął. Jegomość fuka i krzyczy, panicz płacze, termedye....Idźcie a spiesznie gosposiu....jeźli go ratować chcecie.bo inaczej to go wam srodze poturbują... Ja się zabawię... boć łozy dla samego pana trzeba naciąć porządnie i zgrabnie je związać w pęczek...

Zerknął szyderczo parobek, a Hruzdzina choć stara nogi znalazłszy, do dworu pobiegła co żywo. Już przed dworskim parkanem i wrotami słychać było wrzawę i lamenty.... a najwyższy głos samego pana, który fukał aż się rozlegało.

— Ja ci tu pokażę, ty byczy synu jakiś — wołał — żebyś ty mi śmiał chamską rękę na szlachecką krew podnieść. A to wam tu już kozaczyzna w głowie, hę! a- no ja wam ją z niej wybiję, jak się patrzy... Ja cię nauczę, że póki życia nie zapomnisz... Rózeg, łozy...

Na te odgróżki wpadła Hruzdzina właśnie... Jegomość stał w ganku między słupkami,w białym kitlu, czapka na bakier, a lice mu się czerwieniło i siniało a tuż Jejmość na ławce siedząca tuliła szlochając chłopię swoje. Na środku podwórza włodarz za kołnierz od sukmany trzymał skulone chłopię, przy nim już i karbowy był na straży. Z pobliskiego folwarku co było dziewcząt i parobków, po-

wysadzało głowy a niektórzy z za wałów wyglądali...

— Gdzie się zapodział Stach! prędzej łóz i — zakrzyczał Jegomość... Na te słowa stara Hruzdzina przypadła i pominąwszy chłopca i włodarza wprost do pańskich nóg przyklękła...

— Mój dobry, łaskawy panie... miłosierdzia dla głupiego Janka... Nie wiem co zawinił; a no wszyscy we wsi wiedzą, że głupi... toż go głupim i zowią.

— A ja go wam rozumu nauczę — krzyczał stary — ja go nauczę! Idź ty mi babo precz... darmo będziesz wisiała u nóg, baty mu dać muszę i krwawe... A no wiesz co uczynił?

— Ja nic nie wiem; ależ to głupie dziecko — powtarzała Hruzdzina.

Wtem Janek, którego włodarz za kołnierz trzymał, począł piskliwym głosem dziecięcym:

—Matuś moja, jam nie głupi, ale mnie: panicz pokrzywdził, tom mu oddał...

— Słyszysz go? słyszysz! — wrzasnął szlachcic — Sam ci się do tego przyznaję... i śmie mówić... Łóz, łóz!

Na miłość Chrystusa pana, ojcze, panie! a toć przecie najlepszy dowód, że głupi — zawołała Hruzdzina — czyżby rozumny śmiał sam na siebie świadczyć...

- A po co panicz do zabawy wyzywa? — piszczał Janek z pod rękawa włodarza, szamocąc się, bo mu ten gębę chciał zatknąć — jam się przecie nie prosił! Dobra to zabawa... nogami kopie i za włosy targa; a po co ja mam znosić...

— To nie może *być* — przerwała matka panicza z ganku— Antek tego nie mógł czynić! A choćby cię w zabawie potrącił nie mogłeś to ścierpieć? nie trzeba ci było przyjść na skargę do dworu? Tyś sobie sam zaraz rnusiał sprawiedliwość czynić!

— Albom ci to ja nadaremnie nie skarżył się? — piszczał Janek... Jeszcze mnie ze dworu nogg, kopnięto...

— Łóz! łóz, na rany pańskie, łóz! Co tego Stacha nie widać... — wołał pan — poszedł i utonął... pogańska wiara... Stara Hruzdzina rzuciła się jeszcze do nóg panu, lecz ten ją popchnął.

— Idź babo do domu... Idź, abyś i ty co nie oberwała...

Gdy się to działo, Janek w ręku włodarza się szamotał i znać niedaremnie. Trzymał urzędnik ów gospodarski za kołnierz sukmany, która byłą dobrze przestronną; chłopiec pono kręcąc się ręce z rękawów zawczasu powydobywał, a dobrze się rozglądał tylko, jakby najbezpieczniej drapnąć... Dziedzińczyk był niezbyt wielki przede dworkiem, z tyłu po za nim i włodarzem wrota stały na drogę otworem.

Z przodu był dwór i płot od ogrodu, w lewo nieco opodal folwark, w prawo stajnie, koło folwarku czeladź zalegała, nie było więc sposobu tamtędy się wysunąć; od strony stajen nie było jakoś widać nikogo, a tuż gęste bzj> i wiśniowy sadek graniczyły z polem, przez które bite rowy i strumienie łozą obrosłe dozwalały o zmroku szukać tam schroniena. Bystre oko głupiego Janka wszystko to postrzegło i znać rozrachowało; zmiarkował też,

iż tu się litości już spodziewać nie było można. Czuł sam nieborak, że nabroił... jedyny ratunek zostawał w ucieczce na pozór prawie nie moż!i= wej, ale dla śmiałka, który już nic do stracenia nie miał, próbować jej się godziło...

Jegomość jeszcze krzyczał: — Łóz! — a na drodze ode wsi widać już było Stacha, który na ra= mieniu niosąc rózgi z pozornym nadążał pośpie- chem, gdy w mgnieniu oka, najniespodziewaniej z ręki włodarza, w której została tylko sukmanka, wyśliznął się Janek i nim ludzie obecni się opamię- tali, szmorgnął w bzy po za stajnią. Co żyło, rzu- ciło się tedy za nim w pogoń... Łapaj, kto w Boga wierzy! wołał -- pan, załamując ręce.

Czy to, że chłopak był zręczny a nogi miał do- bre, czy że ludzie litościwi dlań byli, czy Pan Bóg tak jakoś zrządził — dosyć że Janek jak w wodę wpadł, a gdy Stach z rózgami przyszedł, już bić nie było kogo.

Trudno odmalować wielki a słuszny gniew pań- ski. Jegomość, Jejmość, pokrzywdzony panicz, włodarz, karbowy, czeladź, dziewczęta — wszyst- ko to wypadło z krzykiem w środek dziedzińca, ale że niesłychanemu zuchwalstwu i śmiałości dziecka niepomiernie się dziwowano, łamiąc ręce i lamentując nad tą zgubioną duszą głupiego Janka, który dla swojego dobra ochłostać się nie dał, winowajca drapnął tak, iż najskorszych nóg parobcy, zachęceni do tych łowów obietnicą kie- liszka wódki, nawet śladu jego ani tropu nie znale= źli. Ale wieczór już był coraz późniejszy i w polu

ciemniało, nie sposób go i szukać dalej było po rowach i zaroślach...

Pan się w końcu opamiętał.

— Dać pokój — krzynął, — znajdzie się ten truteń, czy dziś czy jutro, a co miał wziąć dziś dwadzieścia pięć, dostanie czterdzieści... już że go nie minie, to nie minie... Stara Hruzdzina Odchodzić miała, aie pan w gniewie okrutnym zawołał ją nazad...

— Słuchaj stara — rzekł — ani mi się go waż ukrywać, bo i ty i twój i wszyscy, ile was w chacie jest, dostaniecie to, co mu się należało... Jak się tylko pokaże, natychmiast mi go związanego dostawić. Ja go nauczę, ja go na pańskie dziecko targać się nauczę 1

Tak się skończyła o późnym mroku tragiczna ta historya głupiego Janka. Stara Hruzdzina, choć dokoła słyszała powtarzanie: Co się przewlecze, to nie uciecze! — w duszy rada była, że jej wychowaniec tak się zręcznie od pierwszego impetu pańskiego gniewu salwował. Znała naturę ludzką, że czas najzapamiętalszą sierdzistość uśmierza i dziękowała Bogu, ufając jego przyszłej nad dziecięciem opiece. Szła tedy smutna powoli od dworu do chaty, a już prawie się i nocka była zrobiła i ciemno zaczynało być, gdy na pół drogi w płotkach usłyszała szelest i z gęstwiny o mroku ujrzała białą twarzyczkę, a cichy przytłumiony głos ozwał się do niej:

— Matuś, a tom ja!

Kobieta aż zadrżała przelękła, bo było tak jeszcze blisko wrót i podwórca, że mógł kto rozmowę posłyszeć; skinęła więc ręką niecierpliwie na chłopaka, aby się schował, a sama ciągnęła dalej; ale kilka ledwie krzaków uszła, szelest słysząc po za płotami i za sobą, gdy głowa znowu ukazała się po nad krzakami i Janek powtórzył: Matuś! a co mam czynić?

— Idź ino dalej, nie tu w gawędy się wdawać... To mówiąc przyspieszyła kroku stara. Około pierwszej chaty z za płotu wyskoczył Janek i przytulił się do niej...

— Cóżeś to narobił? co? znowu biada? — szepnęła Hruzdzina — a no już dziś nie żarty. Ruszaj pod gruszę na Bartosiowem polu, tam się rozmówimy. Tu jeszczeby nas zejrzeli. Trzeba radzić, ale nie na gościńcu, bo pochwycą.

Janek mknął zaraz, staruszka stanęła, pomyślała, westchnęła, przeżegnała się u krzyża i powolnym krokiem, miedzą i oglądając się po za siebie, czy kto za nią nie idzie, albo nie widzi, osunęła się między polem swojem a Bartosiowem ku gruszy.

Była to jedna z tych poważnych, starych dziczek, które od wieków rosnąc w polach służą zimą do rozpoznania się czasu zamieci, a latem gromadzą pod swym cieniem w upały obiadujących w polu. Bartósiowa grusza była prababką wszystkich w okolicy. Pień miała, co go we dwóch objąć trudno było, konary grube i rołzożyste, choć je kijami jesienią zbijając dziczki uszkadzały chłopięta, odnawiała się tak, iż śladu corocznego męczeństwa

nie zistawało. Chłopak do gruszy posunął się chyłkiem naprost przez pole, a żwawo i pierwszy stanął u niej. Dopiero w dobre ćwierć godziny przysunęła się stara Hruzdzina. Ciemno już było zupełnie na dworze, tylko od zachodu nieco światlejsze niebo, poprzerzynane ciemnych chmur pasami, jaśniało. W polu ucichło, we wsi psy tylko chwilami naszczekiwały, a na górze na ciemnicy nocnej łyskała gdzie niegdzie blada gwiazdeczka; pod gruszą na małem kiłku darniny kilka kamieni leżało, na których ludzie siadywali. Siadła też zaraz na jednym z nich Hruzdzina, podparła się łokciami i choć chłopak stał tuż przed nią, zrazu jakoś głosu z piersi dobyć nie mogła.

Janek przysiadł a raczej przypadł na ziemię naprzeciw niej i wzdychał, nie ważąc się też odzywać.

— Cóżeś to znów nabroił, co? — poczęła zwolna tęsknym głosem stara — niedobry chłopcze.

— Czekaj matuś, pozwólcie, powiem wszystkie jak na spowiedzi^.. Jeźlim zgrzeszył, to nie wiele, Bóg widzi — łagodnie odrzekł Janek. — Tak było: Szedłem ja z pola do domu od roboty, bom ci nie próżnował, a jeszcze się Jagusina krowa była zbiła z drogi i zabiegła w szkodę, tom jej pomógł podpędzić, aby nie złapali do dworu. Tylko com na gościniec podle dworu wstąpił, lecz panicz naprzeciw: — Chodź się bawić. — Zdjąłem czapkę jak należy i mówię: — Niech panicz przebaczy, na mnie nie do zabawy pora, bom zmęczony i w domu robota jest. — Musisz ty ło=

trze — zawołał panicz — ja ci każę. Zaraz mi tu w rów, stać na czworakach, siądę na grzbiet i poganiać będę, pojadę na tobie. — Jeszcze czego nie stało? — rzekłem — toż panicz żartuje, albom to ja zwierzę, aby na mnie ludzie jeździli? Takim ja człek jak i panicz, nie przymierzając. — Mówiłem ;o w żartach, a co jemu się nie podobało. — Jak ty śmiesz gadać, — zawołał — żeś ty taki człek jak ja? Jam pan, szlachcic — a tyś truteń, chamska krew, przybłęda jakiś. — Jeszczem ścierpiał i rzekłem mu:

-- A toć Chrystus Pan za nas wszystkich równo umierał, to nas przecie porównał. — A panicz nie słuchając dalej, jak mnie palnie... Inom się obejrzał, co chcecie, krew do głowy się rzuciła; jak go chwycę za czub, natarłem mu go dobrze... No ? tyle; ten w płacz i ze skargą. Tuż był włodarz, gumienny, karbowy, chwycili mnie zaraz; dziecko pobiegło do jegomości, zrobił się rwetes, lament, sądny dzień, a co potem, to już sami wiecie. Chłopak umilkł.

— Było znieść! — westchnęła Hruzdzina — a nie rwać się na pańskie dziecko, a nie zapominać, c o on a co my. Cóż teraz począć? Stary Hruzda do chaty cię nie przyjmie, będzie się bał i do dworu odprowadzi. Jak się w ich ręce dostaniesz, to cię śmiertelnie skatują. Co ja pocznę, co ty poczniesz! A!Janek, Janek!

— A! Matuś nie lamentujcie — przerwało chłopię ściskając ją za nogi. — Jakbyście wy jeszcze za mnie cierpieć mieli, wołałbym się im sam zaraz w ręce oddać, przecie mnie na śmierć

nie ubiczują. Osieką starsi, to zniosę, przeciw sile nie ma rady, tylko od tego malca nie mogłem ścierpieć, aby nademną przewodził.

— Ja znam ich, — litości mieć nie będą! — rzekła stara, a co ja tu pocznę! co pocznę! Tobie się we wsi nie pokazywać. Słuchaj Janek, niema rady, do jutra przynajmniej kędyś schować się trzeba. Jutro zobaczymy i pomyślimy. Na chatę biedy naprowadzać nie można, Hruzda by mi nie dał spokoju; chyba w polu przenocujesz, a noc zimna.

— O! wielka rzecz! — roześmiał się Janek — albo to pierwszyzna... w rów się wcisnę....

— A i sukmanki nie masz, to zmarzniesz — rzekła Hruzdzina, zdejmując powoli przyodziewek, który na siebie narzuciła była z domu wychodząc... Weź to, weź; ja do chaty dojdę i tak, stary się nie postrzeże, okryjesz się, będzie ci lepiej; nie przyznam się nawet, żem cię widziała, no — a jutro — jutro... trzeba rady i natchnienia Bożego czekać...

— Nie, nie — odparł Janek — już okrycia to nie wezmę, jak Bóg miły, nie. Noc mi nie straszna. Znajdę stóg siana, albo słomę na polu, wkręcę się we środek i będzie mi jak w uchu...

— Ale co jutro! co jutro! — lamentowała staruszka -- ja tych ludzi znam; pan tak łatwo nie przebaczy, a choćby ci zwolniał, to jejmość za dziecko jedyne będzie go do pomsty namawiała... Skatują cię i skaleczą, nie — nie! ja cię nie dam na ręce katowskie... ale cóż począć — cóż począć?

Janek westchnął. — Ponoś mi ztąd trzeba będzie iść — szepnął -• ale wola Boża. Samiście mówili, żem ja nie tutejszy, nie ich poddany, prawa do mnie żadnego nie mają.

— A! tak, święta prawda — przerwała kobieta — oni nie, alem ja cię od maleńkości wychowała i byłeś mi jak dziecko rodzone, gdy Bóg własnych nie dał dzieci... Ja do ciebie prawo mam... 1 cóż mi z tego? co mi z niego?

— Moja matuś — zawoła! Janek — albo to ja choć oddalony wasz nie będę? albo to ja zapomnieć kiedy potrafię, com wam winien?...

— Co mi z tego, gdy cię oczy moje nie będą widziały — mówiła stara. — Myślałam sobie zawsze: My dzieci nie mamy, krewnych nie mamy blizkich, to kiedyś i stary byłby — choć nie lubił cudzego dziecka — przyszedł do mej myśli: i bylibyśmy ci grunt oddali i byłbyś mi oczy zamknął. A teraz...

Stara zapłakała.

— Nie, — rzekła wstając — o sobie myśleć nie godzi się, jutro o nas i losie naszym postanowimy. Weź sukmanę.

— Nie wezmę — zawołał Janek, całując w rękę Hruzdzinę — ino gdzie mi być każecie?

— Sukmanę weź, jam trzy kroki od domu, a noc zimna — nalegała stara.

-- Matuś, nie mogę; jam młody, mnie krew grzeje, a wam po nocy wracać, tobyście kaszlu waszego nabrali.

Mieć ja go i tak będę z samego płaczu — rzekła stara. — A no słuchaj niedobry chłopcze: We dniu

ci się nie pokazywać, idź do drugiej wioski, niby za owcą przepadłą. Znasz na drugim Prądniku kumę MLalichowę, powiedz jej wszystko, oni cię przytulą, a o mroku ja tam będę.

Noc byia już, jak na wsi późna; stara pocałowała chłopca w głowę, westchnęła i poszła, a Janek jeszcze ją do opłotków miedzą poprowadził, aby się nie bała i pocałowawszy w rękę, gdy go żegnać chciała, rzucając mu sukmanę, nie wziąwszy jej zniknął.

Głupi Janek, gdyż tak go powszechnie we wsi zwano, miał, gdy się to działo, Jat trzynaście, a od dziewięciu już wychowywał się u Hruzdów. Dziecko było sierotą i zupełnie nieznanych rodziców; dziwnym też sposobem dostało się do chaty, której gospodarze dobrowoinie je przyjęli i prawie za własne przysposobili. Osobliwie stara Hruzdzina, która miała tylko jednego synka, a ten jej zmarł w pieluchach, znalazłszy w Janku przypomnienie utraconej dzieciny, przywiązała się do niej z prawdziwie macierzyńską czułością.

Dziewięć lat temu jednego wieczora stary Hruzda powracał z Krakowa po piekielnej drodze jesiennej, długiemi desczczami rozbitej i grząskiej, gdy nieco podał od chaty swej na gościńcu postrzegł wózek, który ze złamaną osią leżał przechylony na bok. Chodził około niego mężczyzna jakiś i lamentował, a klął na przemiany. Było to w obyczaju dawnych ludzi, iż sobie najwymyślniej-

szemi przekleństwy ulgę w biedzie czynili; pospo=lita mowa miała na ten cel słownik wymyślnych wyrażeń wielce dobitnych. Uczył się ich każdy, słuchając z młodu i posługiwał w potrzebie, choć się później z tego spowiadał, bo księża na spowie=dziach, znając nałóg, pytać nie omieszkiwali. Nie dziwby było, gdyby prosty lud z pogańskich podań jeszcze pochwycony klątwy w nieszczęściu narze=kał, ale senatorowie i szlachta również się nie wstydzili, kląć co wlazło, gdy się im co na przekór stało. Szlachcic, stojący około wózka, piorunował aż strach. — A! bodaj z piekła nie wylazł, kto tę oś robił i kuł; bodaj go siarczyste, bodaj zczesł, zmarniał jucha, niegodziwiec; przeklęty wóz, we złą godzinę kupiony...

— Cóż to się stało? — spytał zbliżając się Hruzda.

— Albo to nie widzisz? ślepyś! co! oś mi trza=sła... gdzieś baba drogę przeszła, dzień feralny, a tu noc i gościniec jakby prowadził do piekła.

— A gdzie woźnica? — rzekł Hruzda — czy go jegomość posłał?

— Nie posłałem, bo go nie mam; jam sam pan, sam woźnica, nie lubię, aby mnie kto pilnował, nie mam nikogo.

— A zdaleka to jegomość? — szepnął go=spodarz.

— Ot! patrzcie go! będzie mnie brał na spytki a co ci do tego? Chcesz pomódz, to Bóg zapłać, a nie, daj mi pokój święty i ruszaj w swoją drogę.

Hrużdzie się go żal zrobiło; para koni tęgich po kostki stała w grzęzkiej kałuży, sam pan brodził w niej chodząc w około i nie wiedząc, co począć...

— Wiesz jegomość co? — rzekł — wyprzężmy konie; tu niedaleko mój chlewek i stajenka, rzcczy z wózka zabierzemy, a wóz do jutra trzeba zostawić, bo mu po nocy rady nie damy. Oś się do dnia podprawi i pojedziecie, a u mnie w chacie na stole, czy na ławie, czy na sianie w izbie, spoczniecie.

Szlachcic milczał i dumał, pocichu wszakże zdawał się kląć jeszcze... Nie miał do wyboru, rnusiał przyjąć ofiarowaną gościnę. Zajął się więc Hruzda razem z nim wyładowaniem wózka, w którym było trochę rzeczy, wyprzężeniem koni i zaprowadził gościa do domu.

Ponieważ się ciekawych z pobliskich chat zebrała była kupka, pchnął przodem chłopaka do żo=ny, dając znać, że z obcym człekiem przybędzie. Hruzdowie byli gospodarze majętni, zasobni i liczono ich do najprzedniejszych we wsi, tylko się im nieszczęściło w tern, że dzieci nie mieli, a już byli nie młodzi oboje i gospodyni lamentowała wielce nad tern niebłogosławieństwem Bożem. Kobieta była i rozumna i serca poczciwego, obejściem przechodząc męża, który gburowaty, nieco gwałtowny, kwaśny często, jej wpływem dopiero nieco się był ułagodził i poprawił. Wpływ ten jednak znośniejszym go tylko uczyniwszy, w istocie nie wiele odmienił. Szanował żonę, obawiał się jej trochę, słuchał też, ale miewał wybryki i życie z nim słodkiem nie było... Z inną żoną, kto wie do

czego by doszło; ż Hruzdziną na statecznego gospodarza wyszedł i wszyscy to jej przyznawali. Lecz, żeby go prowadzić, nie mało też zręczności było potrzeba. Tym razem Hruzda wiedział dobrze, iż żona mu za przytulenie człowieka w biedzie słowa nie powie, choć do chaty trochę z sobą kłopotu przyniesie. Weszli więc na próg, niosąc kilimki, zawiniątka i dobyte z wózka przybory, a znaleźli już i światło i Hruzdzinę pośród izby w pogotowiu na przyjęcie gościa, jakiego Pan Bóg dał... Dopiero, gdy blask padł na twarz nieznajomego, postrzegł Hruzda, że to był mężczyzna już podżyły, szpakowaciejący, twarzy ponurej, ogorzałej, oczów czarnych, najeżonego włosa i pokulewający na nogę. Silny, żdrów, barczysty zresztą, znać w jakimś przypadku szwankował, ale zawsze jako — kuternoga nie miłe czynił wrażenie. Łysinę i zezowate oczy, mimo przysłowia rychlej człowiekowi przebaczono, kuternogów obawiano się przez pamięć na djabła, który uchodził za kalekę i nogi miał nieszczególne. Mimo, że im się nie najlepiej wydał ów nieznajomy, przyjęto go gościnnie, Hruzdziną usmażyła jajecznicy, on też z podróżnych węzełków dobył flaszki z wódką zasłodzoną i gospodarzy częstował, a Hruzda nie był od tego. Rozgadali się wesoło, posiadawszy na ławach. To tylko było szczególnego, iż ów szlachcic, bo mu szlachectwo z oczów i sukni patrzało, — wygadał się jakoś zkąd był. Powiadał, że jest z niedalekiej okolicy ale nazwiska wsi nie mówił. Nalegać też nie wypadało. O sobie rzekł, że u możnego pana majątkiem rządzi, iż go wysłano do Krakowa dla pokupek i że

dla tej fatalnej osi na czas do domu nie ściągnie. Gdzie zaś ten dom był, jak daleko i jak ów pan się zwał, jakoś nie wypadało mu objaśnić. Wygadawszy się dosyć, poszli spać, a nie bez tego, żeby Hruzdowie mu o sobie nie wyspowiadali wszystkiego, czego tylko chciał słuchać. — Dowiedział się, że dzieci nie mieli, że Hruzdzinie tęskno bez nich było, że im gospodarstwo nie źle się zresztą wiodło itp. Nazajutrz rano Hruzda do dnia wstawszy sam zajął się wózkiem i osią, tak że gdy się rozwidniło, wszystko było gotowe i szlachcic upakowawszy się mógł ruszyć. — Chciał za nocleg zapłacić i gościnę, ale gospodarze nic nie wzięli, nawet za ćwiartkę owsa, którą dali koniom. Przyrzekł więc podróżny, że ich w przyszłym tygodniu z gościńcem nawiedzi. Ledwie był za wrotami, zapomniano o nim i o całej przygodzie. W dni jakoś dziesięć nad wieczór stanął wózek przed chatą i konie uwiązawszy do płotu, kuternoga wszedł pozdrowić Hruzdów. Samego naówczas nie zastał, tylko babę. Położył na stole kilka kołaczów i butelkę miodu, a sam trochę na ławie spoczął. Hruzdzina chętną była do gawędy; ni z tego ni z owego szlachcic powiada:

— A tó wam za dzieckiem tęskno, hm! prawda! że kobieta do tego stworzona, aby pielęgnowała je i smutno bez nich..., a ja, wdowiec i sam jeden mam z chłopakiem kłopot; nie mój ci to on jest, ze wsi sierota, alem go w pieluchach wziął i za swego niemal z litości i miłosierdzia chował. Tymczasem, gdy mi żona zmarła, teraz dojrzeć nie ma komu dziecko bez dozoru przepada.

Hruzdzina słuchała, serce jej uderzyło, nie odpowiedziała nic, westchnęła tylko.

— Wyście to dobre ludziska — rzekł obcy — jabym wam oddał moją sierotkę i za utrzymanie zapłacił, bo to się u mnie zmarnuje... Syn wieśniaka toby się tu i gospodarstwa przyuczył...

— A dużo ma lat? — zapytała Hruzdzina...

— Cztery dopiero...

Jakkolwiek na dziecko to wielką miała pożądliwość kobieta, nie śmiała na siebie wziąść, żeby przez męża przyrzekać, iż się je wychować podejmie.

— Mój jegomość — rzekła — jak mój powróci, trzeba, żebyście z nim o tern pomówili; jam nie od tego: aie bez męża nie śmiem nic.

Tymczasem szlachcic się spieszył, a Hruzdy nie było, odjechał więc, poleciwszy gospodyni, aby się z mężem rozmówiła, obiecując, iż drugim razem po odpowiedź zajedzie. Gdy Hrużda nadszedł, miodowi i kołaczom był rad, lecz na opo=wiadahie żony głową strasznie trząść zaczął.

— A daj mi ty święty spokój! a na co mi ten kłopot! dziecko cudze! kto wie, jakiej natury, chorowite może, zdziczałe, krzyku będzie chata pełna...

Hruzdzina zamilkła, umiała jedndak tak prowadzić sprawę, iż po maleńku męża skłoniła i przekonała, że chłopiec by się im przydał, a dalej, dalej i pomoc z niego będą mieli. — Miała czasu dosyć na powolne nawracanie męża, na namowę i prośby, aby dziecko choć na próbę wziąć dozwolił; a że kobiety umieją, gdy pragną czego,

użyć wszelkich środków, jakiemi działać można, skłoniła w końcu Hruzdżina starego, iż się zgodził chłopca wziąć na próbę. Wszakże go zawsze, gdyby im z nim ciężko było, oddać mogli. Żadne z nich nie zastanawiało się nad tem jakoś, że szlachcic kuternoga, choć dwa razy już u nich był, dotąd jakoś zapomniał im nawet powiedzieć, gdzie mieszkał i zkąd przyjeżdżał. Miarkowano tylko z zaprzęgu i częstych wycieczek do Krakowa, że z niedaleka gdzieś rnusiał przybywać.

Hruzdzina już była męża wedle swej myśli do tyła przerobiła, że choć bruczał, nie sprzeciwiał się; ale szlachcica przez kilka tygodni widać nie było. Jednego dnia z rana, gdy Hruzda właśnie w pole się z pługiem wybierał, stanął wózek naprzeciwko wrót i wysiadł z niego nieznajomy kuternoga. Tym razem przywiózł z sobą znać z domu tłustą gęś świeżą zabitą i flaszkę dobrej wódki żołądkowej na tatarskie ziele nalewanej. Hruzdę ściskał jak przyjaciela i zabrali się do chaty, choć chłopiec z pługiem czekał u wrót. Znalazła się u Hruzdzinej kiełbasa i zaczęto śniadanie, ale o chłopcu z razu nie było mowy. Rozmowa była tak zręcznie prowadzoną, iż sam gospodarz coś o chłopcu zagadał. Szlachcic jął go chwalić a stękać, że mu się ta sierota, którą on chciałby na ludzi wyprowadzić, marnuje. — A czemużbyście wy chłopca wziąć nie mieli? — rzekł. — Dzieci własnych nie macie, kobiecie nie będzie tak tęskno, jabym też z chęcią choć i zapłacił za utrzymanie. U nas nikogo nie ma, komuby zwierzyć dziecię.

Hruzda się w głowę poskrobał, ale nie było

powodu odmówienia. Stanęło na tem. iż miał dać sześć talarów rocznie na odzież i bieliznę, a w dodatku obiecywał pół korca pszenicy. Zgodzono się z wielką radością samej Hruzdzinej. Kuternoga zapowiedział, iż w przyszłym tygodniu dziecko przywiezie. Rzecz była postanowiona. Hruzda rękę dał; ale po odjeździe szlachcica, którego znowu zapomniał spytać, skąd był — chodził bardzo markotny. Zato Hruzdzina dnie i godziny niemal liczyła. Minął wszakże tydzień, a szlachcica nie było i dopiero w dni dziesięć, spiesząc okrutnie, jakby go kto gonił, nadbiegł kuternoga na wózku z sobą mając dziecko, wprowadził je do chaty, położył talarów sześć na stole i, obiecując jutro dla dłuższej pogadanki nadjechać, do Krakowa popędził. Czegoś mu dla sprawy jakiejś było strasznie pilno.

Dziecko przybyło zapłakane, wylękłe i zrazu, mimo pieszczot Hruzdzinej, wyrywało się ciągle matki... pytało o matkę... Co dziwniej, znać było i z mowy i z cery i z układu, że bardzo je delikatnie wychowano, nie jak na wieśniacze dziecię przystało. Tchnęło to oboje Hruzdów, a starego najbardziej, że szlachcic tak drapnął, nie mówiąc znowu, skąd przyjechał i jak się nazywał. Czekano nań nazajutrz, ale nie przybył... To nic jeszcze... myślano, że go interes powstrzymał; ale nie było i dnia następnego i jak w wodę wpadł, więcej go już nie widzieli, ani się o kuternogę dopytać nie mogli. Jawną tedy rzeczą było, że ktoś się dziecka chciał pozbyć i fortelu zażywszy tego, dał je do chaty.... a sam zniknął. Z chłopca nic się dowie-

dzieć nie było podobna... plotło dziecko, iż go zrozumieć było trudno, Hruzda klął i mruczał, ale stara się cieszyła. Dziecka jej nie było komu odebrać, pokochała je niezmiernie... Zrazu nie łatwo je przyswoić przyszło, grymasiło, płakało, wydelikacone bardzo jakoś zdawało się; lecz w tym wieku i wrażenia ścierają się łatwo i nawyknienia zapominają... Mały Janek przystał do przybranej matki w końcu jakby własne dziecię.

Z każdym dniem zwiększało się i przywiązanie jego do Hruzdzinej i jej do sieroty. Wychowanie zresztą było takie, jak na wsi być może, żywem słowem i przykładem a karnością. Janek pojętny, roztropny, łagodny ale zarazem ducha wytrwałego, był zaprawdę osobliwszem dziecięciem. Gdy się cokolwiek rozwijać począł, takie okazywał błyski osobliwsze niespokojnego jakiegoś umysłu, iż go dla nich głupim Jankiem przezwano. Głupi Janek nie umiał się jak inne dzieci zastosować ślepo do tego, co mu nakazywano,- ale o każdej rzeczy po swojemu a niedorzecznie rozumował. Ksiądz i klecha uczyli go katechizmu... dzieciak ściśle co do litery wziął przepisy jego do serca,... i świat sobie wedle nich budował. A że w rzeczywistości wiele rzeczy nie bardzo zgadza się z przepisami ewangelii, tego mu wytłómaczyć nie było podobna, ażeby wyjątki były dozwolone i mogły być tolerowane. Dziecko przytem było ciekawe, jak mówią, pytało, dowiadywało się, pragnęło wiedzieć i uczyć się. Hruzda łajał i gniewał się, Hruzdzina wyrozumialszą cichą umowę uczyniła z klechą, który uczył chłopca w wolnych godzinach tyle ile sam

umiał. Nałapał więc ów wiejski żaczek wiadomości różnych, a z niemi bawił się często, jak kot z kłębkiem nici, plącząc je na najosobliwszą krętaninę. Nie było mu można zresztą nic zarzucić oprócz tego dziwactwa i wybryków, pracował chętnie, cichy był i bardzo do przybranych rodziców przywiązany. Ale, że ci się często o niego swarzyli, mimowolnie dowiedział się, że był sierotą, że o rodzicach jego żadnej nie mieli wiadomości i w jaki sposób nieznajomy kuternoga narzucił go Hruzdom. Im chłopiec więcej rósł, tem stary surowiej się z nim obchodził, może dla tego, że mu owa głupota Janka, która jego rozum przechodziła, nie smakowała. — A zawsze on musi świdrować tym swoim głupim rozumem! — mówił Hruzda — a wiecznie mu pytać trzeba, po co? na co? Co tobie trutniu do tego? Ty rób jak drudzy, słuchaj starszych, na chleb zarabiaj, a nie mędruj!

Przeciwnie przybrana matka oczyma miłości poglądała na dziecko i po cichu mu pomagała, aby liznął nauki. Nie szło to jednak dalej nad trochę czytania, nad pisanie krzywe i niezgrabne i śpiew kościelny, do którego klecha go wprawił. Hruzda domyślał się tylko tego, bo się przed nim nie przyznawano do godzin u klechy spędzonych. Nie wiedzieć dla czego, im stara więcej się do dziecka przywiązywała, tem on je coraz mniej lubił a bardziej męczył i pracą nękał. Chłopak ten wyrósł do lat trzynastu, przezwany przez przybranego ojca głupim Jankiem i pod tem mieniem w całej wiosce znany. W ciągu lat dziesięciu Hruzda i w Krakowie. i po jarmarkach dowiadywał się o kuternogę,

ale nie wiedział nazwiska; jednym znakiem, po którym o niego się dopytywał, była to kulawizna. A mało po świecie kulawych? Zresztą żadnego takiego szlachcica nikt w okolicy nie znał. Na targu raz mignął mu człek podobny, ale tak się zwinął zręcznie, iż ociężały nieco Hruzda nie ujrzał go już więcej. Znikły więc wszelkie ślady pochodzenia dziecięcia, nad czem Hruzdzina przynajmniej nie ubolewała wcale; bolała tylko, iż 'mimo wszelkich jej i chłopca starań, gospodarz serca do niego nie miał. Opłakiwała to często po cichu.

Nazajutrz spodziewano się, iż chłopiec gdzieś wypłynie... ze dworu wyszły rozkazy, aby go natychmiast pojmać i dostawić... Janek się nie ukazał. Z południa Hruzdzina, która miała swoje zapasy grosza zebranego ze sprzedaży cebuli i jaj w mieście, powydobywała z węzełków, gdzie co było i oznajmiła mężowi, iż musi pójść na drugi Prądnik po jakieś motki. Stary na nią popatrzał, jakby się czegoś domyślał, ruszył ramionami i nie odpowiedział nic. Dodał tylko po chwili:

— No, a co z Jankiem się stało? co będzie, myślicie?

— Albo ja wiem? — odparła żona.

— A jużciż cobyście nie wiedzieli — rzekł stary — przecież wam był miły, a mówicie tak obojętnie, jakby to wam wszystko jedno, że w wodę wpadł. To już nie może być. Ot, ja wam powiem,

niech powraca, niech chłostę przyjmie, bo na nią zasłużył... i po wszystkiem...

Hruzdzina ruszyła głową, westchnęła.

— Co ja wiem, nic nie wiem! Chłopiec się bić pewnie dać nie zechce... pójdzie w świat.

— A no, ja mówię — dodał Hruzda — że szko=da by było, skóra mu nie ziezie, jak go rózgami osmolą. Co to on lepszego od drugich? albo nas nie prażyli... i nic się nie stało. Pójdzie to na łajdaka, włóczęgę lub na zbója się wykieruje.

- Cóż wy to mnie mówicie?— odrzekła Hruz=dżina — albo ja to wiem, gdzie go szukać i mam go namawiać?

Chłop się rozśmiał.

— Myślicie — szepnął — że ja taki głupi? a dalipan nie. Ta idźcie z Bogiem.

Hruzdżina przyodziawszy się, a węzełków na-brawszy pod pozorem, że przędze niesie, potoczyła się do kumy Malichowej. W chacie zastała tylko staruszeczkę jej matkę, wszyscy byli w polu. Sta-ra na nią ode drzwi mrugnęła, aby do alkierza szła. Tam siedział Janek i płakał trochę. Zamknęły się drzwi i przybrana matka długo siedziała z sierotą, a co radzili i uradzili, nikt nie wiedział i nie sły-szał. Nazajutrz przyszedł klecha na Prądnik, zno-wu szeptali, kartkę przyniósł jakąś i z południa Janek pożegnawszy Malichowę, wyszedł, nikt nie wiedział dokąd...

Przez całych dwa czy trzy dni czujność we wsi była niezmierna, żeby Janka pochwycić. Włodarz i karbowy po razy kilka wpadali do chtay i trzęśli ją aż do wyżek, szukając koniecznie zbiega... Sam

pan, napotkawszy Hruzdę, zagroził mu surowo, jeźliby dziecka nie wydał. Wszystko to nie pomogło. Janka nie było i nie było... gniew też powoli wolnieć zaczął i zapomniano o nim potroszce. Hruzda tylko o niego się dopominał u żony, bo choć, póki był, znęcał się nad nim, gdy go niestało, poczęło mu braknąć chłopca. Bez najemnika obyć się nie było podobna, w chacie zaczęło jakoś smutno bez dziecka wyglądać i dopiero teraz stary się przekonał, że on wiele robił, choć go nie było widać. Nalegał więc na żonę, ta płakała, ale Janka nie wiedziała już kędy szukać.

— Co prawda to prawda — rzekła — wiem, że uciekł, bo się nie chciał dać osiec niesprawiedliwie, ale żebym miała wiedzieć, gdzie teraz jest... to nie. Zresztą kocham ci go jak matka i chciałabym go tu mieć, ale on pono do naszego życia nie stworzony, czemu nie ma sobie po świecie szczęścia szukać?

Dość, że głupi Janek znikł i wszyscy ci, co nań podszczuwali, teraz żałowali i tęsknili po chłopięciu; nawet panicz, któremu czuba natarł, gotów był swoję krzywdę przebaczyć... bo i jemu Janka brakło.

Janek wpadł jak w wodę. Domyślano się wprawdzie, iż najprędzej do blizkiego Krakowa powędrować rnusiał; a no w mieście takięm między mnóstwem żaków a młodzieży, ktoby go tam miał szukać.

W owe czasy Kraków był przepełniony ubogą młodzieżą, która w nim nauki a przez nią drogi do dalszego życia szukała. Szkoły otwarte dla wszelkiego stanu, choć świetności dawniej nie miały, bo już za Zygmunta Augusta na upadek ich narzekano, czegoś przecie nauczyć mogły. Nauka inaczej jak dziś się udzielała, inaczej nabywała, inaczej bo samodzielnie doprowadzała do wyższego wykształcenia. Dzisiaj metodycznie karmią nią instytucye tak urządzone, że gdy z nich wychodzi skończony młodzieniec, nie pozostaje mu już nic do czynienia, tylko tego, co nabył, używać. Szkoła dawniejsza, ułomna, niedostateczna, dawała początki, pojęcia pewne, wskazywała drogi, a człowiek o własnych siłach z tego coś na pożytek swój rnusiał wyciągnąć i z rozpierzchłych promyków a błysków światło otworzyć. Komu sił nie stało, aby samoistnie szedł, ten na pół drogi stanął i dalej już ani się postępować kusił. Fantastycznie czerpano naukę... a zaczerpniętą urabiał każdy wedle swojego smaku... Wyjąwszy nauki matematyczne, gdzie po linii iść i obliczać swe kroki musiano, w innych umysłach bujał swobodny, bo na doświadczeniach się nie opierając, fantazyi skrzydła przypiąwszy, mógł sił swoich spróbować... Wprawdzie 00. Jezuici srodze ciekawość karcili i hamowali śmiałków, lecz umysł ludzki z więzów się tych nieustannie wyrywał... Akademia krakowska przed ostatniemi reformami, które je na nowe drogi pracy wprowadzić miały, wegetowała raczej niż żyła, lecz jak wszędzie w pośród uśpionych i zacofanych, jeśli nie było

ludzi wyjątkowej energii ducha i jasnowidzenia, coby drogi nowe wskazać potrafili, znajdowali się tacy, co mieli przeczucie przyszłości i czuli, że inaczej powinno być niżeli było w istocie.

Do tych to ludzi należał profesor fizyki ówczesnej, z której dziś tylko imię pozostało, ks. kan. Nereusz Hodowski, który uchodził pomiędzy swymi za nieznośnego przekorę, za umysł niespokojny, za człowieka orthodoksyi podejrzanej, chociaż wżyciu prywatnem był łagodny jak baranek i nie miał tych wad, które utrudniają społeczne stosunki.

Znano tę figurę w wyszarzanej starej rewerendzie i zrudziałym kapeluszu, z jednem ramieniem niższem od drugiego, w całym Krakowie. Na ciele wychudłem i skrzywionem, głowa pochylona w dół, wyłysiała, siwa, z twarzą pomarszczoną i żółtą, z oczyma jakby wyblakłemi i patrzącemi gdzieś w inne światy, z ustami dziwnie sfałdowanemi tak, że ich uśmiech można było wziąć za skrzywienie, a grymas za uśmiech — stanowiły zabawną w istocie karykaturę, łatwą do odrysowania dla studentów najmniej nawet mających talentu. Obyczaje ks. Hodowskiego równie dziwne były jak postać. Miał on małą kamieniczkę przy Wiślnej ulicy, o trzech oknach, a nad nią mało co więcej. Na dole jej mieszkał szewc, który mu najczęściej butami za najem "płacił, pierwsze piętro zajmował kupiec, Niemiec, który dopiero handel rozpoczynał i od niedawna się był osiedlił w Krakowie, drugie ks. kanonik dla siebie zostawił, a poddasze służyło za skład i schronienie ubogiego ucznia jednego lub dwóch, którzy księdzu

posługiwali i których on się losem zajmował. Stara kucharka milcząca gotowała jeść po spartańska... razem dla Hodowskiego, dla siebie i dla żaków... Ks. profesor miał od ulicy dwa pokoje, a trzeci od dziedzińca, oprócz tego ciemny kąt na książki... i to mu starczyło. Sypialna izba znajdowała się od wnętrza domu, w dwu pierwszych była izba gościnna, rzadko kiedy otwierana, i pokój, w którym kanonik pracował. Ten właśnie był całem jego schronieniem, gdyż tu stary całe dnie przepędzał, a często i dobrą część nocy. Tu nikomu wchodzić, ścierać, ani porządkować nie było wolno, a wychodząc choćby na krótko, kanonik starannie drzwi na klucz zamykał. Oprócz ogromnego stołu zarzuconego książkami, ściany całe zajmowały pułki pełne, a że i one pomieścić nie mogły foliantów i papierów, wiele ich spoczywało na ziemi wszędzie, tak tylko ułożonych, ażeby i przejście pomiędzy niemi i ścieżki wolne zostały... Wszystko to odwiczny pył pokrywał. Wysiedziane krzesło staroświeckie jedynym było sprzętem, mającym tu prawo obywatelstwa. Izba gościnna wyglądała nieco przyzwoiciej ale i w tej uczonego czuć było. Kanapa, krzesła, stół, komoda, przynajmniej stuletnie... ubierały ją potroszę... Był pomiędzy oknami krucyfiks wielki, który mieszkanie duchownego zwiastował... zresztą na ścianach zamiast obrazów, porozwieszane były mapy, a okazy mineralogiczne, konchy i różne osobliwości natury ubierały pułki i zastępowały ozdoby i fraszki. Tu pod pewnemi warunkami przystęp gospodyni był dozwolonym i otarcie pyłu, w zasadzie przyjęte,

ulegały wSzakże w wykonaniu wyjątkom ze strony kanonika, który obawiał się uszkodzeń i ze strony gospodyni, która nie miała wielkiej ochoty robić tego, za co jej nikt nigdy Bóg zapłać nie powiedział. Do tej też izby mało kto kiedy zaglądał. Sypialnia ascepty nie byłaby skromniejszą nad komnatkę dla spoczynku ks. kanonika; łóżeczko w niej stało ciaśniutkie, wązkie, mnisze; miska, dzban, lichtarz z umbrelką.... Był i klęcznik z brewiarzem... i stoliczek z innemi książkami, bez których Hodowski żyć nie mógł. Wszystko to skromne, ubogie, stare, biedne i liche, służyło od niepamiętnych czasów... i nigdy poczciwy profesor żadnej wygódki dla siebie nie uczuł potrzeby. Za to ostatni grosz gotów był podzielić z ubogim, szczególniej ze studentem, gdy dostrzegł w którym umysł żywy i miłość pracy, a dar szczególny. Litościwym ci był i dla ubogich na duchu, bo serce miał dobre, ale zajmował się najchętniej losem tych, w których zdało mu się, że geniusz odkrywał. U ubogiej młodzieży kanonik był w poszanowaniu wielkiem, chociaż do zbytku jej nie pieścił. Surowy dla siebie, młodym to zalecał za prawidło, żeby rogom rosnąć nie dopuszczali, żeby ciało opanowywali, a pielęgnowali ducha. Dawał jeść, ale przysmaczżków nienawidził.

Człowiek to był z tego tylko, co o nim opowiadamy, znany, zresztą nikt się nie dopytał, co w jego duszy się działo i krążyły o nim najrozmaitsze zdania. Mieli go jedni za uczonego bardzo filozofa, drudzy za dziwaka i marzyciela, inni za pedanta, za mistyka jedni, za niedowiarka drudzy. Dowiedzioną było rzeczą, że ktoś u niego

dykcyonarz filozoficzny Voltaire'a ujrzał w sypialni; wiedzieli wszyscy, iż z katalogu prohibitorum obficie czerpał. Pewną też było rzeczą, że się czasem do łez rozrzewniony modlił, a uczynkami miłości nauki Chrystusowej dowodził. Tymczasem w rozmowie trafiało mu się takiem zdaniem bryznąć niekiedy i szyderstwem, jakby w nim sam najstarszy szatan siedział. Gorszono się też jego sceptycyzmem, bo często gęsto wyrwał się z tern, iż człowiek nie wie zpewnością nic więcej nad to, iż nic nie wie...

Takim był ks. kanonik Hodowski, który żę do żadnych nigdy dostojeństw akademickich nie aspirował, a mimo ubóstwa polepszenia bytu swojego nie pragnął i nikomu nie zawadzał, znoszono go chętnie... Szanowano w nim też naukę i obawiano się jej, bo gdy kto z niepewnem zdaniem się wyrwał, nielitościwie zniecierpliwiony chłostał... Ks. Hodowski miał z całej rodziny jednę tylko siostrę zamężną za rządcą dóbr pańskich w Krakowskiem, która go rzadko odwiedzała, bo się po nim nie wiele spodziewać mogła. Zył zresztą samotny z książkami swemi, z pauprami, z ubóstwem; a że nikt jego i on nikogo nie oszukał... oprócz w kościele, w kollegium i w ulicy lub na przechadzce w okolicy, rzadko go zobaczyć było można. Zycie jego upływało regularnie, jednostajnie, spokojnie... Drzwi przedpokoju zaryglowane; gdy kto do nich zastukał, otwierała mrucząc milcząca stara gospodyni, potem sama pukała do drugich od pokoju, w którym kanonik zwykł był pracować, ale te

nigdy się nie odmykały. Przystęp do nich wzbroniony był profanom; ksiądz wstawał, wychodził do gościnnej izby i uchyliwszy jej drzwi, gościa do niej wprowadził.

A choćby najmocniej był zajęty i najczęściej mu przerywano, nigdy nikomu posłuchania nie odmówił.

Było właśnie południe jednego dnia jesieni, gdy do mieszkania zapukano; gospodyni poszła nie rzuciwszy marchwi, którą skrobała, otworzyć. W progu stał klecha, zarazem będący organistą i nauczycielem szkółki w jednej ze wsi okolicznych. Był to dawny wychowaniec ks. kanonika, człek dobry, ale na którym przecież Hodowski się zawiódł, bo dalej nad klechę nie postąpił. Znała go gospodyni pauprem jeszcze i nic nie odpowiadając na pozdrowienie, poszła do drzwi zapukać; po chwili ks. Hodowski otworzył gościnny pokój i w ciemnej sieni począł się przypatrywać przybyłemu.

—A! to wy, panie Grzegorzu? A no chodź— rzeki -co cię tu przygnało?....

Klecha pocałował w rękę kanonika i wsunął się kłaniając... Niech będzie pochwalony.

- - Ty wiesz kochanku, że ja nigdy czasu nie mam—dodał Hodowski--mów a nie bałamuć. Ars longa vita brevis.

—Ja to za sierotą do dobrodzieja... ale to cała historya.

—Cóż ty chcesz?

—Jak w dym idź, o pomoc dla biednego chłopca.

—Cóż to tam za chłopiec...

—Sierota i biedota...

—Mało sierot na świecie... a zdolny?—spytał kanonik.

—O ile ja mogę sądzić, to bardzo, bardzo—rzeki klecha... Nic nie umie, ale taki umysł świdrowaty.

— Hę? świdrowaty? hę?~ rozśmiał się profesor —jak ty to mówisz? hę? zkąd ty to wziął? dali» pan... świdrowaty!!... świderiiwy!!.... świdrujący!!.... jak sobie chcesz, dosyć żem cię zrozumiał... Świdrowaty twój... co zacz? co zacz?

Klecha westchnął... Kiedy bo to by długo gadać potrzeba... a inaczej to ksiądz kanonik mnie nie zrozumie...

Hodowski ruszył ramionami, cofnął się od progu do pokoju gościnnego, usiadł na krześle zaraz przy drzwiach i z rezygnacyą ręce złożywszy, czekał na opowiadanie klechy.

—Lat temu dziewięć, nieznajomy człowiek dziecko, jakoby sierotę przywiózł na Prądnik i u włościanina zostawił. Wzięli go dobrzy ludzie jakby za własne, bo się więcej o nie nikt nie upominał.... I byłby może chłopiec tam przy nich pozostał... gdyby nie to, że się przygoda nieszczęśliwa trafiła. Panicz ze dworu bawić się chciał z sierotą, a że to dumne licho, dzieci się powaśniły i chłopskie uderzyło... panicza... Skazano je na rózgi... więc uciekło...

—Tak, a ty chcesz, żebym ja tu takiemu wisusowi dał przytułek—rzekł kanonik... To taki ten twój świdrowaty! Ho! ho! świdrowaty! A toć on nic nie umie...

—Jam go potroszę uczył, bo miał do tego okrutną ochotę, można powiedzieć, że łykał mi z ust

słowa chwytając... I proszę księdza kanonika, takie tó jakieś osobliwsze dziecko, że go nigdy uspokoić nie było można, zawsze pytał: dla czego to? a czemu to tak... bez końca. .

— Świdrowaty! świdrowaty!—powtórzył profesor—a co ja z nim robić będę? Jeszcze z takim duchem bestyą, że się poddać nikomu nie chce i paniczów po łbie tłucze! Dobry początek... Ale cóż to, to chłopskie dziecko, jak myślicię, ćży...

Ksiądz nie dokończył i spojrzał, a klecha spuścił oczy.

—Już tego to wiedzieć nie mogę—rzekł—ten co go przywiózł, mówił jakoby chłopskie dziecię było, ale mnieby się to niezdało... za delikatnie wygląda...

—Więc to jeszcze może dziecię nieprawości jakiej i grzechu- odezwał się Hodowski.

—A cóż ono temu winno! —cicho ośmielił się bąknąć klecha.

—Masz asan słuszność—żywo podchwycił Hodowski—i cieszy mię, żeś to powiedział, bom asindzieja próbował... Dziecko nie winno wcale, a jeżeli w istocie opuszczone... trzeba się nięm zaopiekować.... trzeba. Poczciwy jesteś, żeś do mnie przyszedł... Gdzież ono jest? gdzie!

—Od grozy dworu i kary potrzeba to było przechować, zrazu na wsi—mówił klecha—potem aż tu w mieście. Nie było komu dziecka dać... więceśmy je umieścili nie koniecznie dobrze, na Kleparzu w gospodzie na posługach u gospodyni, która garkuchnię trzyma.

—A pfel—zawołał ksiądz-zgubiliście dziecko

co znowu! gdzie! jak!! śliczna akademia, gdzie pi» jaków i włóczęgów na oczach mieć będzie. Dawaj że mi go tu i o resztę się nie troszcz.... Jeśli świdrowaty, ja mu dam co świdrować, ale chłopca, co panicza czubi, trzeba w ryzę wziąć, bo z taką naturą łatwo na szubienicę zajdzie...

Klecha wstał po skończonem opowiadaniu, księdza w rękę pocałował i zabierał się odchodzić— Aleź bo czekaj—rzekł Hodowski. Stancyą na poddaszu znasz... a tam teraz nikogo nie było, pustki... stara Madejowa może od pół roku do niej nie zajrzała, kazać jej oporządzić, to dwa tygodnie będzie gderać nim się zbierze. Ale czekaj... Weź ino miotłę w sieni... a ja klucze zabiorę i choć ze mną.

Profesor suknię plączącą mu się, ręką ujął, klucze z kołka zdjął... klecha stary miotłę, jakby tu wczoraj był, znalazł prędko, i oba wyszli spiesznie, a Madejowa mrucząc tylko głowę za nimi wyściubiła z kuchni i pokiwała nią, zobaczywszy, że kluczów na kołku nie stało. Zrozumiała zaraz, co się święci, i że jedna gęba do karmienia im przybędzie. Wprawdzie chłopcem takim zwykła się też była posługiwać, potroszę, na co ksiądz przez szpary patrzał. Kanonik tymczasem z klechą po wązkich a ciemnych wschodach wdrapali się na poddasze... otworzono izdebkę, w której pająki wygodnie tkackie swe roboty posnuwały.... Mała była, ciasna, zapylona, z łóżeczkiem zbitem z kołków i tarciszek, ze stołem o półczwartej nodze, i stołkiem kulawym. Lecz Hodowski, który dla siebie wiele nie wymagał, zwykł był wychowańców hartować... Był tu rodzaj piecyka wiele nie obiecującego... a

okno światła dawało tyle, ile go ściśle było dla studenta potrzeba.

—Otwórz okno, niech powietrze wejdzie—zawołał kanonik i—trochę przymieść trzeba.

Klecha zrzuciwszy pychę z serca, zamiatać począł... nikt go nie widział. Hodowski znalazłszy podarty papier użył go do ścierania, opatrzył kąty wszystkie...

—Jeszcze tu nie jest tak źle—szepnął—jak myślałem. A młodość! ho! ho! dla niej to parada! Chłopiec ze wsi, wszakci w szopie i na wyżkach sypiał. Parada! parada!! Czego mu ma źle być!...

—Będzie doskonale!—dodał klecha.

—Ale pewno! młodość! młodość! mościdzieju—rzekł profesor — jak król Midas wszystko, czego dotknie w złoto obraca... Siana albo słomy Madejowa się postara... Siennika wiem, że już niema, ale się obejdzie! nakryć... no! nakryć czem dam... Dzbanek do wody ten, któremu nos utłukli... ale bez niego się też posłużyć może... miskę kupię... Ot i cała ceremonia... Hę?

Klecha skończywszy zamiatanie głową potwierdza tylko....

— Przyprowadźże chłopca, wszystko gotowe — rzekł Hodowski —tylko słuchaj, nastrasz go dobrze, żem srogi, żem bardzo srogi, aby znał mores. Niech przyjdzie z tern wrażeniem... rozumiesz, że srogi jestem... Druga rzecz...

Kanonik przerwał i kiwnął głową.—Resztę ja mu sam powiem... tylko go przyprowadź...

Klecha znowu w rękę pocałował staruszka, miotłę zabrał, aby ją odnieść na miejsce, bo Macie-

jowa nie znosiła nieporządku, i zeszli tak na dół... milczący.... Kanonik odprawił dawnego wychowańca, a sam wrócił do książek.

Już było kilka dni upłynęło od zniknięcia Janka ze wsi, i wieść o tym wypadku rozeszła się po okolicy, a zrobiono z niej historyą, bo podobne rzeczy łatwo się zwiększają i rozchodzą pomiędzy włościanami, gdy w nich tkwi coś przeciw dworowi i panu. Opowiadano więc dramatycznie scenę panicza z chłopakiem, i gniew pana, i znalezienie się Hruzdzinej, i jak zręcznie chłopię z rąk się oprawców wyśliznęło. Nie potrzebujemy dodawać, że współczucie między włościanami było dla owego biedaka sieroty... po dworkach też nieprzyjaznych szlachcicowi wyśmiewano się z jego bezsilnych gniewów, zrobiono z tego powieść wcale zabawną, którą przy każdej zręczności sąsiad sąsiadowi podawał, tak że się niemal w calem Krakowskiem rozleciała. W gospodach przy kieliszku śmieli się ze szlachcica włościanie, że mu chłopskie dziecię tak się dzielnie oparło; po dworach ze zgrozą opisywano, czego się to już dopuszcza rozzuchwalone chłopstwo.... żydkowie anegdotę przynosili razem z cielęciną do panów, po miasteczkach prawiono o niej ha targu, zwyczajnie jak gdy ludzie nie mają nic lepszego do roboty, a na plotki się łakomią.

Byli nawet tak ciekawi badacze, że zachodzili do chaty Hruzdów, aby się o prawdzie dowiedzieć. Stary gospodarz zbywał ich markotno, półsłowy i

milczeniem, a gospodyni z płaczem rozpowiadała o swym kochanym Janku, jakie to było chłopię poczciwe, roztropne, pracowite, a że się krzywdzić i urągać sobie nie dało, to może iż czuło Jepszą krew w sobie, a młodzieńcza też buta była wymówką.

Hruzda bodaj czy nie żałował pomocnika na równi z żoną, ale milczał. Jednego tedy dnia, gdy blizko domu pracując na obiad zabiegł do chaty, a właśnie zasłociło się i już na rozpogodzenie potrzeba było czekać, zaturkotało przed bramą; Hruzda wyjrzał schyliwszy się przez nizkie okienko i zobaczył wózek parokonny, który się przed chatą zatrzymał... Woźnicy widać nie było. Hruzdzina podawszy obiad właśnie wyszła do dworu za jakąś sprawą, gospodarz sam pozostał w chacie.... Dczwi się otwarły i mężczyzna okutany płaszczem siwym, wtłoczył się do izby... Twarz miał zasłoniętą kapeluszem szerokim... ale uderzyło to Hruzdę, że na nogę zapadał. Gdy z głowy zdjął przykrycie, pokazał się nie młody, wysiwiały już ale tenże sam człek nieznany, który przed dziewięciu laty Janka przywiózł i więcej się oń nie dowiadując porzucił. Hruzda jeszcze się wahał, gdy ten pozdrowił go od progu i począł:

— Acóżeście to mnie nie poznali, czy co?

Hruzda ramionami ruszył.

Albośmy to znajomi? — rzekł umyślnie — ja was nie znam.

^Jakto?—zawołał szlachcic—jam że to przecież ten sam, co wam dziecko tu dziewięć lat temu na wychowanie oddał!

—A no, a co!—rzeki Hruzda. —Dopiero po latach dziewięciu przypomnieliście sobie to, a mieliście przecież co roku płacić i ordynaryą dawać... a myśmy ani pieniędzy, ani zboża dziewięć lat nie widzieli.

Szlachcic się za trzos pochwycił, który u pasa miai zawiązany.

—Miałem nieszczęście—rzekł—zapędziłem się do krewnych na Ukrainę, i tam mnie Kozactwo pochwyciło... miałem przygody straszne... Jam temu nie winien nic... Jak skorom się uwolnił, wnet oto podążyłem do was z pieniędzmi... zapłacę za wszystko... *

Hruzda popatrzał się na trzos i poskrobał się w głowę.

— A gdzież chłopiec?—spytał szlachcic rozglądając się dokoła.

Na to pytanie star}' nie wiedział co odpowiadać. Stęknął.

—Wszak broń Chryste, nie umarł?

—E! żyje, żyje, nic mu się tam nie stało—odparł Hruzda—a no, od kilku dni go tu nie ma, bo panicza naszego poturbował, chcieli go ukarać, a że dumna dusza bić się nie dał i w świat poszedł. Długo to nie potrwa, tylko co nie widać jak wróci.

Nieznajomy koso spojrzał na mówiącego.

— Ot to mi prawicie—zawołał-banialuki jakieś.

—Jak Bóg Bogiem prawda.

—Toć przecie wiedzieć o nim musicie?

—Ja nie wiem, moja to może tam-co i wie.

Zamilkli oba... Hruzda poglądał na trzos, ale szlachcic dowiedziawszy się, że chłopca nie było,

płaszczem go zakrył i już się z wypłatą długu nie spieszył.

—A gdzież wasza gospodyni?—spytał.

—Poszła na wieś!

—Poczekam chyba aż wróci—ozwał się siadając znowu nieznajomy—bo tak z niczem odejść nie mogę... muszę wiedzieć, co się z dzieckiem stało...

Hruzda poszedł do okna obojętny przypatrywać się, czy słoty nie przepędzi wiatr; ale lało ciągle strumieniami, a Hruzdzinej jakoś widać nie było.

—A jakże, z chłopcaście byli kontenci, czy nie? — zapytał po chwili przybyły — jakże wyrósł, czy pracował? czy niewisusowaty?

—Ja wam o nim nic dobrego nie powiem — mruknął Hruzdda —ja go nie lubił... choć Bogiem a prawdą pracowity był i roztropny, przecie go ludzie przezwali głupim Jankiem....

— Dla czego?

—Et! bo się zawsze dopytywał o coś, a wiedzieć chciał więcej niż drudzy... Zresztą... niczego chłopak, tylko hardy... o! bata mu było potrzeba, a baba go moja tknąć nie dawała. Cała bieda z tego poszła...

—Więc też ona może doradziła mu i ucieczkę, albo go sama schowała? — odezwał się nieznajomy...

Hruzda nie chcąc ani żony obwiniać, ani jej uniewinniać, ruszył ramionami. Obejrzał się po chacie, wyjrzał oknem i szepnął.—Kto ją wie, może baba i wie co o nim... to ją sobie pytajcie, przedemną się ona nie przyzna.

—A jak się wam zdaje?

— Mnie się zdaje, że to jej sprawa... bo dziecko jak własne kochała...

—No i dopomogła mu do ucieczki?

—A może—mruczał Hruzda—kto ich wie.

— Dokąd? jak sądzicie?

—Albo ja wiem... nic nie wiem... Przedemną żebym ją ubił nie powie.

Szlachcic się zadumał.— Poczekajmyż na babę —zawołał—przecie powrócić musi.

Konie stały na deszczu ponakrywanederkami; gość dobył z pod płaszcza flaszki, którą miał na sznurku, i dopominał się chleba.

—Ot, gospodarzu, — rzekł — napilibyśmy się wódki.

Hruzda nigdy nie był od tego, splunął skłaniając głowę. Nieznajomy rachując może na to, iż wódka gębę otwiera, przepił raz i drugi do gospodarza... Siedli zajadając Chlebem z solą, do którego główka też czosnku się znalazła. Hruzda nie był człowiekiem bardzo bystrym, przecież dziwnie go ten po latach dziewięciu znowu zjawiający się gość niepokoił. Jął mu się więc przypatrywać bardzo uważnie, domyślając, że może nie był tym, za którego chciał uchodzić. Spojrzał na ręce opalone były czarne, nie pańskie, ale też nie zapracowane jak chłopskie. Znać człek ten albo wojskowo, albo koło pola służył i pracował lub drugich dozorował, do tego też najpodobniejszym był. Twarz miał ponurą, wyraz jej teraz jeszcze surowszym wiek uczynił... Brwi narosły mu nad oczami. Na czole od upałów snąć, póki kapelusz zakrywał, skó-

ra była bielsza, niżej opalona i od wiatru aż stwardniała. Odzież na nim pożądna a nie wykwintna... dostatnia była a nie wyszukana. Płaszcz z grubego sukna, buty kozłowe, pas skórzany... Wyglądał na włodarza, albo rządcę lub kalwakatora... Mowa też zdradzała obyczaj dworski...

— Coś wasza baba nie powraca!—rzekł gość—napijmy się no raz jeszcze na tę słotę... Napili się.

— Mówcie mi o chłopcu — dodał nieznajomy — wyście go nie lubili jako sami przyznajecie, rychlej się od was prawdy dowiem. Zkądże mu ta buta rosła, kiedy wiedział, że jest chłopskiem dzieckiem a sierotą?

— A kat go wie — rzucił Hruzda... jam mu rogów przycierał a nic nie pomagało... Baba go psuła, jakby jedynaka... Jeśli kto winien, to ona... Myśmy też już po dwóch, trzech leciech nawykli go byli za swego uważać, boście się ani nie zgłaszali, aniście parę puścili.

— Bom nie mógł—mówił szlachcic — na trzeci dzień po zostawieniu go u was spotkała mnie bieda.

—Osobliwsza rzecz—wtrącił Hruzda—i właśnie w kilka dni potem, jego nie stało... wyście się do nas zjawili?

Szlachcic ręką po stole uderzył.

— A co ja temu winien! Mało się to rzeczy tak składa!... Człowiek losem nie panuje, a losy jemu... Jakem tylko się uwolnił przybiegłem...

Drzwi chaty otworzyły się, i Hruzdzina fartuchem okryta weszła. Otrzęsła się z deszczu.

— Niech będzie pochwalony...

— Cóż to matko? nie poznaliście mnie?—spytał wstając podróżny. — Jam ci to waszego Janka ojciec przybrany.

Baba stanęła wryta i ręce załamała...

— Po dziewięciu leciech pierwszy raz... przyszliście się dowiadywać dopiero o niego. W porę... zawołała—a toż go nie ma...

— Wiem już wszystko, i to także, że wy wiedzieć macie, gdzie się obraca...

— Na twarzy starej kobiety widać było jakby chwilkę wahania się i niępewności, zdawało się, że nie wie, co odpowiedzieć lepiej, że rachuje, czy dla chłopca szczęśliwiej będzie dostać się do tego opiekuna, czy zostać tam gdzie był. Wpatrywała się w twarz przybysza i walczyła z przywiązaniem do dziecka.

Wygląda niezbyt dostatnio—mówiła w duchu niewielkie szczęście mu dać może, a sam mówił że to dziecko cudze i że je wziął tylko z litości. Zaprzęże do pracy, odciągnie gdzie daleko... poprowadzi za świat.

Pomyśliwszy tak chwilę odparła smutnie.

—Al gdybym ja też wiedziała doprawdy, co się z nim stało! gdyby! ale zkąd, jak ja o tern wiedzieć mogę? Dziecko ze strachu porwawszy się uciekło... kto wie, gdzie go teraz szukać?

—Jakże się wam zdaje? — niedowierzająco zapytał gość.

— Albo ja wiem! Pana Boga tylko proszę, *że*

by go od nieszczęścia ochronił; nie wiem nic, doprawdy... Toćbym się z tern przed swoim i przed wami nie kryła, bo wiem, że mu źle nie życzycie...

Gość się zadumał... Zwolna zaczął sprzączki pod opończą rozpinać, wysunął trzos na stół i położywszy go przed sobą, niby się rozmyślał, czy go otworzyć. Baba i Hruzda spojrzeli po sobie. Obojgu jakoś przypomniało się, że gdyby za lat ośm zaległość obliczyć i zboże dorachować, pięknegoby grosza dostali, o jaki w chacie włościańskiej trudno; a jakże się o to upominać, kiedy chłopca nie było.

—Gdybym wiedział, gdzie Janka szukać—przebąknął przybyły—tobym gotów wam dług zapłacić, choć mi to ciężko... Miałem i ja biedy dosyć, a co innego po kilka talarów w rok zbyć, aniżeli razem taką sumę oddać... Alebym się zmógł... co robić, co się rzekło, dotrzymać trzeba tylko mi chłopca dajcie.

Hruzda spojrzał na żonę; ruszyła ramionami baba i fartuchem mokrym niesuchą twarz jakby zakłopotana otarła.

—Zkąd-że go wziąść!—odpowiedziała pocichu...

— Ej! babo jakaś uparta! — krzyknął mąż- co ty tak udajesz, a myślisz, że świat zwiedziesz! Ja cię na wylot znam, ty wiesz pewnie, gdzie jest...

— Ale nie wiem!—ofuknęła Hruzdzina.

Zaklinajźe się na Boga —dorzucił mąż...

Kobieta zczerwieniła się z gniewu i porwała na męża.

—Co to ty będziesz do przysięgi pozywał?- odparła głosem wrzaskliwym — alboś to ty sędzia,

albo ksiądz? albom to ja wiary niegodna, kiedy mówię, że nie wiem...

Nieznajomy brzęknął trzosem zwolna zsuwając go na kolana...

— Niedoczekanie twoje, kusicielu ty jakiś-w duchu szepnęła sobie Hruzdzina — żebym ja ci za pieniądze dziecko sprzedała...

Odwróciła się gniewna, strzepnęła odmokłą odzież i poszła zagniewana do alkierza; dwaj mężczyźni pozostali sami, patrząc na siebie ze zwątpieniem.

— Dajcie pokój—szepnął w ucho przybyszowi— ona już teraz nie powie nic, ale ja z niej dobędę powoli... jeźli co jest... przyjedźcie później do mnie. Zawahał się trochę szlachcic, dobył trzosa i nie mówiąc słowa rozpiął go wysypał talarów kupy, wybrał białych pięćdziesiąt, co było nie małą sumą na te czasy, ułożył je dziesiątkami i posunął Hruzdzie.

— Naści — rzekł—nie chcę krzywdy waszej, lepiej niech się mnie dzieje krzywda. Płacę... bywaj zdrów.

To mówiąc trzosem się opasał pod opończą, kiwnął głową i szedł do drzwi. Hruzda ledwie oczom wierząc odprowadzał go do sieni zdjąwszy czapkę. W sieni szlachcic mu szepnął tylko:

— We czwartek będę w gospodzie, dowiedz się od żony, gdzie ona go podziała.

Na tern się skończyło, siadł na wózek i ruszył... Hruzda wrócił, i oboje ze starą stanęli nad stołem patrząc na te talary, które jeszcze dotykając ich za swoje nie mieli. Połykał je oczyma Hruz-

da... ale gdy już ręką sięgał, aby zbierać wstrzymają go kobieta...

— Ani mi je rusz!—zawołała—ani ty mi ich tykaj ! Za chlęb odpracował chłopiec, nam się nie należy nic, Pan Bóg by cię skarał, gdybyś szeląg z nich wziął. Nie pozwolę. Piorun chatę spali, grad zboże wybije.... Cudzego nie bierz!

—Co, ty oszalałaś?—ofuknął Bruzda.

—Rachuj się z sumieniem—zawołała kobieta... — zapytaj księdza... Ja wiem, że pieniędzy tych nie chcę, niech będą dla chłopca... my do nich prawa nie mamy...

Hruzda, którego widok tego skarbu rożnamiętnił, począł się kłócić, wkrótce jednak wątpliwość jakaś zrodziła się w jego umyśle... zwoiniał, zadumał się... i choć kwaśny dozwolił babie w szmatkę zawiązane talary schować podpatrzywszy tylko, gdzie je skryła... Nie chciał się już z nią kłócić, ażeby nie utrudnić dobycia z niej wiadomości o głupim Janku.

Ksiądz kanonik Hodowski siedział w bawialnym pokoju w krześle, a przed nim w progu stało chłopię ciekawemi oczyma latając po kątach, zdumione, przestraszone nieco... a nadewszystko pociągnięte widokiem tylu rzeczy o których dotąd wyobrażenia nie miało.

—Jakże cię nazywano, moje dziecko? —odchrząknąwszy i przybierając postawę poważną odezwał się profesor— jak cię nazywano?

\- Mnie, na wsi, proszę księdza dobrodzieja, nazywali głupim Jankiens.

— Jakto, głupim? — rozśmiał się z naiwności profesor.dlaczegóż głupim?

—Musi być dla tego, że oni głupsi jeszcze by= li odemnie — ozwał się Janek.

— A to, jak Chrystusa Pana kocham, odpowiedź doskonała! doskonała! — rozśmiał się kanonik... i podszedłszy pogłaskał go pod brodę...

-Któż twój ojciec, kto matka? mów śmiało...

—Ojca i matki nie znałem—westchnął chłopak —moja przybrana poczciwa, co mnie wychowała, mówiła mi, że jakiś szlachcic oddal im dzieckiem na wychowanie...

— A ty tego nie pamiętasz?

— Bardzo mało... jakby przez sen!—rzekł chłopak topiąc oczy w ziemię.

—Cóż ci się przypomina?

— Ja nie wiem, może tylko... ot tak... dzie» cinne jakieś bajki chodzą po głowie.

— Ale przecież? jakie?

— Nie pamiętam nic... nic... tylko bardzo piękną czerwoną ze złotem sukienkę, w którą mnie stroili... i żem płakał, gdy mnie w grube sukno przebrano... Sługa jakiś pochwycił mnie, usta mi zatulił i powiózł... Potem tylko wiem, że mi w tej chacie u starej mojej dobrej matki dobrze było...

Kanonik ręce założywszy w tył, chodził długo zamyślony po pokoju... spojrzał na chłopca i westchnął.

—To ci się w istocie ta czerwona sukienka chyba przyśnić musiała—rzekł po namyśle—wybić to

sobie potrzeba z głowy... ale moje dziecko... teraz, gdyś już tu raz jest, gdzie się ludzie uczą, przez naukę możesz dojść do tego, co ci się marzyło we snach... ba! nawet do purpury! Bywały tego przykłady... przynajmniej w stanie duchownym niejednego purpura liczymy, który gęsi pasał za młodu... A do nauki ochotę masz? —spytał.

—A księżę dobrodzieju!—zawołał chłopiec, któremu się oczy zaiskrzyły...

Ksiądz się rozśmiał.

—Umieszże co? Klecha cię uczył przecie?

— Troszeczkę — westchnął chłopiec—ale proszę dobrodzieja, kiedyż się tam było uczyć! Trzeba było od rana do nocy później się wysługiwać... wołom zadać paszę, często i ziela dla krowy się postarać, pług narządzić, kosę naostrzyć, z sierpem iść, z broną, a choćby z rękami na pole... bo stary Hruzda popróżnować nie dawał. Więc chyba matka czasem pomogła, żem chwilę odkradłszy zbiegł do szkoły, do klechy, albo przy ogarsku za książkę mógł wziąć...

—Czytaszże?—spytał kanonik...

—Jako tako...

— A piszesz?

— Nic do rzeczy, proszę ojca —rzekł Janek—bo czasem i sam tego, co napiszę, przeczytać nie mogę.

Profesor się śmiał, aż się za boki trzymał.

—No, nic, nic, byle pilność, to się to naprawi —odezwał się—jakoś to będzie. Ja cię sam uczyć muszę, bo jak na płatnego albo z łaski bakałarza byś poszedł, ten cię nic nie nauczy... Na górze

masz izdebkę niczego... Madejowa, jak nie będziesz krnąbrny, nie poskąpi dla ciała obroku... odzienia się postaramy przystojnego... Czasu będziesz miał dosyć. Tylko mi nie leż, nie nygusować... nie zbijać bąków, nie lotrować po ulicach... Fałdów przysiedzieć... a potem do szkoły... i jak sobie pościelesz , tak się wyśpisz... Ot co...

To mówiąc profesor, któremu chłopiec z żywemi oczyma wyraźnie się podobał, wziął go za głowę i pocałował...

Do kościoła codzień idź, pana Boga proś... starszych słuchaj... pokorny bądź... boś to tam pono zbroił coś już, co dowodzi, że tej cnoty ci braknie... Hę? od rózeg uciekłeś? prawda?

—Prawda, proszę jegomości, ale kiedy mi się te rózgi nie należały, a no prędzej paniczowi...

—O! o! o 1—zawołał kanonik—jakże to było? jak to było.

— Chciał na mnie siąść, jak na konia i jeździć, i chamem przezywał i palnął... tom mu oddał. Ja go przecie nie zaczepiałem...

— Ależ to panicz był! — śmiejąc się rzekł łagodnie kanonik... — co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi... hę? nie rozumiesz! później ci to się w życiu wytłumaczy... Idź no... idź... Elementarz weź... jutro... rano, gdy wstanę, egzamin... a dalej zobaczymy...

Chłopiec w rękę pocałowawszy kanonika wysunął się... i już miał na górę iść, gdy go Madejowa po drodze złapała i do kuchenki wciągnęła.

Stara miała minę kwaśną i srogą, wzięła

chłopca pod okno, aby mu się przypatrzyć na« przód... pokiwała głową, utarła nos i poczęła mruczeć...

— Wiesz co masz robić?—spytała...

— Uczyć się odparł Janek...

—A tak! a tak uczyć się, a to myślisz że cię tu darmo uczyć będą, i że chleb księdza kanonika będziesz jadł nie pracując? hę? Zrana wstawszy kuchnią mi zamieciesz i drewek przyniesiesz i wody. Ja stara... nie poderwiesz się przecie... Po obiedzie trzeba na wieczór wody znów przynieść, a czasami drewek. Jak się trafi na miasto posyłka... nogi za pas... Rozumiesz!

Janek się trochę poskrobał po głowie.

—Ksiądz kanonik mi nic o tern nie mówił.

—A ja ci powiadam... ja—dodała Madejowa— kanonikowi do tego nic, to moja rzecz... Było już tu przed tobą dosyć takich pauprów, wszyscy się wysługiwać musieli...

— Jam ci do roboty przywykł — rzekł Janek przypominając sobie zaleconą pokorę — mnie to nie będzie ciężko...

Obejrzał się po kuchence.,, jakoś w niej było niezamieciono i w wiaderku wody mało; spytał więc o miotłę i żywo wziął.się do roboty, Madejowa stała, patrzała, w końcu dobyła chleba z szafy i posmarowawszy masłem dała chłopcu, który ją w rękę pocałował. Nie powiedziała wprawdzie nic, ale pomyślała staruszka:

— Takiego poczciwego chłopca jeszcze u nas nie było, żeby go tylko żaki nie popsuły! Bo to, to miejskie tałatajstwo, choć dziś na szubienicę!

— Czekajcież — odezwała się—co my tu będziemy przede drzwiami gadały, chodźcie ze mną do kuchni...

Po cichutku obie kobiety przeszły przed pokój.

— Głośno nie gadajcie—ostrzegła Madejowa.—Chłopiec tu jest. Kanonik go sam uczy... ale jeźli go odbierać myślicie, to mu świat zawiążecie... On go na ludzi wyprowadzić może, jak już niejednego z łachmanów wyciągnął na Boży świat... Panu Bogu dziękujcie tylko.

— O! moja dobrodziejko! składając ręce zawołała wieśniaczka — już go ztąd brać nie myślę, grzechby był... tylko mi się za niebożątkiem stęskniło... a ono, prawdą a Bogiem chciało mi się i gościńca przynieść, i koszulinę świeżą...

Madejowa pokiwała głową.

—Toż w tern nic złego, ale my tu jemu z głodu, ani z nędzy przepadać nie damy... bądźcie spokojni... O chłopcu ja nie zapominam, je do syta, i bielizna mu się popierze... i robactwu go jeść nie dozwolę...

Hruzdzina aż ją w rękę pocałowała, dobyła szybko garnuszek z masłem, ser, kilka jaj i położyła je na stoliku...

— Przyjmcież dobrem sercem, to się wam do kuchni przyda... a miejcie litość nad sierotą... A! Jejmościuniu... gdyby go jeszcze zobaczyć można...

— Czekajcie — rzekła Madejowa ujęta podarkiem... na wasze stare nogi po schodach się drapać nie zdrowo... ja go tu zawołam....

— A no, moja dobrodziejko i waszym też no-

gom czas odpocząć, a moje do chodzenia nawykły —zaśmiała się Hruzdzina...—pójdę choćby po drabinie.

—Nie potrzeba chodzić, siadajcie i odpoczywajcie— odparła gospodyni —sztukę wam pokażę. — To mówiąc wzięła miotłę z kąta, podniosła ją do góry i uderzyła w pułap trzy razy... Wkrótce potem po schodach coś biedź zaczęło, i przez otwarte drzwi od sieni wpadł Janek do kuchni... Obejrzał się, spostrzegł tę, którą był nawykł matką nazywać, i wprost przybiegł do jej kolan; objęła go staruszka, i spłakali się oboje... Maciejowa poprawiła coś na kuchni, ale fartuchem też oczy ocierała.

Odłożyła wyjście na miasto... boć trzeba było dać się dziecku z matką jakby rodzoną wygadać. Maciejowa nawet uspokojona odeszła na stronę, aby im nie przeszkadzać, a Hruzdzina opowiadała Jankowi nie tylko co się we wsi działo, co ludzie gadali, ale i o tern że się jego opiekun zjawił cudownie, i o zostawionych przezeń talarach, i o żądaniu jego, aby mu dziecko oddano...

Janek się głęboko zamyślił.

— Człowiek ten — rzekł — sam mówił, że mi ojcem nie jest, a opiekunem też nie był, kiedy o mnie dziewięć lat nie pamiętał... A Bóg że go wie, co ze mną zrobić zechce, kiedy ja uczyć się pragnę. Możeby zaprzągł do pługa i do ciężkiej pracy wołowej... Jaż się na żadną nie wzdrygam—dodał—ale mnie tu ciągnie... Nie dawajcie mnie jemu... o! matko droga, nie dawajcie!

Tak właśnie i Hruzdzina myślała, spłakała się tylko staruszka raz jeszcze, i poleciwszy dziecko

Maciejowej wymknęła się z domu kanonika... Już była na Floryańskiej ulicy, gdy przestraszona wielce spostrzegła męża, który dnia tego wcale na targu znajdować się nie miał, przekradającego się drugą stroną. Łatwo jej było odgadnąć, że ją szpiegował, i w trop pospieszyła za nim, aby się przekonać, czy wprzódy za nią chodził. Hruzda pochwycony na uczynku zmieszał się nieco, ale baba miała nad nim długiem pożyciem ustaloną władzę, wiedziała też jak się z nim obejść... Udała, że nie rozumie, o co chodzi, i wesoło go powitawszy zaprosiła do szyneczko. Hruzda oprzeć się nie mógł.

— Słuchaj— rzekła mu przy pierwszym kieliszku — przyszłam do Krakowa księdza się zapytać, czy my sumiennie pieniędzy nam zostawionych użyć możemy, bom ich na sumieniu mieć nie chciała... Ksiądz rozgrzeszył, talary sobie weź, byłeś ich nie przepił... stanie na parę koni... Gdyby się chłopiec znalazł—dodała — byłoby co innego... trzebaby może coś jemu z nich oddać, ale o tym biedaku wieści nie ma....

Hruzda popatrzył na nią.

— Cóż robić—rzekła kobieta — trzeba się zgodzić z wolą Bożą, niech go sobie sam szlachcic szuka... a nam co do tego?

Hruzda głową potakiwał... Zdawało się, że chyba o schronieniu nie wiedział.

Nie był on wcale do rozmowy skłonnym na trzeźwo, a napiwszy się mruczał tylko, słowa z niego dobyć było trudno, śpiewał czasami, mówił mało. I tym razem kieliszek obracał... zasępiony...

— A to bieda—mruknął nareszcie.

—Z czem?- spytała żona.

- Ten szlachcic tu za naszemi plecami gdzieś musi być, bo go w rynku spotkałem...

— To go się zbędzie lada czem—szepnęła Hruz=dżina—tylko sam już nie idź-ale razem... ~

Domawiali tych słów, gdy kuternoga w progu się ukazał, oczyma po szynku ich szukając...

—Otóż jest—rzeki Hruzda...

Kobieta podeszła sama ku niemu.

— A, i wy tul— rzekła uśmiechając się jakby po wódce, której nigdy nie piła.

—Cóż, chłopiec mój... Znaleźliście, jest tu! hę? —począł nieznajomy.

—Gdzieby zaś miał być—żywo ofuknęła Hruz-dżina—po coby do miasta szedł? On napewno do gospodarza gdzieś na wieś uciekł... A coby robił tutaj? Lubił gospodarstwo biedaczyna...

— Myślicie?— zapytał kuternoga, któremu się oczy zaiskrzyły, i zdawało się, jakby ten domysł wielki ciężar zdjął mu z piersi. — Hej? doprawdy? tak myślicie?

— Toć pewno — jęła żywo mówić kobieta—ja go lepiej znam od was, bom go przecież wychowała... Jemuby do miasta iść i w głowie nie postało...

— A toćby roziim miał! — odezwał się jakby mimowolnie szlachcic. —No, a wszelako go szukać trzeba i tu i po wsiach, żeby marnie nie zginął...

Popatrzał jeszcze na Hruzdę, który melancho-licznie kieliszek obracał, i zniknął.

— Juści raz muszę wiedzieć, co za jeden i zkąd go licho przyniosło... — mruknął do żony wstając Hruzda,—nie bójcie się, głupstwa nie zrobię, ale pojadę za nim w śiad i dopytam zkąd jest... a co zacz, że tak talarami sypie...

— Lepiej byś siedział... co ci tam — zawołała Hruzdzina... — Stary wszakże uparty, biczysko pochwycił, babę popchnął i wyszedł...

Szlachcic, który dla kulawizny swej pospieszyć bardzo nie mógł, jeszcze był niedaleko w tłumie, gdy Hruzda czapkę nałożywszy na uszy za nim się wysunął. Wziął go więc na oko i nie dając po sobie poznać że za kimś goni, w ślad poszedł zdaleka. Opodal wprawdzie, ale nie tracąc go i chwili z oczów, dostał się Hruzda na Wesołą... Tu stał i jego wózek z koniem pod opieką sąsiada... łatwo mu więc było napatrzywszy, do której gospody wszedł szlachcic przygotować się do jechania za nim, gdyby wyruszyć miał z miasta. Dobrą jednak godzinę zmarudził czekając, nim się znowu ukazał... a był nie sam... z zajazdu wyruszyła naprzód bryka kryta, dostatnia, końmi czterema zaprzężona, z woźnicą i węgrzynkiem na kozłach, potem dopiero kuternoga na swoim wózku... Chłop miał wątpliwość, czy bryka z wózkiem stanowiła jedną czeredę, ale właśnie na wyjezdnem wychylił się mężczyzna z wąsami ogromnemi do pasa z owej bryki, zagadał coś do szlachcica, który czapkę podniósł, wskazał mu coś ręką i. ruszyli. Bryka i wóz należały więc do siebie, Hruzda wolniej powlókł się za niemi.

Aby mnie tylko za daleko nie zaprowadzili —

rzeki w duchu... — a no, wiedzieć tak i potrzeba, z kim, się ma do czynienia, choćby też dzień stracić przyszło...

Za miastem bryka poszia tęgiego kłusa... chłop zaciął konia... zostawał jednak dobrze w tyle... i na pierwszej mili z oczów ją stracił... Za karczemką nastał mrok, wszedł się dowiedzieć, którędy bryka z wozem poszła, bo się tam właśnie drogi krzyżowały, nikt jakoś ich nie widział. A że dzień był targowy, po drodze kolei i kutych śladów mnóstwo... Hruzda zmiarkował, że z tego nic nie będzie... a pogoń na chybił trafił byłaby daremną. Przeklął więc utrapionego kuternogę, zapił wódką sprawę i do domu nawrócił, trochę zawstydzony... Z tego błąkania się zyskał tylko, że nad ranem dopiero zhasawszy konia w domu stanął i na pańszczyznę już wyjść nie mógł... Babę znalazł już przy garnkach odmawiającą pacierze ranne... i milczący powlókł się na swój siennik, przyznawszy, że nic nie wskórał. Włodarzowi trzeba było dać kurę w podarunku, aby do dworu za opuszczoną pańszczyznę nie skarżył. Tak się to jakoś upiekło...

—Zjesz J i chał — rzekł uparty Hruzda—byłeś mi się drugi raz nawinął, będę ja wiedział teraz, jak ciebie wytropić.... poczekaj!

Gdy się Jankiem tak bardzo opiekowano, on nieboraczysko wcale o tern nie wiedział, na jedną tylko opiekę starej Hruzdziny, którą kochał jak matkę i pewien jej był jak rodzonej, rachując.

Zresztą było mu u kanonika bardzo dobrze, o ile w położeniu podobnem być mogło. Madejowa *żadnego* w życiu paupra z tych, którzy przez jej ręce przechodzili, tak stanowczo nie protegowała. Zwykle, gdy kanonik lubił którego, ona stawała w opozycyi lękając się, by go nie popsuł, przeciwnie, gdy do smaku mu nie przypadał ona broniła. Są w sercach i humorach ludzkich tajemnice, a przekomarzanie się czasem stanowi duszną potrzebę. Maciejowa ze ścianą by się niekiedy kłóciła, gdy nie było z kim. Na ten raz wszakże co do Janka godziła się z profesorem, iż chłopiec był wielkiej nadziei. Tylko żebyś go Jegomość nie popsuł... mruczała pod nosem zaspokajając sumienie. Chłopak umiał się akomodować i kanonikowi i gospodyni, co dotąd z żadnym się jeszcze nie trafiło.

Z ks. profesorem nie było to trudnem, bo lepszego serca nie znalazłbyś pod słońcem; Maciejowa w gruncie równie poczciwe kobiecisko miała, temperament zgryźliwy, trzeba się jej było czasem dać wygadać, wygderać i nie rozżarzać drażliwości, co Janek bardzo dobrze umiał. Wspomnieliśmy wyżej, iż ks. Hodowski jedną tylko miał siostrę, która była wcześnie za mąż wyszła za rządcę majętności pańskiej w Krakowskiem. Rzadko się ona wszakże dowiadywała do brata, wiedząc, że był ubogi, że kamieniczka jego niewiele była warta, a kapitału nie uzbierał żadnego, bo zwykle co miał, lokował na pauprach i ubogich krakowskich. Wszakże raz w rok na dzień urodzin ks. Hodowskiego przyjeżdżała regularnie siostra z mężem albo sama. Dzieci biedna nie miała.

Działo się im dosyć dobrze, chociaż mąż nie był wcale miłym człowiekiem, a kanonik, instynktowy znawca ludzi, od pierwszego poznania szwagra wstręt do niego powziął szczególny, i chociaż to sobie wyrzucał, pozbyć się go nie mógł. Nieprzyjaciel wszelkich przesądów, profesor dla tego najbardziej miał na sumieniu ową odrazę do szwagra, iż ten był kuternoga... a kanonikowi zdawało się, iż ulegał powszechnemu i niesłusznemu uprzedzeniu przeciwko nieszczęśliwym kulawym i kalekom....

Za każdym razem spotykając się ze szwagrem ks. profesor starał się przemódz niechęć i wstręt, jaki czuł ku niemu, a przekonywał się po odjeździe, że się one jeszcze powiększyły. Siostra nigdy nie skarżyła się na męża, znać jednak było z ich obejścia się z sobą, iż niezbyt się czule kochali.

Dzień urodzin ks. kanonika przypadał we wrześniu, jakoś w parę tygodni po installacyi Janka na górze i zaciągnięciu się pod komendę pani Maciejowej. Oprócz rodziny, to jest siostry i szwagra, żywa dusza w mieście nie wiedziała o tej uroczystości, nikt nie przychodził winszować, i na obiedzie, z którym Madejowa występowała, bywały tylko trzy osoby. W porównaniu wszakże do codziennego pokarmu kanonika, który był wcale nie wykwintny i głód tylko zaspokajał, obiad ten stanowił ucztę i na kilka dni najnieszczęśliwszą z istot na ziemi czynił panią Madejową.

W wigilią wigilii, zaczynała się gryźć i przemyślać.

Co ja im dam... przeszłego roku była gęś, tru-

dnoż znowu to samo, powiedzą, że u księdza gotować nie umiem... wezmą na języki... a to na wsi rozpieszczone we wszelkich zbytkach... bo ich tam ani kura, ani indyk nie kosztuje... w przeddzień obiadu Madejowa, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność, zwykle przychodziła kanonikowi przeszkodzić w pracy i wziąść od niego dyspozycyą... Wywołała go i tym razem z pokoju.

—Moja dobrodziejko... zawołał znękany przerwą w czytaniu Hodowski—na rany Chrystusowe, czego ty chcesz odemnie!

— Ależ przecie zobacz jegomość w kalendarzu, jutro urodziny, przy jadą ze wsi, trzeba dać jeść niech kanonik zadysponuje...

— Co ja ci mam zadysponować! co! — zawołał Hodowski — czym ja kucharz? czym ja smakosz? czy mnie to nie wszystko jedno?....

— Tak, a potem powiedzą Maciejowa winna...

— Któż ci kiedy co powiedział?

—Już ja nie chcę dać złym językom powodu do oszczerstw... nie chcę. Dysponuj jegomość.

—Ale rób co ci się podobh...

— Dysponuj jegomość już od tego nie odstąpię.-.

Kanonik lubił kaszę na mleku... pierwszą więc myślą jego była ta potrawa. Maciejowa zaprotestowała; narada trwała kwadrans, kanonik się upocił, stanęło na barszczu i pieczeni z rożna, oraz Ieguminie z winnym sosem; kucharka chciała dodać coś jeszcze ale ksiądz ofuknął. — Co ty tu uczty Baltazarowe i Lukullusowe chcesz wyprawiać!...

Tern jej usta zamknął, gdyż oba te imiona przypominały mocy piekielne i brzmiały Belzebubem, skończyło się więc na barszczu, pieczeni i leguminie z winnym sosem... Obrachowano jadło na trzy osoby... Zwykle siostra i szwagier przybywali około dziesiątej, kanonik na nich ze mszą czekał, odprawiał ją dla nich, a po powrocie około południa obiad podawano; tego, jednak dnia w godzinie zwykłej zamiast obojga przybyła tylko sama siostra, pani Brzeska...

— Daruje ksiądz brat, że mój mąż nie przyjechał-rzekła po przywitaniu — ma tam jakieś kłopoty i lata jak oparzony, jegomość się nim do wszystkiego wysługuje... a on też mu aż zanadto służy...

To mówiąc spuściła oczy i łzę otarła; kanonik zmiarkował, że tam w domu nie najlepiej iść musiało, ale nie mogąc na to radzić, nie chciał więcej pytać.

—Moja Tekluniu—rzekł wzdychając—odprawimy dzisiejszą mszę świętą na intencyą waszą... Pan Bóg miłościwy, może się tam poprawi.

Poszli wedle zwyczaju na mszę, a po niej Hodowski zaraz z siostrą powrócił na kawę do domu. Madejowa na ten dzień Janka sobie skonfiskowała, przyodziała czysto i zapowiedziała mu, że posłużyć musi, bo ona razem w kuchni i około stołu być nie może. Janek był posłusznym... On więc przyniósł kawę zdumionemu kanonikowi, który nie bardzo lubił, gdy chłopca używano za posługacza, ale nie powiedział nic. Był to dzień

wyjątkowy, Janek skorzystał ze zręczności i pocałował w rękę nauczyciela i dobrodzieja.

— Niech ksiądz kanonik pozwoli mi sobie złożyć życzenia, aby Bóg jak najdłużej w dobrem zdrowiu i szczęśliwości dla nas biedaków i zbudowania ludziom utrzymywać go raczył — odezwał się Janek. Powinszowania wierszami nie nauczyłem się, bom go nie miał, sam nie napiszę, a nikt też mi nie chciał pomódz. Ze szczerego więc serca ślę westchnienie do Boga...

Chłopiec do kolan się zniżył i pocałował w ręce staruszka, który z czułością za głowę go ścisnął.

—Najlepsze to życzenie, co niewyuczone z serca płynie—rzekł—Bóg ci zapłać.

— A to już znowu inny pauper? - odezwała się po wyjściu Janka siostra do brata...

—Jeszczem takiego zucha nie miał-rzekł cicho kanonik mrugając ku drzwiom—boję się go chwalić, aby nie popsuć, ale chłopak wielkich, wielkich nadziei. Zrobię z niego uczonego... jeśli nie wyjdzie na łajdaka... bo z takich zdolnych to... albo król albo kapucyn... ba gorzej, geniusz albo wisielec...

— Zkądże się to jegomości trafiło takie cudo? —zapytała siostra...

Sam pan Bóg mi je zesłał... szepnął ks. Hodowski... a teraz tylko mam nieustanną trwogę, żeby mi go los nienawistny nie odebrał...

—Mój Boże- westchnęła pani Brzeska—brat jesteś szczęśliwy, bo choć przybraną rodzinę, Bożą czeladkę, ubogich sobie przysposobić możesz... a

ja.... a ja nie mam dzieci... w domu pustki.... Zapłakała nieboga.

— Moja siostruniu dobrodziejko — odezwał się Hodowski — coś ty mi dziś nie wesoła... Podzieiże się jak należy z bratem biedę twoją, może ci to ulgę przyniesie.... Co ci tam dolega.

— A! trudno to się z tego spowiadać, bracie kochany — mówiła kobieta — bo by trzeba las obwiniać albo tych, w czyich rękach losy nasze.... a to się nie godzi...

— Czyń tak, jak ci sumienie podyktuje — odpow iedział kanonik —lecz powinnabyś mi raz przecie szczerze wyznać jak ci na świecie jest... możebyśmy co uradzili.

— Co tu radzić, panie bracie — szepnęła ze łzami Brzeska.... śmierć chyba jednym ratunkiem. Boleśnie to wyznać ale straszne życie moje. Młodą byłam, gdym wyszła za Brzeskiego, nie znałam ludzi, uboga nie miałam wyboru, trzebaż było chaty nad głowę i domu. Wprędce po ślubie poznałam wszakże, jak nieroztropny wybór uczyniłam. Na niczem mi prawda nie zbywało w domu, oprócz szczęścia. Człowiek był i jest ponury, dziki i chciwy grosza i dla riiego na wszystko gotów.... Dostaliśmy służbę u bogatej wdowy po Wojewodzie... mającej jedno dziecię, ledwie w drugim roku będące, bo ojciec je odumarł, zaraz po urodzeniu. Zrazu dobrze nam było.... ale Jejmość kłopotom i procesom podołać nie mogła, młodo owdowiała, napłynęło więc konkurentów, za mąż iść musiała. Wdarł się tam o jej rękę szatan w ludzkiem ciele... podskarbic koronny... sławnj' z tego, że młodość po zagranicznych dworach i obozach przebu-

jał i majątek znaczny stracił, tak, też mu z niego tyle pozostało, co w powozach i koniach, wystawnym dworze... i pono pałac w Warszawie. Familia Wojewodzinej bardzo była przeciwna jemu, wdowa też się jego lękała... przecież jak zaczął chodzić, zabiegać, najeżdżać protektorów zwodzić, królewskiemi się listy zastawiać, na swojem prawie gwałtem postawił, poszła za niego... Nim jeszcze się ożenił, nie wiem jak męża mojego sobie zupełnie ujął i z nim tak związał, iż mu głowy nadstawiając pomagał.

Jak tylko ślub wzięli, on i mąż mój pochwycili w ręce wszystko, poczęły się piekielne rządy. Kobieta postrzegała rychło, że w zastawione sidła padła, nie było wszakże ratunku, tylko już w opiece Bożej, i pociechy tylko w dziecięciu. Do dziecka tego przywiązaną była nadzwyczajnie, a przez to samo ojczym je nienawidził; wypłakiwałam oczy, patrząc co się we dworze działo z tą biedną panią, choć tam niby dla oczów ludzkich z wielką około niej chodzili rewerencyą...

Żyła jeszcze naówczas staruszka matka Podskarbicowej, a naraz jakoś w drugim roku po ślubie, gdy chłopaczek czwarty rok miał i dostał był jakiejś choroby dziecinnej, że się z domu ruszać nie mógł, bo czas był chłodny, dano znać pani, że matka umiera i wzywa jej do siebie. Musiała się w godzinę potem wybrać i jechać, rzucając dziecko, którego doktór nadworny brać nie dozwolił... Jakby biedaczka przeczuwała to, że go już nie zobaczy więcej, tak na wyjezdnem

ściskając je płakała i rozstać się z niem nie mając sił, po kilkakroć do niego wracała...

Pan Bóg niech sądzi, co się naówczas stało — rzekła głos zniżając pani Brzeska do coraz bardziej przerażonego kanonika... nie chcę się nawet domyślać... Trzeciego dnia rozgłosili we dworze, iż panicz umarł, i tak się zwinęli z pogrzebem, że nazajutrz rano sam pan, mój mąż i doktor trumienkę na cmentarz wywieźli i pochowali.

Ks. Kanonik zerwał się z krzesła z załamanemi rękami. — Tekluniu! na rany Pańskie, czyż to może być...co oni zrobili!To kryminał—twój mąż...

— O! bracie kochany, wciąż po cichu szeptała płaćżąc siostra — ja nie wiem nic, ale co wiem, to ci opowiem, jak na spowiedzi. Co się z dzieckiem stało, Bóg jeden wie... to pewna, że nie tak było, jak mówili. Zaraz po wyjeździe pani, gdy jeszcze synaczek żył i nic mu nie groziło, zaczęły się między moim mężem a Podskarbicem jakieś konszachty, latanina, umawianie... po dniach i nocach... Mąż powracał do domu jakby przerażony, latał po izbie, mruczał, ręce łamał, gadał w nocy sam do siebie, szedł, wracał, jakby z sumieniem się borykał. W nocy słyszałam, jak przyniósł pieniędzy trzos spory i rzucił go do skrzyni... potem wysłał mnie do Krakowa nagle pod jakimś pozorem, jakby się świadka niepotrzebnego chciał pozbyć. Gdym powróciła, nie zastałam go, dowiedziałam się, że synaczek umarł, a męża gdzieś wysłano — dokąd? nie wiadomo, kilka dni go nie było widać... Gdy powrócił, tom go ledwie poznała, tak był blady, tak strasznie wzruszony, i od tej godziny mogę

powiedzieć zaczęła się męka moja przez niego, bo się stał nieznośnym, nielitościwym, jakby mu sumienie spokoju nie dawało. Nie godzi się posądzać, ale przebacz Panie—on, jeżeli tam co dziecku uczyniono, coś o tem wiedzieć i pomagać do tego musiał...

Cóż to się w domu działo, gdy dowiedziawszy się na pogrzebie matki o śmierci dziecka, wróciła Podkarbicowa... do pustej kolebki. Myśleliśmy, że oszaleje lub umrze. Ledwie ją doktorowie z Krakowa wezwani uratowali... a długi czas chodziła jak obłąkana. Do dziś dnia jeszcze w pokoju nieboszczyka panicza stoi wszystko, jak było... Zrobiła sobie z niego kapliczkę i tam się modli. Podskarbic, trzeba to przyznać, bardzo był dla niej dobry i troskliwy o zdrowie i czuły, jednakże go od tej pory znosić nie mogła i nie może. Temu już lat jest dziewięć, boleść ową straszną czas przemógł, żyją z sobą, przecież gdyby obcy... ona cała w modlitwie i we łzach, on po ucztach, biesiadach i po paniach duszkach... latając. Najgorsza to, że mojego męża oplątawszy raz, uczynił go i rządcą i komisarzem i powiernikiem, polepszył mu prawda los, dał mu się spaść groszem, a szczęście i spokój na wieki odebrał... Od śmierci dziecka co ludzie na Poskarbica i na mojego męża gadają, jakie wieści chodzą... nie chcę powtarzać, mój bracie.... Śmierć dziecka czy też zatracenie jego przypisują im... Podskarbicowi może nic to nie szkodzi, bo bogaty i skoligacony, ma przyjaciół i obrońców, a mojego Brzeskiego ludzie prawie jako kata się strzegą i boją. Człek też się zmienił, zgo-

rzkniał, popsuł... nieszczęśliwy on, nieszczęśliwsza ja... Zapłakała kobieta, kanonik siedział jak osłupiały.

—Podskarbicowi chciało się potomka i spodziewał się go, a może i ona też pragnęła, ale Bóg nie dał ani im, ani nam. Ludzie ztąd wnoszą, że to kara za utajoną zbrodnię....

Ks. Hodowski wstał wreszcie trzęsąc rękami i swoją biedną przekrzywioną głową...

— Ale ci się śni, biedna kobieto I — zawołał —żeś nieszczęśliwa, nie przeczę, że człowiek nie dobry, nie miły, kwaśny jakiś, tom ja dawno czuł i wiedział, lecz żeby znowu rzeczy tak zaszły daleko, aż do kryminału... nie wierzę. Ludzie plota, ty jesteś łatwowierna, serce, które boli, roi rzeczy dziwne... Dziecko z choroby zmarłe... mąż twój chciwy w zarządzie majątku może tam co korzysta z tego, że się panu wysługiwał... ale... Nie! nie!—zawołał Hodowski — u nas, dzięki Bogu, podobne historye się nie dzieją.... nie wierzę.... nie wierzę.

Brzeska zamilkła ocierając łzy. — Mój bracie kochany — odezwała się po chwili— nie chcę ci powtarzać, co po śmierci dziecka powoli przez lata na wierzch wychodziło... Ludzie powiadają, iż dziecko jako żywo nie umarło, że je porwano i gdzieś wywieziono. A to prawie pewna, iż mąż mój został nagle z czemś w nocy wysłany i że gdy odjeżdżał sam się powożąc, ludzie płacz dziecięcy słyszeli... Mówią też, iż w trumience ciała nie było, tylko w szmaty poobwijane kamienie, które się, gdy ją nie-

siono, kołatały... A co najstraszniejsza rzecz... ach! —zaczęła płakać kobieta — nie mówmy o tern.

— Dajbo pokój, nie mówmy lepiej — przerwał kanonik—ja w to nie wierzę; znam ludzi i ludzkie języki... Stworzą z niczego, a jak zaczną powtarzać, dodawać, paplać... tak najniewinniejszego oczernią.

Na tern się skończyła rozmowa, a Madejowa też z pomocą Janka do stołu nakrywać zaczęła, obiad milcząco przeszedł i smutnie; kanonik starał się na co innego sprowadzić rozmowę, siostra jego wzdychała. Po obiedzie ze łzami znowu skarżyła się na pożycie z mężem... Ks. Hodowski jednak nie dopuścił jej o tern wiele mówić, bo mu się w głowie pomieścić nie mogło, aby to wszystko prawdą być miało.

— Moja Tekluniu — rzekł w końcu—życie ludzkie nie jest rozkoszą, jest próbą i obowiązkiem... Znosić je trzeba. Żyłaś z tym człowiekiem długie lata, święcie wycierpiałaś, co ci Bóg zesłał... dotrwajże cierpliwie do końca... a ludziom złym ucha nie dawaj i lada jakim baśniom nie wierz. Plotki rosną, jak na drożdżach... a w imaginacyi pęcznieją jeszcze... więc z znakiem krzyża świętego odpędzić złe myśli i w modlitwie szukać pociechy.

O tego dnia urodzin ks. kanonika dobrze rok upłynął... następnej rocznicy nie obchodzono, bo pani Brzeska tygodniem wprzódy oznajmiła, że chora leży i przybyć nie może... Maciejowa zwy-

kle kłopocąca się tym obiadem, teraz gderała bardzo, iż nawet urodzin już nie było. Kanonik mszą, do której mu Janek służył, odprawił i do swoich książek i krupniku powszedniego powrócił. W ciągu roku między nauczycielem a uczniem zawiązał się stosunek prawdziwie ojcowski... z żadnego ks. Hodowski takiej pociechy nie miał. Chłopak był żywy, pracowity, roztropny, trochę butny, ale serca dobrego, czasem, się uniósł, ale zaraz tego pożałował. Uczył się doskonale, może nazbyt wyprzedzając domysłami to, czego mu jeszcze nie powiedziano; najmniejszej skazówki dość mu było, ażeby jak mówił klecha, świdrował zaraz po szlaku idąc dalej a dalej. Ody wpół zadania już rozwiązanie naprzód odgadywał, kanonik się śmiał i po głowie go klepał... nie mogąc się dość nim nacieszyć. Maciejowa nie dopuszczając go psuć księ=dzu, sama pieściła jak dziecko własne. Co parę tygodni przybywała też Hruzdzina zobaczyć wychowańca i przynieść mu jaki przysmaczek. Opływał więc we wszystko i już miał przygotowany dobrze przez samego kanonika do szkoły zacząć chodzić, gdy w kilka tygodni po cichych urodzinach owych, ks. Hodowski zasłabł, co mu się ni=gdy nie trafiało. Zycie prowadził nadzwyczaj regularne, spokojne, i można powiedzieć, że jednem z pierwszych doznanych strapień była wiadomość o nieszczęśliwym siostry losie, którym się gryzł nie mało. Słabowity, cherlający, ks. profesor najregularniej przecie chodził na lekcye, na nabożeństwo, nie pieścił się wcale, i skrzypiąc tak trzymał się jednakowy ciągle, że na nim nawet pra-

wie lat śladu nie widać było. Jednego ranka wszakże mając wstać o zwykłej godzinie, poczuł się osłabłym bardzo, pobróbował na gwałt ścią=gnąć się z łóżka i upadł. Dostał zawrotu głowy, posłano po doktora...Starszy Fiszer fizyk, jak wów» czas nazywano, pomacawszy pulsu, zawyrokował, że krew koniecznie puścić było potrzeba. Puszczo=no więc obficie, nie zważając na podeszły wiek chorego, nakazano spoczynek, ziółka i mixturę, którą Janek siadłszy u łóżka miał dawać co pół go=dżiny. Skutkowała ona to prawda, ale osłabiając i tak już osłabionego staruszka, który drugiego dnia drzemać sobie począł, i choć przytomny, sennym był ciągle; Fiszer zawyrokował, że się choroba przesila, że chory snem odzyska siły, i bardzo był z siebie rad; kanonik wszakże trzeciego dnia sam zrozumiał, że mu niewiele do końca pozostało... Siłą woli odzyskał cokolwiek przytomności, zakło=potał się o sierotę, pół słowem Janka Opatrzności polecił, Maciejowej coś nie Zrozumiale zadyspono=wał... zasnął potem znowu i już się biedny nie przebudził. Doktor Fiszer nadszedłszy z rana, gdy nikt jeszcze śmierci się nie domyślał, pierwszy ją oznajmił i oświadczył, że zaszła prawidłowie, gdyż staruszek wyczerpał się pracą, siedzeniem i nieposilnem jadłem. Dodał, iż gdyby był krwi nie puścił i mixtury nie dał, byłoby jeszcze za da=leko gorzej. W jednej chwili wieść ta, która Jan=ka osłupiła, poruszyła całą ulicę i rozeszła się po mieście. Znalazły się władze, reprezentant akade=mii, ktoś posłał zaraz dać znać siostrze... Opieczę=towano pokoje... Madejowa ryczała z płaczu zabie=

rając węzełki swe i nie wiedząc dobrze, co z sobą ma zrobić; Janek też wygnany prawie, znalazł się w uiicy, nie myśląc jeszcze, co z sobą pocznie, a bolejąc tylko nad stratą człowieka, który dlań był czułym opiekunem i ojcem... Na dole mieszkający szewc, ubogi człeczyna, który znał dobrze Janka i bardzo go lubił, dał mu chwilowy przytułek u siebie... Chłopak siedział przybity, gdy wkrótce potem siostra zmarłego i mąż jej kulawy nadjechali. Ale pierwsza dla płaczu nie zajmowała sięniczem oprócz swego żalu i nieboszczyka, drugi zaś obejmował co najrychlej nieruchomości, a szukał sum ukrytych, mając najmocniejsze przekonanie, iż ks. Hodowski zbierał kapitały i tylko się z niemi nie wydawał.

Pogrzeb odbył się ze zwykłą pompą akademicką, bo teraz, gdy suchego, małego człowieka, który nieraz swym rozumem i nauką dokuczył wielu, nie stało, wszyscy go żałowali, ubolewali nad stratą, jaką alma mater poniosła, i sławili znakomite zasługi uczonego. Nikomu już nie zawadzał. Brzeski ledwie z ceremonii tej powróciwszy jął się papierów i pozostałości po nieboszczyku, przewracając dom do góry nogami. Testamentu wszakże ani pieniędzy, wyjąwszy pięciu talarów i dwóch oberzniętych dukatów, nie znaleziono. Brzeski chciał gospodynią dać więzić i wziąć na męki, ażeby wyznała, co się stało z pieniędzmi; jąć się miał i chłopca, pozywając go na świadectwo, koniec końcem jednak siostra nie dopuściła do tych ostateczności. Maciejowa poszła wolno, a Janek rnusiał dopiero myśleć, co dalej robić.

Nie małem to zadaniem było znaleźć sobie przytułek i chleb, o którym by dalej uczyć się można. Szewc wprawdzie chętnie poczciwego chłopca przyjąć się ofiarował, lecz wymagał, aby do szlachetnego kunsztu się przykładał, co jakoś Jankowi nie smakowało.

—Bo to ty jakoś ludzi słuchasz i wymysłów ich niezdarnych, co na tych nieszczęśliwych szewców niesłychane rzeczy komponowali! Niech sobie się naśmiewają z dratwy i z szydła... a gdyby nie my, toby wszyscy w postołach chodzili lub nogi darli.... Królowie nawet bez szewców się nie obywają. Rzemiosło sławne... z głodu człek nie umrze, póki ludzie nogi mają...

Wszystko to nie przekonało Janka, który odpowiadał, że uczyć się pragnął... Ot, z pozwoleniem głupiec — odparł stary szewc... gdybym był ojcem twoim, tobyś za to pociągaczem dostał. Po co się tobie uczyć? co tobie po nauce? Dosyć tego rozumu, gdy kto w książce od nabożeństwa czytać umie, a nazwisko podpisać, reszta to tylko próżność dyabelska, mosanie, i zepsucie... po co? do zbawienia rozum nie potrzebny... a fanaberye stroi... ale rób sobie co chcesz... abyś no tylko z rozumem w głowie bez butów nie chodził, ty, co ich robić nie chcesz...

Choć czując się mocno obrażonym tern, że chłopak szewcem być nie chciał, majster pozwolił mu u siebie dzień przebyć, póki by sobie przytułku nie znalazł. Gdzie go tu było szukać? Janek nie znał prawie nikogo... kilku chłopców tylko rzemieślników, co do kanonika chodzili. Z tych ża=

den zamożniejszym nad niego nie był... Jeden chodził z garnuszkiem od drzwi do drzwi żebrząc łyżki strawy, którą mu mieszczanie dawali; drugi za chłopca służył przy majętniejszych, trzeci miał krewnych ubogich, co go żywili. W daleko szczęśliwszem położeniu była Madejowa, jako rodem Krakowianka i mająca tu wiele krewnych. Przez długie lata służby choć może nie zebrała wiele grosza, ale ją ludzie, znając jej uczciwość i oszczędność, posądzali o to, że w węzełkach coś mieć musiała, familia więc dosyć chciwie się o nią ubiegała. Drugiego dnia już się w alkierzu u stolarza, stryjecznego brata swego, rozłożyła z dostatniemi ramenentami. Trzeba było trafu szczęśliwego, iż ją w ulicy z nabożeństwa powracającą spotkał Janek, który błądził bez celu.

— A ty chłopcze co robisz z sobą?— spytała gospodyni — cóż ty myślisz?...

— Myślę, że chyba Pan Bóg mi co nastręczy... bo ja sobie rady nie dam — rzekł Janek — nikogo nie znam i nic nie umiem. — Stara potakiwała głową.

Szkoda, żebyś się tak włócząc marnował — rzekła—jabym ci miejsce znalazła, ino ty się chcesz gwałtem uczyć... a tu trzeba na życie pracować...

Chłopiec zmilczał.—Na to nie ma innej rady, tylko służby szukać musisz... a ja ci bym ją może znalazła. Chodźno za mną.

Nieboszczyk ks. Hodowski mało co wina używał, czasem jednak pił po kieliszku starego, nie mogąc nigdy dojść jakim sposobem zaczęte przez niego butelki nadzwyczaj prędko wysychały....

Niekiedy zaznacza! na nich póki wypił, a nazajutrz znajdował, że drugie tyle wyparowało. Tak mu przynajmniej gospodyni dowodziła. Wino to brał tylko ks. Hodowski tam, gdzie był pewien, że znajdzie czyste i nie fabrykowane... u Materskiego w rynku... Materskiego piwnica w owych» czasach najsławniejszą była w Krakowie, i kto się chciał zdrowego wina napić dla konkokcyi i pokrzepienia sił, szedł tylko pod zieloną wiechę. Tak znak staroświecki, gałąź sosnową z drzewa wyrobioną, pomalowaną jaskrawo z szyszkami złotemi, nosił od wieków handel w in Materskich. Sam gospodarz, człeczek suchy, zły, krzykliwy, drapieżny, zajmował się wszystkiem, i zapewne za wiele na głowę wziąwszy, tak sobie żółć poburzył. Nie mógł sobie rady dać, a ludzie też z nim. Służbę przyjmował i wypędzał co kilka tygodni. Nie był może tak bardzo winien, bo mu się trafiali porhocnicy zawsze, którzy już chyba nigdzie indziej miejsca znaleźć nie mogli. Madejowa wielce szanowała Materskiego i była też u niego w łaskach.. Pomyślała zaraz, czyby tam Janka nie mogła umieścić. W chwili, gdy właśnie ów nieszczęśliwy gospodarz mszcząc się za jakąś szkodę na niewiernym posługaczu, bez czapki z pięściami zaciśnionemi leciał przez rynek kułakami ścigając zbiega... Maciejowa stanęła przed nim...

Materski omal zrazu jej nie dał, co miał przygotowanego dla uciekającego chłopca, w czas się jednak upamiętał. -- Jezu Chryste, co się jegomości stało?— zawołała Maciejowa - co robisz? gdzie lecisz bez czapki?

Stary mówił, jak młyn pytluje prętko i ogniście.

— Trzysta tysięcy by go mordowało, psubrata tego, niegodziwca, Karolka.... gąsior jucha stłukł, garniec wina na półtora złotego.... Mam mu darować? nie! skórę złupię z niego, oczy mu łajdakowi wydrę... nie przebaczę... bo jucha winien... Ryhotał zęby szczerzył, pod nogi nie patrzał.

— Ale dałóyś pokój; panie Materski, tak poważnemu obywatelowi gonić za chopcem — rzekła Madejowa.—Dopiero się pomacał po łysinie i opatrzył czcigodny kupiec, że pod Sukienice wybiegł bez czapki... Zawrócił się zawstydzony mrucząc.

— Słuchaj pan, panie Materski —- rzekła goniąc go Maciejowa —ja do jegomości szłam z prośbą; kanonikowi się zmarło... miał on wychowańca, chłopaka jakiego pod słońcem szukać i nie znaleźć.... Biedactwo bez przytułku i roztropny... ja myślałam, że go pan weźmiesz do handlu....

Kto? ja do handlu? szelmów tych, łotrów, urwiszów, uliczników będę brał — krzyknął Materski— żeby mi wino wypijali, i tłukli, marnowali, wylewali... kradli. Nie doczekanie ich, małpy sobie sprowadzę, psy sobie powyuczam... dyabłu duszę sprzedam, żeby mi nosił z piwnicy, a więc żadnego nie wezmę... nie wezmę....

—Cóż to jegomość bluźnisz!—zgorszona rzekła Maciejowa—nie ma widzę co, z panem gadać....

Stary się pomiarkował.—Ale bo człek stracił przytomność... z gniewu...

— To właśnie pora kogoś porządnego wziąć do handlu.

— A tak porządnego! - zaśmiał się Materski.— A takW! Gdy to paskudztwo włazi pierwszy raz.... to takie porządne, ciche, posłuszne, dobre, choć na nagniotek go przyłożyć, a niech no trochę się rozpatrzy po kątach... i na kagańcu go nie strzymasz... Trzykroć sto tysięcy...

— Dałbyś pan spokój, panie Materski... Zdaje się Madejowa dała znak Jankowi, żeby się zbliżył; podszedł bezwielkiej ochoty... Materski mu wciąż w oczy patrzał...

— No, co to, — rzekł—cherlawe... wyschłe nad elementarzem... to drzazga nie chłopiec! Czy chlałbyś do handlu?—zapytał...

—Niekoniecznie—odparł Janek-do handlu ochoty nie mam; uczyć się chcę... Ale przytułku nie mam, to bym służył dla chleba...

A—widziałeś, jakem tego nicponia, łotra pięściami gnał? —dodał kupiec—hę?

—Widziałem i dziwowałem się, że on uciekał i żeś go pan gonił...

— Dlaczego?— zapytał kupiec.

—Bo człowiekowi każdemu strafić się może pobłądzić, a pan tyle lat żyjąc na świecie wiesz pewnie, że młodemu łatwiej o to niż innym.

— A gdzie się ty filozofii uczył, chłopcze? - spytał Materski.

— W katechizmie — uśmiechając się rzekł Janek.

Kupiec oczyma rzucił i zamilkł.

— Co tam z tobą gadać, kiedy do handlu ochoty nie masz! — mruknął kupiec — Idź z Bogiem...

Janek się skłonił i zabierał uchodzić zwolna.

— Czekajże, czego ci pilno! tfu! a to znowu harda dusza w ubogiem ciele. Czekaj — krzyknął Materski. Pani Madejowa cię rekomenduje mocno... no to... no to dam ci przytułek, póki sobie co innego nie znajdziesz... Uczciwy masz być, powierzę ci klucze...

Jak się panu dopoba — rzekł Janek z ukłonem —za uczciwość moją ręczę, za rozum niekoniecznie, ale proszę w przódy mnie nauczyć, co mam robić, a potem się dopiero gniewać, gdy zawinię...

Materski go po ramieniu poklepał.

No, nie bój się, nie zjem cię... nie zjem.... Niechno pani Madejowa- dodał—lampeczkę przyjmie na dobrą wróżbę, a daj Boże, aby się chłopiec udał... to jej doprawdy wdzięczen będę...

I tak Janek znalazł się niespodzianie w winiarni pana Materskiego, dziwne ludzkie losy.

Gdy jednego razu stary Hruzda wybrał się sam na targ do Krakowa, przechodząc rynkiem i rozglądając się po mieście, na schodach do winiarni zobaczył chłopaka wyglądającego bardzo pokaźnie i zręcznie, którego nie widział. Hruzda za trzymał się nieco u węgła i że go twarz ude rzyła, a dobrze mu się przypatrzył. Był to—Janek ten sam Janek, po którym teraz tęsknił, bo mu żaden najęty parobczak tak go zastąpić nie mógł, ale wypiękniał, wyrósł i zupełnie miał miejską postać... Twarz dosyć rumiana śmiała się, oczki błyszczały, śmielszy niż był kiedykolwiek stojąc w

progu rozglądał się po świecie, jakby ten świat miał w kieszeni.

—Ależ, daj go katu!—mruknął Hruzda — paniczek zniego! hę! hę! jużby mu się pewnie do pługa I radła nie chciało!

Coś, jakby uczucie jakieś zazdrości ukąsiło go w serce; uśmiechnął się pod wąsem.—

No—rzekł—to mi się nie źle udało... Ba moja kłamie przedemną i zaręcza, że nie wie, co się z nim stało, a że wie... to pewna! Ale i ja też wiem, ta i dobrze. Jeźli teraz kuternoga się zgłosi do mnie, to mu pokażę, gdzie go szukać... A co go mam oszczędzać Jeźli chłopskie, dziecko, niechaj wraca do tego jarzma jak i my.... Będzie się tu w pierzynach wylęgał i patrzał się z ganku, jak my w błocie piechotą brodzimy? niedoczekanie!

Hruzda dobrze sobie zanotowawszy kamienicę i zieloną wiechę, poszedł, powrócił do domu i zrazu milczał. Drugiego dnia przy misce ozwie się do baby:

— Co się to tam z tym Jankiem stało?

Hrudzina spojrzała nań i ramionami ruszyła...

— A cóż nieboraczysko pewnie gdzieś na wsi u gospodarza... haruje.

— No, ja myślę, że nie — odparł Hruzda — to nie głupi chłopiec, choć go tu głupim zwali, wybrał on pewnie co lepsze i kędyś miejskie bruki zbija...

— Et! gdzie zaś! — ofuknęła żona.

—Bo mi się nawet zdaje, że ja go w mieście widziałem —dodał Hruzda... no i gdyby teraz kuter-

noga ów przeklęty przybył, wzkazałbym gdzie go szukać.

Baba się porwała, łyżkę rzuciwszy.—Słyszycię! —zawołała—to byś go oddał temu łajdakowi...

—A dlaczegóż łajdak? czy, że dał pięndziesiąt talarów, com sobie gospodarstwo poprawił?

—A miałbyś ty te pięndziesiąt, gdyby, nie chłopiec?... i za to go chcesz dać?...

—Cóż to, ten go ma zgubić, co go ratował?—spytał Hruzda.

—Wiesz że ty, czy on go ratował czy gubił oddając na cudze ręce? Człowieku... rozgniewana poczęła Hruzdzina... toć pewno nie czysta sprawa...

Hruzda zamilkł...

— Co mam kłamać—odezwała się gospodyni z gniewem—otóż wiedziałam i wiem, gdzie chłopiec jest, ale jeźli mu się co złego stanie... Hruzda jak Bóg żywy... ja... ja... nieszczęśliwym cię uczynię... zgubię siebie, ciebie, chatę wszystko... Słyszysz! klnę się na Bóg żywy!...

Chłop też się rozsierdził.—A to jędza, zawołał... a to jędza... Cłopiec ci milszy niż ja i dom...

— Chłopca Pan Bóg na opiekę naszą dał... Rób jak ci się widzi, ale pamiętaj, com rzekła... mnie-życia nie wiele już zostało... tak z nim, jak bez niego.

Po tej rozmowie Hruzdzina markotna poszła z płaczem do alkierza, a Hruzda się zamyślił... i pociągnął do szynku... Upłynął jakiś czas, kuternoga się nie pokazywał. Hruzda zrtowu na targ pociągnął do Krakowa... Miał trochę owsa na sprzedaż, kupił go właśnie woźnica jakiegoś

duchownego i kazał wieść na Wiślną ulicę. Gospodarz pociągnął zwolna... Po drodze... jakby na umyślnie... nawinął się kto? kuternoga... Hruzda czapkę zdjął.

—O! toście wy tutaj!— zagaił szlachcic, a z czemże?

Z— owsem, ale już sprzedany...

—Co tam słychać?

—Głucho, nie ma nic.

—Chłopiec się nie znalazł?

—Gdzieby zaś! gdzieby... ani śladu! Ino mi się zdaje, że jak był głupi Janek ciekawy... pewnie rnusiał do miasta pociągnąć....

—Zkądże wam to? a mówiliście przecie, iż na wsi pewnie jest?

Hruzda ramionami dźwignął i zamilkł.

—Macie jaką poszlakę?

—Gospodarz konia zaciął, pokłonił się i skończył zwykłem, Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Ale kuternoga szedł za nim... zadumany... jakby wspomnienie chłopaka ocuciło coś mu w sumieniu.

—Gospodarzu... hę? gospodarzu!—zawołał nań —oto tu szynczek... chodź.... kieliszek wódki na chłodny czas nie zawadzi...

Miał to do siebie Hruzda, że wódce oprzeć się nie mógł, obawiał się jej, a ciągnęła go... Koń był nawykł stać spokojnie i drzemać. Szynczek pod Trębaczem otwarty nęcił do siebie.

—Ale bo, chodźcież—wołał kuternoga—wódka słodka, a tęga... powietrze wilgotne....

—Wiecie co dobrodzieju—odparł Hruzda—kiedy żeście już na mnie tak łaskawi, o trzy kroki źtąd owies zsypię i przybiegnę, bo by mi go kto jeszcze Z wozu gotów ściągnąć.

—A no ja tu na was poczekam...

Stało się jak chciał Hruźda, który owies oddawszy, spokojny powrócił. Weszli do szynku pełnego a gwarnego, jak to zwykle bywa w dzień targowy. W jednym końcu grał góral na kobzie, w drugim cygan brzękał na drumli, ludu ścisk był wielki, zapijali litkup jedni, drudzy się spotkawszy częstowali.... Ci, co zaczęli zawczasu, już śpiewali, młodych kilku parobczaków nie mogąc tańcować, bo nie było ani gdzie, ani z kim, tupali nogami w pośrodku izby. A tłok był około szynkowni, że kieliszków szynkarz nastarczyć nie mógł. Na znak jednak kuternogi natychmiast zjawiła się butelka i znalazło miejsce.... napili się po kieliszku... Staremu wódka smakowała jak nektar, plasnął językiem... Kieliszek był na oko niby pokaźny, ale z zielonego szkła, gruby i trzymał tyle, co dobry naparstek... Mruknął kuternoga.

—Po drugim! a no cóż? po drugim, takich dwaledwie za jeden stało... a Hruzda do pół kwaterka był nawykły.

Przysiedli w kącie na ławie... Cóż tam, urodzaj? jak?— A no, niezgorzej... — Chwalić Boga... Chłopca wam pewnie jednak żal?....—Co prawda to prawda, była pomoc w gospodarce... Bał się mnie jucha i pracował, bo co moja baba, to go na nic psuła... No! już i matka lepiej nie potrafi rodzona...

—I jakże by też ona uspokoiła się nie wiedząc o nim!—dodał kuternoga...

Zaśmiał się Hruzda szeroko.

Wypili po trzecim kieliszku...

—Ona wie?—spytał szlachcic.

—A juścić! a juścić!—potakując szepnął stary—wie. A jeśli wam wiedzieć się chce... ino pilnujcie, jak we środę idzie na targ w rynku. Zobaczycie, że pewnie gdzie zajdzie, albo do niej jaki chłopak się zgłosi... i... zatulił sobie usta śmiejąc się, czapkę nacisnął.—Ja nic nie wiem!....

Jeszcze się wódki raz napili na pożegnanie i rozeszli, a gospodarz śpiewając wrócił do domu. Hruzdżina była kobieta rozumna... Zobaczywszy go podchmielonego wzięła na egzamin, nim się wytrzeźwił. Owsa było tyle, cena taka... pieniędzy zostało dosyć... a 'za cóż wódki kupił? Hruzda pochwycony indagacyą w stanie błogiego rozmarzenia rozgniewał się i zawołał:—Co ty mnie stara czarownico będziesz słuchać spowiedzi? Piję co chcę, z kim chcę... częstował mnie przyjaciel....

Rozgniewawszy się więcej jeszcze, Hruzda wygadał się, że z kuternogą spotkał się i rozmawiał.... Nazajutrz rano, stara nie opowiedziawszy się mu, pobiegła do Krakowa.... obawiając się zdrady i chcąc chłopcu oznajmić by się miał na baczności. Tymczasem los tak zrządził, że właśnie ten jej pospiech i niepokój Janka miał zdradzić... Kuternoga wyjeżdżał z Krakowa otulony płaszczem, z czapką na oczach i Hruzdzina wcale go poznać nie mogła, on ją jednak najrzał i konia zaraz nawrócił... Jechał opodal, ostrożnie, aż do

samego rynku i w rogu ulicy Floryańskiej przystanął. Ztąd doskonale widział, jak kobieta poszła pod zieloną wiechę, jak do niej chłopak wyszedł z włosami jasnemi, w kurtce siwej, i jak na schódkach stojąc z sobą rozmawiali. Ufając w to, iż go kobieta nie pozna, zakrywszy twarz lepiej jeszcze.

odjechał z koniem pod kamienicę i zwolna ją mijał, aby się chłopcu przypatrzeć, bo myślał sobie, iż tak u kupca nie jeden taki być rnusiał.

Z pod czapki oczy wlepił w Janka, a w miarę, jak mu się dłużej przyglądał, bladł jak ściana... drzeć począł, lejce koniowi puścił i nie oprzytomniał aż pominął wiechę i rozmawiających. Znać widok dziecka tak go wzruszył, iż zamiast, jechać, jak miał zamiar za miasto... koniowi pozwolił wrócić na ulicę Wiślną i... wjechał tu do bramy, która się za nim zaknęła...

Kto by był mruczenia jego podsłuchiwał... dosłyszałby może wyrazów. O! straszne, niepojęte, podobieństwo... nie! nie! jego ztąd trzeba się pozbyć, bądź co bądź, tak czy owak.... Uchowaj Boże, ona go spotka.... Panu się nic nie stanie... a mnie! Szubienica! nie... sprzątnąć go trzeba.., nie ma rady....

Materski cudem jakimś żył tak długo na świecie, nigdy go bowiem nie opuszczała ' gorączka... Wstawał i ledwie się przeżegnał, już się rnusiał gniewać, niecierpliwił się dzień cały, krzyczał, łajał, biegał, a gdy wieczorem ostatni gość wyproszony za drzwi wyszedł wlokąc nogi za sobą, trze-

ba było po kątach zbierać rozespanych chłopców, porzucane butelki, liczyć szkody, dochody i kreski na deskach kredytowe, tak, że pacierz wieczórny nawet bez obrazy Bożej się nie obszedł. Materski znużony usypiał, a we śnie marzyły mu się dzienne jego znoje i utrapienia... Biedaczysko nigdy nie spoczął. Dom jego składał się z jejmości, która w dobrej szkole uczona, tak była nieszczęśliwą złośnicą jak on, z syna, który z domu uciekł i gdzieś na Węgrzech losu szukał, podobno w parze z jakąś towarzyską, z którą się ożenić nie pozwolono; z dwóch sług płci niewieściej i dwóch chłopców urwiszów oprócz Janka... Pierwszych dni, gdy się pod zieloną wiechę sierota nasz zaciągnął, rozglądnął się zaraz w całem gospodarstwie... do roboty mu jeszcze nie dano nic. Zaprowadzony do jejmości wytrzymał indagacyę, ale miał czas się rozmyśleć, co począć było potrzeba. Nadszedł w chwili wolniejszej sam Materski... Rozpoczęła się instrukcya, co, jak, gdzie, kiedy czynić miał Janek. Wszystkiego wysłuchał.

—Za pozwoleniem jegomości—rzekł—moja historya krótka, ale ja ją powiedzieć muszę jeszcze raz. Jestem sierota, ks. kanonik Hodowski trochę mnie poduczył... ja się chcę uczyć. Służyć jegomości będę wiernie, poczciwie, muszę jednak mieć swoją wolną godzinę. Zapłaty nie chcę żadnej... dacie mi jeść i tyle.

—Czego ty się będziesz uczyć?—spytał Materski—czego? czego? czytać i pisać? hę? mistrantury Cizyojana... beków kościelnych? co to ci plechy się chce? co?

—Chce mi się coś umieć i na ludzi wyjść—rzeki Janek.

—Toś głupi kochanku... ucz się grosz robić, a wyjdziesz nie tylko na ludzi, ale nad ludzi...ot co! —zaśmiał się Materski.... Cóż to, ja cię będę trzymał, żebyś ty mi sylabizował w piwnicy?

—Nie bój się jegomość, gdzie dozoru będzie potrzeba, ja nie zawiodę... zobaczycie...

—Coś on się strasznie zawczasu chwali!—szepnęła jejmość.

—A no, wszelako spróbować trzeba—odparł Materski... Pokazano Jankowi, co miał czynić, i wzięto go na próbę. Po trzech dniach kupiec przyszedł do żony.

—A co jejmość mówisz o Janku?

—Licho go wie, co z tego będzie, nadto rozumny...

—I nadto poczciwy—dodał Materski—jeszczem takiego nie spotkał; szpiegowałem go, kropli do ust nie weźmie, grosza pilnuje, chłopcy go się boją, dziewki, zdała obchodzą... Jak on tu pobędzie, gotów i nas zawojować...

—A no dalej próba niech idzie...

Szła tedy próba dalej. Janek do dnia chodził do kościoła i do starego bakałarza, z którym u kanonika się poznał, po zamknięciu sklepu nocą przy ogarku uczył się... kluczów z rąk nie puszczał, niewidzialny ład zjawił się w handlu...

—Cóż jejmość mówisz o Janku?—spytał Materski po kilku tygodniach...

—Co aspan mnie próbujesz i zachodzisz z przełamu—ofuknęła się jejmość co—tu gadać, to po-

rządny chłopiec i rozumny. Trzeba mu zapłacić i oszczędzać go, aby nie poszedł...

—No, to prawda—mruczał Materski—a co prawda, o to widzisz jejmość, ja się sprzeciwiać nie będę, chłopiec Utsyk... jak mówi ksiądz profesor, Utsyk... ale on tu długo nie pobędzie, jemu sutanna pachnie.

— Tylko jegomość na niego bez przyczyny, jak to umiesz, nie krzycz, nie wyźwierzaj się.

— Tylko jejmość go nie łaj i nie skąp mu jadła...

—Ale bo to ty...

— Ale bo to wasani... Już się poczynali jeść państwo Materscy, wszedł Janek z kluczami i wszystko ucichło. Wstydzili Się go... Chłopak wyglądał jasno, pogodnie, młodo... szlachetniej niż to, co go otaczało...i dziwnym urokiem twarzy, głosu, wejrzenia panował prawie tym ludziom, którym służył. Jejmość mu się uśmiechnęła, Materski go po ramieniu poklepał... Przyniósł właśnie pieniądze, obrachował się z nich i nie bawiąc odszedł... W handlu na prawdę on teraz rządził, Materski tylko wziął na siebie policyą nad służbą i zabawiał się kuksaniem jej po kątach.

Tego dnia jakoś bardzo było w izbach pełno....

Janek zwykle siadywał w zakomarku pod okienikem... Nad jego ławką była framużka i w niej szafeczka, tę na użytek chłopca oddał p. Materski. Oprócz innych drobnostek Janek w niej trzymał książki, a gdy w handlu nie było co robić, i gości brakło, siedział tu na straży i korzystając z czasu —uczył się. Z ławki swojej miał oko niemal na całe

swoje mieszkanie i z tyłu na służbę i na skład butelek... Chłopcy nie mogli przejść, żeby ich nie zobaczył... Niekiedy gdy brakło usługi, wychodził i sam pomódz drugim... Znali go już niektórzy zwykli goście p. Materskiego i polubili wszyscy. Uskarżali się tylko, że nie skory był do gawędy, a przy winie gawęda bywa pilną potrzebą. Czemby człowiek wino i butę jego przemeł, gdy nie językiem? Wszystko by to w środku zostało i mogło by w końcu zaszkodzić. Właśnie Janek siadł^w swoim kątku klucze powiesiwszy u pasa, gdy w progu zjawił się mężczyzna siwy, barczysty, twarzy ponurej, brwi nawisłych, opierający się na kiju z siekierką... nakuliwający nieco na jedną nogę. Wszedł jakoś krokiem niepewnym, wahając się niby, czy ma próg przestąpić, znać tu niebywały, bo nie wiedział gdzie sobie miejsca ma szukać... Obejrzał się dokoła... przy stoliczkach, gdzie już siedziało osób kilka, miejsca nie zajął i pociągnął do drugiej puściejszej izdebki. Los tak zdarzył, że chłopcy byli wszyscy zajęci. Janek więc podszedł spytać go, czego sobie życzy... Mężczyzna ów podniósł głowę, oczy w niego wlepił, patrzył długo milczący... usta mu się otwarły niby mimowoli... głowa trzęsła... głosu [brakło. Znać był zmęczony. Naostatek zebrał się jąkając na słowo:

—Proszę... aspana... butelkę starego miodu...

—Starego?

—Jak najstarszego... Janek wyszedł, bo rnusiał zapalić kaganek i znijść do lochu, do którego w trzeciej izbie były w dół wiodące wprost schódki.

Powrócił wkrótce ze starą butelczyną, i z lampką wraz zaniósł ją owemu jegomości, który żadnego poruszenia jego, żadnego kroku nie prześlepił... wciąż nań patrząc jak w tęczę...

Gdy butelkę na stole postawił... chciał odejść, ale stary ozwał się:—Nalejże mi...

Janek powoli czarny ów napój, gęsty, bursztynowo-świecący lać zaczął.

—Hm—rzekł przybyły—coś to tu asan nowy... bom go nie widywał...

—Tak jest... od niedawnam tu...

—A imię aspana?—Janek...

—Z kądże to z miasta? ze wsi?

—Jestem w mieście już drugi rok...

—A dawniej?...—Byłem na wsi nieopodal.

—Gdzie? u kogo?—Czy to panu na co potrzebne—zapytał chłopiec.

Stary ramionami ruszył.—A po co mi to ma być potrzebne! Tylko się dziwuję, że tak porządnie wyglądający chłopak zaprzągł się do służby u tego krzykuna i hałaśnika Materskiego. A to ci pokój niemiły.

Janek się uśmiechnął...

—Jak nie ma za co, p. Materski nie krzyczy...

—A to by był cud, żeby mu się gęba zamknęła...

—Przepraszam pana—odparł Janek—ale skądże o tern pan może wiedzieć, kiedy tu nigdy u nas nie bywa...

—Bywało się dawniej.

To mówiąc z pod krwi krzaczystych spojrzał nań gość, pociągnął miodu i splunął.

—Cóżeś to ty mi dał?—rzeki—miód? ale zdębiały... ja takiego nie lubię...

—Miał być bardzo stary....

Materski już zwąchawszy coś nadbiegł.

—Co tam takiego? hę? Co pan każę? Co? złe? omyłka... czy nie w smak?

— Omyłki nie ma, samem winien... miodum chciał starego, dali mi tego chyba, co go król Piast warzył, bo gębę ściąga jak drutem.

Materski butelkę porwał, powąchał: A no! —rzekł—jeszcze się pan skarży?

—Wołałbym słodszy...

—Hej Janku, butelkę zamknąć—zawołał kupiec—przyjdzie ksiądz Scholastyk, on takie lubi... a jegomości dać z pod drugiego okna, pękata....

Spełnił Janek polecenie i poszedł.

Zkądżeś to panie Materski—zapytał przybyły--napytał takiego zręcznego chłopaka?,....

A! to panie perła!—zawołał kupiec—ale sza! żeby nie słyszał. Znać, że w rygorze miejskim się wychował, sierotka... takiegom nie miał jeszcze...

— Co za jeden?

—Bóg go wie—mówi, że ze wsi, ale to nie chłopska krew—dodał Materski-nie, ja się na tern znam. Powiadam panu, że to śmiech jest... ale ci starsi ludzie,co tu bywają, wszyscy jeden w drugiego okrzykują, że jak dwie krople wody podobny do nieboszczyka wojewody. Nawet brodawkę, którą miał tamten pod lewem uchem, i ten ma...cha! cha!

Przybyły gość jak nierzytomny zerwał się z siedzenia i ledwie dał gospodarzowi dokończyć.

—Ale co znowu! głupstwo! imaginacya! ${}_k$bała-

muctwo, paplanina! Znałem nieboszczyka, najmniejszego podobieństwa. Jeden zmyślił, a drudzy za panią matką pacierz powtarzają.................. Najmniejszego, powiadam Wam, najmniejszego podobieństwa!

—Przecież ludzie różni.

—Ludzie głupi! co to jest!—ofuknął przybyły—to nie ma najmniejszego sensu! Cóżby z tego wnosić przyszło? że wojewody dziecko? Ależ to był człek czysty i znany, a gdy zmarł temu lat, jeźli się nie mylę, czternaście, świeżo się był ożenił.... Chłopiec zaś....

—Chłopiec właśnie w tym wieku—rzekł Materski—Ale, proszę pana Brzeskiego, wszak tak podobno mam honor...

Nieznajomy głową kiwnął, skłonili się sobie...

—Proszę pana Brzeskiego, kończył kupiec, czy po wojewodzie zostało potomstwo?....

— Był ponoś synek...—tak—bąknął Brzeski—ale zaraz w parę lat umarł...

Zatrzymała się rozmowa. Brzeski jakby mimowoli mruknął. Gdzież ta brodawka pod uchem?

Właśnie Janek wchodził z pękatą buteleczką, i gdy J4 odkorkowywał, gość miał czas przypatrzeć się brodawce, która była bardzo widoczna.

Materski cały się zajął reprezentowaniem miodu... otarł lampkę, nalał powoli i podał ją tryumfując Brzeskiemu.

—Spróbuj pan... to miód kapucyński—rzekł —ale racz wniknąć w treść tego napoju ambrozyi.... wiosną czuć, lipą, młodością, a mimo to stary, wytrawny... i nic nie stracił z gęstości swej, nic

z barwy, nic z woni, tylko siły nabrał... Chorych uzdrawia, umarłych wskrzesza...

Brzeski niosąc lampeczkę do ust uśmiechnął się....

—A co? a co?—dodał Materski.—Mówią o winach tokajskich i innych, że to perfekcya napojów, a ja powiadam, że nie ma jaK miód, tylko nie taki jaki dziś pertolą... W klasztorach to miody były... ej... panie...

W tej chwili brzęknęło coś potłuczonego w drugiej izbie, i Materski ścisnąwszy pięście wyleciał wnet spełniać obowiązek swój karny.. Brzeski został sam, bo Janek był odszedł, siedział jednak tak, iż chłopca mógł widzieć i wpatrując się w niego o miodzie zapomniał...

Kiedy i jak wyszedł, nikt nie spostrzegł, znalazła się butelka zaledwie poczęta na stole, a Janek ją na nowo zakorkowawszy, o nazwisko gościa spytał gospodarza, doniósł o niedopiciu i zachował resztę dawszy jej na szyje znaczek.

—Myślałem zawsze—rzekł Materski—iż to jest rozumny człek ten Brzeski, a to osieł.Jakże takiego miodu nie dopić... porzucić! Gdzieindziej by to ga=wiedź wychlała i tyle... Zęby nie Janek, toby ten święty miód poszedł na paskudne gęby... Toć grzech...

W trzy dni potem nad wieczór zjawił się nakuliwając pan Brzeski, tylko już nie sam... Z nim razem przybył drugi mężczyzna słusznego wzrostu, pańskiej miny, przy szabli, lecz tak otulony i kolnie-

rzem zakryty, iż mu tylko nos czerwieniejący widać było...

U Materskiego trafiało się różnie, miał gospodarza zasadę szanować incognito... Niejeden dygnitarz, gdy się chciał napić co dobrego, przysunął się tak o szarej godzinie, zawiązany.

Materski nigdy nie śledził, kto pił, byle wypiwszy zapłacił... I tym razem choć popatrzył trochę, ustąpił z drogi... poszli dwaj ichmoście do bocznej izby... Janek za nimi... poznał zaraz p.Brzeskiego...

—Pan tu ostatnią rażą prawie całą butelkę miodu zostawił, czy mam ją podać?—spytał...

Co Brzeski odpowiedział, nikt pono nie słyszał, znać mu się język piątał... Oba przybyli zapatrzywszy się na Janka stali gdyby osłupieli. Ten ich wziął za napitych. Powtórzył pytanie, kiwnęli głowami... Janek wyszedł... Zaledwie znikł, słuszny mężczyzna padł na ławę i za głowę się pochwycił.

— Prawda jest — zawołał—prawda, żyw nieboszczyk! To nieszczęście... żyw... on tu pozostać nie może... Róbcie co chcecie, bierzcie co chcecie... Pomsta to Boża chodząca. Struchlałem zobaczywszy go... Brzeski... dnia jednego nie można zwlekać... ludzie już gadają... sprzątnąć go należy... sprzątnąć...

—Na miłość Bożą! cicho—przerwał Brzeski...

Janek wchodził właśnie z uśmiechem stawiając butelkę i lampeczki. Oba rozmawiający zamilkli jak przerażeni znowu... Brzeski znać pierwszy ochłonął.

—No—rzekł do chłopca—a jakże tam waszeci z Materskim?

Zdziwiony nieco chłopak rzekł:

—A cóż, dobrze mi tu jest...

—Ale byś asan czegoś lepszego wart—dodał Brzeski zwolna.—Masz przystojną dosyć postać i znać, żeś roztropny... poszedłbyś na dwór, wzięli» by cię dla urody, i czegoś byś się dosłużył.

— Na dwór?—zapytał Janek—na jaki?

—Na pański! Zycie tam lepsze niż tu...

—O! ja się z miasta nie ruszę—rzekł chłopak— bo ja tu uczyć się mogę i uczę.

—Hę? czegóż?—zdziwiony pochwycił Brzeski, bo drugi piłj milczał.

—Łaciny, a po trochu tam i innych rzeczy...

—I na co ci to?

—Proszę pana, ja nie wiem—zawołał Janek—ale mi się zdaje, że człowiekowi nauka, jak roślinie słońce potrzebne. Dusza się do niej rwie...

Goście spojrzeli po sobie zdumieni.

— Bałamucisz, moje dziecko—po chwili dorzucił Brzeski... czasu , który na naukę stracisz, 'użył byś lepiej, nauka chleba nie daje, a na starość...

Janek się cofnął do progu, jak gdyby rozmowy unikał, i rad był ją skończyć, skłonił się i Wyszedł... Gdy się drzwi za nim zamknęły, mężczyzna, który siedział w ciemnym kącie zawiązany, wstał jak sprężyną rzucony i począł wielkiemi kroki chodzić po izbie, trąc czoło i rwiąc suknie na sobie; nie mówił nic, ale pasował się z sobą tylko... Brzeski nań patrzał niespokojny ..

-Niech no pan siada.... niech pan siada... nie trzeba nigdy tracić przytomności...

Zdawał się nie słyszeć i nie*słuchać drugi.

~7 grobu wstał!—zawołał—on! żyw! Jego głos... mowa jego... oczy... twarz... Brzeski precz mi z nim!....

—Cierpliwości!—szepnął Brzeski—na miłość Bożą cierpliwości.

—Płać... szafuj pieniędzmi... rób co chcesz... Dosyć, aby ona go zobaczyła...[6]ona, a wszystko się odkryje... srom, hańba... miecz katowski... Brzeski... z tym świadkiem jednego dnia żyć nie mogę....

Chmurny, milczący Brzeski miód popijał, postawił szklankę na stole, wstał, zbliżył się i ujął za rękę rozgorączkowanego towarzysza...

—Zrobię, co chcesz—szepnął cicho... a no krwi, nie przeleję... nie! za nic! niewinnej krwi na sumieniu mieć nie chcę, nie.... Użyj pan kogo chcesz, nie mnie, nie mogę...

— Milcz!—gwałtownie przerwał uderzając go w piersi ręką towarzysz—milcz! któż ci o krwi mówi? kto? milcz! nie chce nic, słyszysz nic! obejdę się bez twojej pomocy...

Odwrócił się wzgardliwie i przechadzał znowu, Brzeski powrócił na siedzenie.

—Słuchaj pan—rzekł surowo... kraj szeroki... jest przecie go zadziać gdzie tak, by nie wrócił... co tu myśleć wiele... porwać łatwo, uwieść można i zamknąć... asz przecie zamków dość i ludzi wiernych dosyć alboż pierwszyzna więzień w lochu? wszak mógł się porwać i popełnić zbrodnię, któż karać ma poddanego, jeźli nie pan jego?

—Ani pomocy twej ani rady nie potrzebuję sucho ozwał się drugi—milcz.... dość tego!

Burząc się tak przeszedł jeszcze izbę kilka razy i padł na ławę zwiesiwszy głowę.... Brzeski podniósł się, wziął go za rękę i pocichu coś na ucho szeptać mu zaczął.... Rozmowa głośna zmieniła się w niedosłyszane mruczenie.... które trwało długo, aż oba ochłonęli i na pozór zgodni... zamilkli... Janek zajrzał... Oczy obu ich podniosły się na niego... Kazano dać flaszę wina, i już handel Materskiego miał się zamykać, gdy po długich konszachtach dwaj goście zakrywszy twarze wynieśli się z niego pocichu....

Od tego wieczora codziennie o jednej godzinie przybywał pan Brzeski do handlu Materskiego, wypijał nie więcej nad jednę miodu lampeczkę powoli, przynoszącego Janka zatrzymywał rozmową i widocznie go polubiwszy, starał się obudzić w nim ku sobie zaufanie.—Młede chłopię miało naturę łatwo dającą się pociągnąć i przywiązującą do ludzi dosyć powiedzieć na dowód, iż zgryźliwa pani Materska i krzykliwy mąż jej nawet nietylko mu się nie przykrzyli, ale ich prawie pokochać potrafił. Szczeglónym wszakże fenomenem, w naturze się trafiającym, jakiś wstręt czuł Janek do słodzącego się doń Brzeskiego. Człowiek ten obudzał w nim obawę dziwną, odpychało coś od niego... Maleńkie podarki, czułości nie przyciągały Janka ale raczej odpychały. Zycie też owo w gwarliwej winiarni, wśród ciągłego roztargnienia, niedozwalającego nigdy zebrać myśli, zaczynało mu się przykrzeć.— Nie mówił o tern nikomu, ale przemyślał, jakby się z tycń twardych uwolnić więzów.... Niestety miał tylko do wyboru lub ukradkową naukę przy pracy

dla chleba, albo żebraninę po domach, upokarzają» cą i bolesną... Bakałarz, który w wolnych godzi» nach pomagał mu do nauki, książek dostarczał i otuchy dodawał, był godnym następcą kanonika Hodowskiego co do serca, co do głowy, tę miał tak przewróconą, jak wszyscy ci, co się niedouczywszy czegoś, nie mają siły postrzedz nawet, jak wiele im braknie. Był on nauczycielem dzieci w infimie, lecz przekonanym zarazem, iż gdyby nie złość ludzka, powinni mu byli katedrę filozofii powierzyć co naj= mniej w uniwersytecie. Zdanie to i opinię o sobie jak najlepszą opierał na w istocie niepospolitej zna= jomości języka łacińskiego, który umiał doskonale, lecz po za tern... nic a nic więcej. Głowa była cia= sna... zajęta cała regułami tego języka... a przez język nie umiejąca nawet sięgnąć do myśli, która się w nim wyrażała... Ze mu się często udawało barbaryzmy doktorów i profesorów poprawiać, wzdymał się tedy pychą ogromną, i mawiał naiw= nie, iż w Krakowie całym nikt mu rzemyka nie godzien był rozwiązać... Stary już pan Euzebiusz Bramiński, wyglądał jeszcze krzepko i zdrowo, tylko mu się plecy nieco ugięły pod ciężarem nie= sprawiedliwości i krzywd doznanych od tego świa= ta. Chociaż świecki, nosił się w sukni kleryckiej i przybierał powagę duchownego. Figura była ol= brzymia, długa, koścista, z nosem nie rzymskim wprawdzie, któryby mu bardzo przystał do roli, ale zato niepomiernie wielkim, z twarzą, zawiesi» stą, z głową spiczastą, o szyi wyniosłej. Nogi, na których spoczywał, i ręce, któremi dowodził, sto»

sownie do postaci rozmiarów dała mu natura... Spojrzawszy nań, zwłaszcza gdy na ów nos wdział okulary mosiężne, głowę dźwignął i skandował wiersz jaki, ręką wybijając miary, można go było wziąść za rzeczywistego profesora uniwersytetu. A tymczasem Bramiński nawet stopnia magistra filozofii dobić się nie mógł i wegetował w podziemiach budowy akademickiej, nauczając bębnów pierwszych zasad czytania, pisania i rachunku... Ilekroć nad losem swym zastanowił się pan Euzebiusz Bramiński, tyłekroć z ironią boleści pełną cytował najzjadliwsze satyryków ustępy—prze“ ciwko rodowi ludzkiemu... Doszedłszy do siwego włosa, a nie mogąc się dobić ani lepszego chleba, ani wyższego stanowiska, Bramiński dał kpu światu za wygraną to — prawda -ale pocieszał się nie oszczędzając go wcale.

Za co Bramiński polubił Janka, trudno odgadnąć może iż był biedniejszy jeszcze od niego... może iż mógł dlań grać rolę protektora i mecenasa... dosyć, że go uczył i zaszczycał swojem zaufaniem. Bramiński oprócz lekcyi w szkółce dawał prywatne w mieście, ale to wszystko'razem wzięte ledwie go żywiło... i mieszkał komornem u niemłodej wdowy po przyjacielu swym, niegdyś organiście u P. Maryi na Kleparzu. Złe języki utrzymywały, iż się z nią miał żenić, jeszcze gorsze dowodziły, iż o czternastoletnią jej córkę zamierza się starać, gdy ona dojdzie lat dwudziestu, a on sześćdziesięciu pięciu; były to bajki wierutne... bo Bramiński już na żadną, pocieszniejszą przyszłość nie rachował. W dworku u Tadeuszowej miał na

piąterku izbę dosyć widną i dogodną... i tam pę= dził pozostałe od pracy godziny samotnego żywota, pocieszając się grą na skrzypcach. Z charakteru i usposobienia Bramińskiego łatwo się domyśleć, iż za równie znakomitego miał się wirtuoza jak uczonego... Ale niewdzięcznemu światu... geniuszu swego objawić nie chciał... Goryczą tą uzbieraną przez długie lata żył konserwując się w niej doskonale... Pocieszało go to, iż Tadeuszowa i jej córka przynajmniej, wiedziały, jak on był wielkim... umiały go cenić i szanować. Do liczby wybranych należał Janek, który nazywał go panem profesorem i w rękę całował. Właśnie jednego wieczora chodząc po izbie wygrywał Bramiński jakieś trele, którym wycie psa z blizkiego podwórza towarzyszyły w naprzykrzony sposób, gdy zapukano... Euzebiusz przerwał grę, ale mocno rozgniewany... Któż tam?—zawołał.

Pokazała się głowa Janka i gniew zniknął.

— A to ty, chłopcze... chodź! chodź! Miałem złożyć właśnie skrzypce... No cóż tam! Quid novi fert africa!

— Nic nie ma, panie profesorze,’ -- westchnął Janek—przyszedłem się pokłonić... i użalić...

— Cóż ci to? mów...

— Biada... zdaje mi się, że nie wytrzymam dłużej — mówił chłopiec. — Choć to się nazywa winiarnią, ale to zawsze rodzaj szynku... wrzawa, hałas, niepokój i o nauce pomyśleć trudno...

— A jakże sobie rady dasz?—poważnie spytał wyciągając szyję i strojąc protektorską postawę Bramiński.

— Gdyby pan profesor mi dał radę!

— Do bursy cię żadnej nie przyjmą .. to darmo — odparł Euzebiusz tam panuje intryga i nepotyzm... każdy wciska jeźli nie ubogich krewnych, to powinowatych sług swoich i protegowanych przez zauszników. Jak wszędzie na świecie prawdziwa zasługa i prawdziwe ubóstwo odepchnięte... Patrz na mnie... żywym jestem przykładem niesprawiedliwości świata tego... Jaką ci radę dać? chyba tę, żebyś był podłym i głupim ażeby ci na świecie dobrze było, bo takim tylko fortuna sprzyja... Stultos fortuna juvat.

Profesor przeszedł się parę razy po izbie.

— A jeść trzeba, a jeść trzeba, albo z głodu umierać — dodał jakby do siebie. Nagle odwrócił się do chłopca, i zawołał archimedesowem—Eureka! uderzając się palcem w czoło.

— Wiesz ty co? Kupcowa, ale kobieta wielce szanowana i groszowita, wdowa po bogatym garbarzu Salomonie... nazwisko ze starego testamentu, ale ona do nowego należy—nie bój się -- ma trzech synów, wisusów. Chodzą oni do szkoły, ale ba! idąc do niej zwiedzają wszystkie zaułki i tłuką szyby żydom, przekupkom wywracają stragany... kradną obwarzanki, kotom ogony w pęcherze wiążą... wisusy, łajdaki rozpuszczone to na dziadowskie bicze... Salomonowa mi mówiła, że gdyby się znalazł uczciwy, porządny, spokojny chłopak, który by z nimi chodząc, dozorował i do nauki w domu napędzał i dobry im przykład dawał... chętnie by mu wikt i stancyą ofiarowała...

Janek poskoczył do ręki profesora z wyrazem największej radości.

— A! to wybawienie dla mnie! — zawołał — to szczęście.

— Nie ciesz się tylko tak do zbytku, bo chłopcy Salomończyki urwipołcie jakich mało, i życie ci z nimi może obrzydnąć. Ona kobieta dobra ale słaba, radaby, żeby ich na ludzi kto wyprowadził, a dyscypliny nie dopuszcza. A cóż poradzić z krnąbrnym duchem bez rózgi? Tylko co sieczone to zdrowe, z gagatkówgnój.

— A! z chłopcami dalipan dam sobie radę...

Profesor pomyślał.

— No, to chodź... dom pani Salomonowej nie=daleko... poco zwlekać... stante pede się to zrobi, i do szkoły będziesz chodził, jak się należy...

Janek jeszcze raz w rękę pocałował profesora i wyszli. W istocie kamienica kupcowej była niedaleko, a poznać ją mógł przeczuciem Janek po krzyku, jaki trzej chłopcy, ośmio, dziesięcio i jedenastoletni robiil, wisusując w podwórzu... Ukazanie się poważnej postaci profesora spłoszyło nieco Salomończyków... Wdowę zastali w domu z kumoszką, która na kawę przyszła. Znać było po izbach dostatek wielki i starą zamożność... wszędzie pełno kosztownego sprzętu, kobierców, szaf a w szafach za szkłem sreber i szkieł weneckich i wszelkich osobliwości. Salomonowa, niewiasta otyła, rumiana, łagodnej twarzy... wynosiła się z dostojnością imienia swego, wielką przybrawszy powagę.

— Czcigodna pani a najłaskawsza dobrodziejko —ozwał się kłaniając bakałarz — oto przedstawiam

jej młodego, chciwego nauki chłopca, niegdyś wychowańca profesora Hodowskiego i mojego ucznia... który—zdaje mi się-ufam, tuszę, spodziewam się, potrafi zbytnią rozbujałość chłopców jej powstrzymać... Jeźli pani trwasz w zamiarze swym...

Wdowa popatrzyła na Janka, który śmiało w oczy jej spojrzał, jakby całą duszę w wejrzenie chciał przelać i wyspowiadać się z niej, poczęła pytać o sierotę. Nie bardzo jej było do smaku, iż z rodziców wykazać się nie mógł, choć z twarzy i miny podobał się jej wielce... Była tedy chwila niepewności i wahania, oglądano i badano Janka jak konia na sprzedaż wyprowadzonego, w końcu sprowadzono trzech paniczów, aby im go zaprę» zentować. Dzieciaki przyszły go dokoła też opatrywać, nie bardzo rade może nowemu towarzyszowi. Janek stał milczący, odpowiadał śmiało, a resztę polecił Bogu. I to nie po myśli było wdowie, iż w winiarni czas jakiś służył, ale przeważyła rada Bramińskiego i — Janka przyjęto... Pocałował w rękę panią Salomonowę... umówiono się, iż jak można najrychlej się sprowadzi... a tymczasem chłopak pędem pobiegł nazad do Materskiego, bojąc się, że tam już sądny dzień zastanie. W istocie gotowało się jak w garnku, ale gdy nadszedł, Materski złagodniał i wszystko weszło w karby zwyczajne. Za stołem w izbie siedział Brzeski już za swoją miodu lampeczką... Przywitał Janka czule... Słyszał zdała wrzawę i pytania:

— Gdzieżeś to chodził? a coś robił? czego tak długo bawiłeś?

—Porzuciłbyś bo tych Materskich—rzekł cicho do Janka—jabym ci inne znalazł miejsce....

Chłopiec nie chciał się jeszcze wydać z tem, *że* je już miał, i spytał:

— Jakież proszę pana?

— Tu w Krakowie widzisz—odezwał się Brzeski—trudno o to... Jabym cię zawiózł... mam znajomego w klasztorze, przy szkole... w pewnem miejscu... miałbyś wszystko, opływałbyś jak pączek w maśle... a co ci to niejedno? tu czy tam, byle szkoła? Ludzie poczciwi... uczeni... Chcesz? zabierz manatki, zajadę po ciebie jutro w nocy i... już się o resztę nie troszcz...

Janek nic nie odpowiadając skłonił się; myślał że się to w przypadku grymasów pani Salomonowej przydać może...

— Niechże mi pan da cokolwiek czasu—rzekł. —Toć to... tak się wyrwać trudno... muszę zmiarkować. Za dobroć pańską wiecznie mu będę wdzięcznym...

— A po cóż odkładać, po co odkładać? Odkładany tylko ser dobry — zawołał Brzeski — potem ja nie wiem, czy będę mógł... boć ja w tych dniach jadę... a to drogi kawał... a potem...

— Aleć ja i tak Materskich bez opowiedzenia się porzucićbym nie mógł.

Brzeski machnął ręką.

— A co ci tam Materscy!

— A! nie, panie! ja tak powiedzieć nie mogę, ludzie ci dali mi przytułek, gdym go potrzebował... opuścić ich niewdzięcznie grzechem by było.

Stary kulawy popatrzył i zamilkł.

— Mam jeszcze kogoś, z kim bym się pożegnać rnusiał — dodał Janek... a bez rady i błogosławień-

stwa bym nie ruszył, tę poczciwą, przybraną matkę moją... na wsi...

— A co ci tam ona!— mruknął Brzeski z szyderskim wyrazem... co ci tam te chłopy...

Janek nie odezwał się, ale krokiem odsunął się od człowieka, do którego czuł wstręt coraz większy... Mimo to jednak wdzięczny mu być rnusiał, bo on mu dobrze życzył i wyciągnął dłoń pomocną...

—Niech mi pan raczy dać czas do namysłu...

Brzeski podumał.

— Jak chcesz—odezwał się—no... dzień, dwa, dłużej nie mogę, ale pamiętaj, gdy ci szczęście samo w ręce lezie, abyś potem odepchniętego nie żałował... — To mówiąc nałożył czapkę i poszedł.

Przerzedzało się co chwila w winiarni, godzina była spóźniona, chłopak nie tknąwszy książki, skulony na ławeczce, dumał nad losem swoim: Co począć! — W tych stanowczych chwilach, gdy się rozstrzyga jednym krokiem przyszłość cała, nawet dziecię czuję tę trwogę nieznanego, nieodgadnionego, która ogarnia człowieka... W młodości więcej jest wiary w gwiazdę szczęśliwą i w opatrzność łaskawą, a przecież drży serce... bo któż sięgnie proroczem okiem w głębiny? Jankowi było straszno i smutno. Trzy drogi miał przed sobą. Zostać u Materskich i bić się dalej a dalej, pójść do Salomonów, pojechać z mało znanym a wstrętliwym opiekunem, który mu się narzucał?

—Stara Hruzdzina miała dla mnie serce matki—rzeki w sobie — może też ona mieć będzie macierzyńskie poczucie, co lepiej? Pójdę się jej poradzę...

Janek widywał często przybywającą do miasta poczciwą starą, która go nigdy nie ominęła... lecz ani razu nie zajrzał na wieś. Sądził, że teraz bezpiecznie tam na chwilę przekraść się może... Szlachcic był zachorzał i zmarł, a panicz podrósł i czuba natartego zapomniał. Jakaś go wielka ochota brała miejsce to odwiedzić, gdzie się chował i gdzie pierwsze przeżył lata, których nawet bóle słodko się później przypominają...

Więc gdy Materski szedł burcząc zamykać drzwi żelazne. Janek mu się pokłonił.

— Miałbym prośbę do pana...

— Hę?-spytał kupiec—już prośbę? już myślisz, że takeś mi się zasłużył, że tak się bez ciebie jak bez prawej ręki obejść nie potrafię, iż możesz ze mnie ciągnąć co zechcesz...

— Ale ja nic nie myślę — odparł Janek:.— i o nic więcej nie proszę, tylko o uwolnienie mnie na jeden dzień, bo muszę pójść na Prądnik.

— Hę? już świerzbi? już świerzbi? -■ zawołał Materski—po co? na co? aby bąki zbijać?...

— Matkę przybraną chcę... widzieć i z nią się poradzić.

Kupiec aż drgnął.

— Cóż to za rada? czy już cię piecze, czy już ci źle?

—Łaską pańską nie gardzę, lecz...

—A! idź! idź! nie pytam więcej, idź sobie... na cały dzień, na dwa dni! myślisz, że się bez asindzieją nie obejdę, obejdę... otóż obejdę... idź...

Chłopiec milcząc się pokłonił i na tern się skończyło. Kupiec sądził, że go nastraszy, i zląkł się widząc, że to nie zrobiło zamierzonego skutku.

—Jak mi drapnie—rzekł w duchu — nie łatwo takiego znajdę.

Naradzali się z żoną długo, ale nic nie postanowili. Jak świt Janek z bijącem sercem wyruszył. Ranek był letni, pogodny a świat uśmiechnięty i wesoły... wyszedłszy z miasta, między drzewa... na zieloność okrytą rosą, serce się mu rozradowało... Tak długo siedział wśród tych murów... oddychał stęchlizną... a tu tak było jakoś po Bożemu, wśród łąk, zbóż, drzew, z szerokim widokiem na ziemię i niebiosa... Aż lekko mu było iść po drodze, na której nie kamień uliczny, ale ziemię czuł, matuchnę rodzoną. W duszę wstępowało i życia pragnienie i nadzieja życia... Ptaszki śpiewały, śpiewali ludzie, kwiaty kołysały się na łodygach, gałęzie spuszczone zdawały się go witać i chcieć pogłaskać... Droga ta była znajoma... lipy, olchy... chaty... twarze ludzi, wszystko aż do wesołych zwierząt, które spotykał... szło się prędko nie czując najmniejszego znużenia. Już był Janek na pół drogi, gdy zdała, czy oczy łudzą? — patrzy, wlecze się z króbką stara Hruzdzina spuszczoną mając głowę, bo pacierze odmawiała, nie rychło go postrzegła... Chłopiec nie chcąc jej nastraszyć począł śpiewać zdaleka. Dopiero zwolna oczy podniosła i stała zdumiona.

— A toż Janek...

— Ja sam?

— Cóż ty robisz? dokąd? stało ci się co? mój miły Boże!

— Nic, nic, dobra matko— rzekł całując ją po rękach—anom do was zatęsknił jakoś...

Zawahała się stara.

—Hruzdy nie ma w domu, mnie dziś do miasta nie koniecznie, wróćmy do chaty, większe pół drogi uszedłeś... toć się tobą pół dnia nacieszę.

I poczęła go ściskać a głowę schyloną pocałunkami okrywać... Jankowi się na łzy zbierało... Przeżegnali się przed blizko stojącym krzyżem i zawrócili do Prądnika... a szli nie spiesząc, powoli... a Hruzdzina potykała się co chwila, bo zapatrzywszy się na dziecko, pod nogi spojrzeć zapomniała.

—Otóż tak, prawdę mówiąc całą—ozwał się po pierwszych słowach Janek — jam nie darmo się u Materskiego wyprosił... bo myślę coś z sobą, a postanowić sam nie umiem.

— A czyż to ja rozumniejsza jestem od ciebie!—wzdychając odpowiedziała kobieta...

— O! matko droga—zwołał Janek— rozum macie starszy od mojego i serce matczyne... radźcie.

— Cóż radzić?

Począł Janek opowiadanie... Zaledwie o kulejącym wspomniał, kobieta plasnęła w dłonie.

— Jezu miły! a toż kuternoga ten pewnie, co cię przywiózł do nas. Jemu ty na coś potrzebny. Nie darmo on ci tak z łaską się swą narzuca...

— I co prawda — rzekł Janek—człek mi czegoś straszny i wstrętliwy...

—Jakże wygląda?

Chłopak opisywać go począł, a Hruzdzina dokończyć nie dając wołała już:

— Ten sam, na Boga, strzeż się, strzeż... on na ciebie czatuje, a jeśli wywieść chce, nie bez przyczyny. Zgubę ci może gotuje... Za nic do niego nie idź... za nic.

— Otóż widzicie, matko—rozśmiał się chłopiec — że głupi Janek wcale postąpił nie głupio, idąc po radę do was... ani by mi na myśl nie przyszedł kuternoga.

— Toć on, to on,—poczęła stara, a dla większej pewności gotowam przyjść i stać, aby go zobaczyć.

Dalej Janek wspomniał o Salomonowej.

— No, w tern—zawołała Hruzdzina—nic nie poradzę, ale ci jedno powiem, na co się głupia głowa moja zdobyć może... Pójdź do kościoła, mszy świętej wysłuchaj pobożnie, proś Ducha świętego o natchnienie, a coś on powie, posłuchaj...

Tak gwarząc do chaty przyszli. Pusto tu było Hruzda z parobkiem w polu, kobieta jeść im poniosła.. na płocie siedziały wróble i sroki popląc coś niezrozumiałego. Bury kot Hruzdzinej wylegiwał się na słońcu... zresztą, żywej duszy. W chacie Janek zastał po staremu wszystko, te lata przeszły po niej nietknąwszy jej nawet... tylko mu się ciaśniejszą wydała... Hruzdzina rozmawiając przygotowała przyjęcie... a starej z tego niespodzianego gościa tak się radowało serce... że ciągle ze szczęścia na łzy się jej zbierało. I nie postrzegli się, jak dzień zeszedł. Jankowi na wieczór potrzeba było

do domu powracać... rnusiał więc staruszkę pożegnać i zwolna do miasta podążał. Wieczór jeźli piękniejszym nie był od poranka, to pewno nie mniej miał wdzięku, choć wcale różnego. Rano wszystko się rwało do życia, teraz do spoczynku... pieśń nadziei mieniła się w chór dziękczynny... Ludzie i zwierzęta spieszyły do schronień, w których część siebie zostawiły... Słońce jeszcze całym blaskiem świeciło na pożegnanie, gdy Janek idący zwolna gościńcem ujrzał przed sobą osobliwszą jakąś kawalkatę.

Widocznie był to pański dwór, który z miasta powracał. Szła kareta sześciu końmi zaprzężona, w złocistych z niebieskim aksamitem chomątach, koło niej służba strojna w barwę świetną... i jezdni, którzy z koni pozsiadali, bo i pani tego dworu, korzystając z pory, z towarzyszką swą szła bokiem gościńca pieszo... Za nią dwóch hajduków niosło chustki i książki z klamrami i koszyki... Właśnie po tej stronie dróżką szedł Janek, kędy owe panie zwolna kroczyły. Zdała się im przypatrywał. Jedna była już stara a zdawała się towarzyszką, bo tamtę podtrzymywała i wybierała jej ścieżynę najlepszą; druga młodsza, Z twarzą bladą i smutną a bardzo jeszcze piękną, oczyma niebieskiemi w szeroki świat patrzała jakby nieprzytomna... zbolała i zobojętniała? Oczy te wypłakane błądząc tak bez celu, padły na zbliżającego się chłopaka, który czapkę zdjął, blond włosy długie opadły mu na ramiona, ze ścieżki ustąpił i czekał tak, aż ów dwór się przesunie. Im bardziej zbliżała się pani ku Jankowi, tern dziwniejszym wyrazem okry wała się jej twarz... drgnęła, stanęła, podeszła

krok, rumieńcem oblała... oddech się w piersiach zatrzymał, wejrzenie wlepiła w chłopaka... wreszcie zrównawszy się z nim, zatrzymała.

Starsza pani, która jej towarzyszyła podniosła głowę — i krzyknęła... Ludzie idący za paniami przelękli się i myśląc, że chłopak co zawinił, rzucili się, by go zepchnąć dalej z drogi, gdy pani owa wyciągnęła rękę i skinęła na chłopca... Janek podszedł... Dziwna rzecz, przywoławszy go nie mogła wymówić słowa, patrzała, łzy jej z oczów pociekły, i ledwie nie rychło pohamować się w płaczu potrafiła. Tymczasem towarzyszka... która się z równie pilną uwagą przyglądała Jankowi, postrzegłszy brodawkę pod uchem, zbladła jak trup i trzęść się zaczęła... Nie rzekła słowa, ale i jej rzuciły się łzy z oczów. Janek stał ciągle nie wiedząc co począć... i co to wszystko znaczyć mogło...

Kobiety spoglądały po sobie, ludzie szeptali, wszyscy przypatrywali się Jankowi i zdawali osłupieni, aż w ostatku pani się przeżegnała, jakby wzywając pomocy Bożej, i słodkim głosem ozwała się do Janka...

—Zkąd ty jesteś moje dziecko?

Odpowiedź była nader trudną... Janek nie wiedział naprawdę, zkąd był, z Prądnika, czy z Krakowa...

— Ja jestem... sierota—rzekł—ludzie z Prądnika przytulili mnie, a teraz służę w Krakowie...

Głos dziecka nowe wywołał wrażenie... obie kobiety coś przerażone jakby...

— U kogo służyłeś?

— U kupca, proszę pani, ale—rzekł Janek—wła-

śnie do matki przybranej szedłem się radzić, bo bym się chciał uczyć... bardzo bym pragnął się u-czyć, a służąc tylko po nocach mogę...

— Jakże się ty zowiesz?

Janek się zarumienił mocno. — A, proszę pani — rzekł — imię mam Janek, we wsi mnie byii lu= dzie głupim Jankiem przezwali, i to mi . się zosta-ło... Właśnie, że na rozumniejszego bym rad wyjść, uczyć się pragnę...

Pani słuchała, patrzała i płakała i rozstać się jej z tern dzieckiem było trudno... a zatrzy-mywać dłużej nie mogła. Chłopak miał czapczynę w ręku i poglądał niespokojnie na słońce, bo mu do miasta czas było... kobiety poszeptały coś z sobą...

— Moja Modrzesiu... moja droga — zawołała półgłosem pani — pożycz mi, daj co masz... na pa-mięć jego... i tego, któregom straciła w kolebce... a któryby może dziś był w jego wieku... ja mu chcę pomódz... ja mu chcę dać, co tylko mam... teraz, teraz... Potem, któż wie, już go... niewól-no mi będzie szukać... Modrzesiu, ratuj... dam ci kanak perłowy! masz pieniądze?

— Pani, kilka dukatów...

Służba usłyszawszy słowa pani, a chcąc speł-nić jej życzenie, bo ją znać wszyscy kochali, jęła kieszenie przepatrywać... Dobyto z woreczków, kto co miał... Dworzanin rękodajny właśnie był ode-brał w Krąkowie i miał przy sobie dwieście czer-wonych złotych, podbiegł więc, wołając, iż pe-wnie więcej nie trzeba... Z chciwością jednak za-garnęła kobieta i te dwieście, płacąc za nie uśmie-

chem, i co kto miał, tak że niespodziewanie okooł trzechset dukatów się zebrało....

— A! to mało, to cień mojego męża i dziecka...

To mówiąc zerwała z szyi łańcuch złoty...

— Nastaw mi czapkę — zawołała wzruszona — oto masz, abyś się miał uczyć za co!

I ucałowała go w głowę... ale dotknięcie do niej... odjęło jej przytomność, omdlała... Wszyscy rzucili się ratować... Janek padł na kolana przed nią i rozpłakał się. Otworzyła oczy, i pierwsze wejrzenie jej padło na chłopca, który z czcią jakąś i trwogą patrzał wciąż na nią....

—Pani moja najłaskawsza—odezwał się cicho— a cóż ja pocznę z tylą złota! a czyż mi ludzie uwierzą... że mi je darowano?

— Powiesz kto ci je dał... pani z pod Niepołomic, którą napotkałeś w drodze...

Dworzanin szepnął mu do ucha nazwisko i razem dodał:

— Dziękuj i idź chłopcze... idź... boję się, żeby to naszej pani nie szkodziło... Dobremu jej sercu i swojemu nadzwyczajnemu podobieństwu do nieboszczyka pana zawdzięczasz to szczęście...

Mówiąc to dworzanin także popatrzył na ucho Janka, i usta mu się zacięły... Chłopiec uklęknąwszy nogi i ręce pani ucałował, a miał już z pełną tą czapką odchodzić, gdy go ów mężczyzna, który był dwieście czerwonych złotych pożyczył, na stronę odciągnął.

— Ile masz lat? zapytał cicho...

—Przybrana matka mówiła mi, żem miał cztery» gdy mnie do nich przywiózł kuternoga... -

Na to słowo mężczyzna pochwyciwzsy za ramię chłopaka, aż krzyknął.

— Nie wiesz, jak się zowie?

— Nie wiem... ale...

Dworzanin w myśli rachował... a lat temu ile?

.•— Jedenasty...

Czoło pytającego zachmurzyło się.

— Gdzie teraz jesteś?-zapytał.

— Służyłem w winiarni u Materskiego...

— Bóg wielki — wyrwało się z ust dworzaninowi, i nagle pohamował się, ostygł... Poklepał chłopca po ramieniu.

— Jeślibyś oddalał się gdzie, zostaw u Materskiego o sobie wiadomość, ona mi będzie potrzebna...

’ Kobietę napół omdlałą wsadzono do powozu a jeszcze z uśmiechem oglądała się na Janka... Dworzanin poskoczył ku pani... Janek stał, dopiero gdy konie ruszyły, gdy wszystko jak sen zniknęło w tumanie kurzawy, przysiadł nad brzegiem rowu, aby obmyśieć, co ma ze swym skarbem uczynić.

Czapeczka prawie była pełną dukatów, na wierzchu jej spoczywał gruby łańcuch złoty z medalem, w którym za szkłem widniały relikwie świętych... Janek ucałował je, i chroniąc naprzód tę pamiątkę drogą, zarzucił na szyję pod koszulę... dukaty potem zawiązał w chustynkę i tak... pijany swem szczęściem, modląc się, śmiejąc, płacząc, marząc pospieszył do Materskich, pewien, że go tam straszne czekają burze.

W istocie Materski cały ten dzień boży na wąs motał, nikt mu dogodzić nie mógł, chłopców niemiłosiernie tłukł... żonę nielitościwie łajał, do gości się nawet czepiał i sam z sobą się kłócił — ku wieczorowi spotęgowany zły humor doszedł do najwyższego stopnia, czekał tylko na Janka, ażeby go wylać w całości na niego. Janek powoli rozmarzony idąc, opóźnił się wielce; już jedna połowa drzwi była przymknięta, co gościom przypominać miało, że czas się było wynosić, gdy chłopak ukazał się w progu.

— Ha no! przecież! przecię!—zawołał Materski myślałem, że jaśnie wielmożny panicz już nie raczysz zawitać w ubogie progi moje! — No cóż? jakże podróż się udała?

Janek wesół odparł!—A! bardzo szczęśliwie.

— To źle że trochę za długo trwała — rzekł Materski.— Mówiłem ci, żebyś mi był na godzinę szóstą, a oto bije ósma u P. Maryi.—Więc cóż?

— Bardzo przepraszam pana...

— I myślisz, że już po wszystkiem?

— A żem się, opóźnił nie moja wina — dodał Janek.

— Czyjaż? moja zapewne? hę?-spytał kupiec.

— Nie alem miał przypadek.

— Cóż to tam? Konie ponosiły, czy but, z pozwoleniem, trząsł? — rozśmiał się złośliwie Materski.

—Nie, miałem spotkanie.

— Ha? z królem JMością, czy z ks. Prymasem?

— Z panią z pod Niepołomic...

Janek dodał nazwisko, Materski się zdumiał, ale zaraz krzyknął:

— A nie łżyjże! a nie łżyj!

— Święta prawda...

— I cóż? co? gawędziłeś z nią?

— Al święta pani! —przerwał Janek — a dobra pani! a złota dobrodziejka moja...

— Cóż to tam? dała ci tynfa?

Janek się uśmiechnął, dobył chustkę, rozwiązał węzły i odkrył złoto swoje...

Materskierau klucze z rąk wypadły... a oczy o mało z powiek nie wyskoczyły... Słów mu zabrakło...

— Widzi pan — rzekł Janek...— Rusini mówią: Nad sierotą Bóg z kaletą...

Kupiec stał niemy. Gniew go odszedł zupełnie, ogarnęła jakaś niepewność i trwoga.

— Gadajże jak to było? Bajka jakaś, czy kłamstwo...

Janek po swojemu opowiadać zaczął...

Osłupiał słuchając Materski...

— Daj pieniądze, trzeba je przeliczyć.

Siedli tedy na ławie, a Janek dobywał po trosze i składał w kupki dziesiątkami. Gdy pierwsze sto odliczyli, i zgarnął je na bok, kupiec nie mógł już słowa przemówić, a zaczęli rachować drugie sto... Janek znowu odłożył je na bok.

— Cóż? jeszcze tam są? — zapytał kupiec—zajrzał w czapkę: leżało na dnie sporo.

— A! niechże cię kaci porwął —niech cię porwą! — chwytając się za głowę począł stary... toć się pod jakąś gwiazdą urodził, żeby na gościńcu pieniądze zbierać... na, licz...

Liczyli jeszcze i wyliczyli znowu sto... ale na dnie już. pozostało tylko sztuk sześć... Janek ze-

brał swój skarb, zawiązał go znowu w chustkę., i milczał.

—To jeszcze nie wszystko —rzekł.

— A cóż masz więcej? jeszcze masz więcej? — krzyknął Materski...

Janek odsłonił suknię i na piersi pokazał *łańcuch*, złoty... zdjął go z poszanowaniem całując relikwie... i podał kupcowi... który osłupiały... odważył tylko na dłoni... Biorąc na jedną rękę dukaty, na drugą szczerozłoty, ciężki ów pancerzowy łańcuch; przekonać się było łatwo, że ów sam więcej ważył niż wszystkie razem pieniądze...

Kupiec westchnął, aksamitną czapeczkę nakształt jarmułki, którą nosił zawsze na głowie obawiając się zawiania, zdjął i pokłonił się z szyderską rewerencyą Jankowi.

— No, teraz tyś pan, a że nie lubisz łotrować, bylebyś się nie popsuł, byle cię źli ludzie nie odarli, byłeś miał rozum i byle ci Bóg jakjdotądszczęścił... no... to ci świat otwarty. Ja... po ojcu wziąłem handel, ale widziałem wielu takich, co od czerwonego złotego poczynając dorabiali się krociów... Gdyby ci tylko ta głupia mania nauki odeszła... a ochota robić grosiwo napadła... pójdziesz daleko... Ale masz Janku lat ledwie piętnaście, nastają gorące życia godziny, pokusy straszne... jesteś bez opieki, grosz się uśmiecha wszystkiem, co dać może... Jedno waszeci powiem... niech Bóg szczęści... niech Bóg szczęści...

Janek starego w rękę pocałował...

— Dobry panie—rzekł —choceście mnie połajali nieraz, ale ja dobre wasze serce dla mnie cenię,

szanuję i nigdy o niem nie zapomnię. Bóg niech wam płaci za sierotę!...

Janek całą noc oka zmrużyć nie mógł, modlił się, myślał, układał plany... Koniec końcem tyle miał teraz kłopotu z pieniędzmi, ile wprzód z powodu, że ich brakło. Przychodziła nareszcie obawa rabusia i złodzieja, rzezimieszków i oszustów, pieniędzy tak znacznych trzymać przy sobie nie było podobna, a oddać je lada komu—strach. Materski był uczciwy człowiek, ale nie wyrzymałby i zaraz wina z Węgier sprowadzał, a potem kapaniną odbierał... Bramiński zacny także, wielce goły był i nie zamczysto koło niego. Przychodziła tedy na myśl pani Salomonowa... ale z tern rnusiał Janek czekać do jutra....

Z rana pożegnawszy na dobre Materskich, posunął się chłopak do niej ze swoim skarbem...

Tymczasem, gdy go już nie było, nadciągnął Brzeski na swoją lampeczkę, a jak zwykł zawsze naprzód o Janka się dowiadywać, tak i tym razem zapytał...

— Gdzież mój chłopiec?

— E, już go pan tu nie zobaczysz — odparł Materski.

— A cóż się z nim stało? wygnaliście go, czy co?

— Nie, sam poszedł, anim go myślał strzymywać. Chłopcu się szczególniejsze trafiło szczęście...

— Cóż takiego? co?

— Wczoraj chodził do przybranej matki na Prądnik... a no, wracając spotkał panią... z pod Niepołomic...

Brzeski zbladł i za stół się pochwycił.

--Nie wiem, jak to tam było, czy jej ten Janek kogo przypomniał, czy się rozrzewniła jego sieroctwem... Dosyć że wyściskała, ucałowała, pobłogosławiła, dała mu łańcuch złoty z relikwiarzem, ważący ze trzysta dukatów, i dodatku gotowizną na edukacyę trzysta sześć obrączkowych...

Kupiec spojrzał na stojącego przed sobą Brzeskiego i aż się przestraszył. Kuternoga był trupio blady, wargi mu się trzęsły, oczy miał w słup stojące...

— Co panu takiego?

— Zgrzałem się czy coś... mdło mi....

Skoczył chłopak po wodę, Brzeski obalił się na ławę... Nie przyszło ani na myśl kupcowi, ażeby opowiadanie jego miało być przyczyną tak wielkiego wrażenia. Gość spuścił głowę i dumał. Przyniesiono mu wodę, podano lampkę miodu, wychylił jedno i drugie po kolei, i jak wrosły siedział na ławie nieruchomy. Kiedy niekiedy potoczył wzrokiem dokoła... i z piersi wyrywało mu się westchnienie.

W całym handlu ile było osób z kolei wszystkim przygodę Janka poszedł opowiadać Materski... tak że o tem tylko gwarzono przy wszystkich stolikach, niektórzy już wprzódy z innego jakiegoś źródła o przygodzie tej wiedzieli, bo głośną była w mieście.

—Wszystko to—rzekł szlachcic ze wsi, siedzący opodal—bardzo się łatwo tłumaczy kto zna anecedencye famiijne.. a pono by nam najlepiej je opowiedzieć potrafił oto tu przytomny pan Brzeski quo rum pars magna fuit.

— Przepraszam pana Wojskiego — odezwał się pot ocierając ze skroni zagadnięty — ja przybyłem na dwór Podskarbica już później nieco... gdy się miał żenić...

— Jako żywo — przerwał Wojski—byłeś asindziej jeszcze u wdowy, musiałeś znać i widzieć to dziecię, które tak nagle zmarło, a po którem ona utulić się nie może... Otóż ów synaczek podobny być miał kubek w kubek do nieboszczyka ojca, a chłopak wczoraj spotkany i do niego i do Wojewody... Cóż dziwnego, że rozżalona kobieta, której teraz na świecie tak dobrze pono nie jest... wspo= mnienie szczęśliwych dni ta magnifice powitało.

— Przepraszam pana Wojskiego — powstając z ławy przerwał Brzeski—jestem oficyałistą Podskarbica, męża pani tej, i nie mogę tego ścierpieć, aby go niesłusznie obwiniano... Pani naszej chyba pta» siego mleka w domu braknie, a że dziecię umarło... któż winien! Boże to zrządzenie.

Wojski uśmiechnął się.

— Albo Boże — rzekł — albo czyje inne... Hej! wiedzą sąsiedzi jak to Jeży i jak siedzi... Dziecko nie na rękę było... Różnie o tern piszą i mówią.

— Panie Wojski dobrodzieju— łamiąc ręce zawołał Brzeski — w publicznem miejscu takie rzucać słowo... a czyż to się godzi?...

— Nie godziłoby się—mruknął stary szlachcic —gdybym ja je sobie z palca wyssał... ależ to chy-

ba waćpan jeden nie wiesz o tem, iż cała okolica trzyma, że dziecka się pozbyto...

Brzeski oburzał się strasznie.

— A, na rany pańskie...

— Cóż? relata refero, niech mi przytomni poświadczą—zwrócił się do milczących świadków... Podskarbic nie dbał coś o serce swych współobywateli, ani o dobre ich o sobie mniemanie, to też zbiera owoce... On nam, myśmy mu obcy. Plotka złośliwa rosła, urosła, rozkrzewiła się, nikt go nie bronił, a teraz...

Nie miał już co mówić Brzeski, chwycił za czapkę ze stolika i zawołał: »

—Czołem panom! ja tego słuchać nie mogę...

Wychodząc słyszeć mógł śmiech, który się rozległ za nim. Chwilę potem jakby namyślając się, stał jeszcze Brzeski w progu kamienicy pod wiechą i ruszył krokiem pospiesznym. Podskarbic miał przy ulicy Sławkowskiej kamienicę, która mu z jego ojczystych zmarnowanych majętności wielu, jakiemś szczęściem ocalała. Za lepszych czasów przodkowie jego, piastujcy godności dworskie, tu zamieszkiwali stale lub czasowo. Urządzona też była dawniej z przepychem, który teraz ustarzał, i przy nowych gmachach przestronniejszych wydawała się ciasną, poznać w niej wszakże było można dom senatorski nie tylko po wykutym nad bramą herbowym znaku, ale z całego rozporządzenia... Zabudowana w kwadrat, z dziedzińcem w pośrodku, ozdobionym dawniej fontanną, i okrążonym krużgankami, opuszczoną była, ale mieszkalną. Najmować jej obcym nie chciał Pod-

skarbie, trzymał w niej starego klucznika, stróża i dawnego swego totumfackiego okaleczałego, który się już z krzesła, na którem go wożono, nie ruszał. Podskarbic miał pewne w życiu chwile, pewne jakieś tajemnicze potrzeby, fatanzye, dla kto” rych się tu zamykał i czasem bawił po kilka miesięcy... Niekiedy też przyjmował tu owych serdecznych przyjaciół młodości, z którymi pił i hulał nieprzerwanie po kilka tygodni. Sodoma i Gomora działa się tam, jak mówiono, gdy na nich ta kanikuła przyszła.

Zona Podskarbica choć często i do zamkowego kościoła i do grobu św. Jacka przyjeżdżała do Krakowa, nigdy nogą w tym domu na Sławkowskiej ulicy nie postała. Smutne to było domostwo, ale poważne jeszcze... opuszczone w części, a pełne nietkniętych prastarych pamiątek. Podskarbic mieszkał zwykle na pierwszem piętrze od tyłu i ogrodu, który był niewielki ale cienisty... Zajmował on kilka pokojów trochę odświeżonych i wygodniej urządzonych... Od ulicy były sale sklepione, służące do przyjęć, pełne czarnych obrazów, ciężkich stołów i stołków, sprzętu nadniszczonego i zapylonego... Brama nigdy, nawet we dnie otwieraną nie była, chyba gdy kto obyczajem włoskim, ogromnym pierścieniem wiszącem ze lwiej paszczęki, uderzył we wrota... Naówczas przychodził stróż, przez zakratowane okienko z zasuwą wglądał, pytał i nie puszczał, aż się poradził, gdzie należało...

Podskarbic właśnie był w mieście od dni kilku. Brzeski wiedział o tern i wprost od Mater-

skiego szybkim krokiem, pobiegł, o ile mu kulawizna jego dozwalała, na Sławkowską ulicę... Miał on taki umówiony sposób kołatania do wrót, że mu stróż jako domowemu natychmiast odry» glował.

Stało się i tym razem, że ledwie miał czas pot otrzeć z czoła, już się furta dla niego otwarła. W podwórzu było jak zwykle pusto. Na wyschłej misie wodotrysku, w której pełno było piasku, świergocąc kąpały się wróble... ukośny promień słońca połowę krużganków oświecał fantastycznie... Na schodach panował już cień wieczorny... kuternoga wdrapał się na nie, przeszedł cały szereg korytarzy i sal, nareszcie do pańskich drzwi zapukał. Nie wszedł jednak skoro, bo wewnątrz słychać było kilka głosów różnych... dopiero za powtórnem pukaniem uchylono drzwi, rumiana twarz Podskarbica ukazała się gniewna...

— Kto tam?!

Postrzegłszy wszakże swojego pomocnika i duszę zaprzedaną, Podskarbic nie wpuszczając go do komnat, wyszedł ku niemu...

— Proszę na ustęp... wnijdźmy—gdzie... bo są ważne rzeczy...

— A ty mi dokuko nieznośno, ptaku złej wróżby, zawsze musisz przyjść coś złego zwiastować, gdy ja chcę nieco odetchnąć!—zawołał Podskarbic.

— Ja bym nie chciał, ale muszę- szepnął Brzeski—tu chwili do stracenia nie ma....

Podskarbic otworzył drzwi ciasnego gabinetu narożnego i wprowadził za sobą Brzeskiego... a rzuciwszy się na stojącą w kącie sofę, rzekł:

— Mów!

— Stała się rzecz najgorsza> jaka tylko stać się mogła—szepnął Brzeski— nim zdołałem namówić chłopca, boć go przecie z pośrodka miasta siłą zabrać niepodobna... Pani go spotkała na drodze, uderzona została tern nadzwyczajnem podobieństwem... stała się scena wpośród gościńca... Ludzie go otoczyli, widzieli znamię pod uchem... Pani zebrała, co było pieniędzy przy służbie, zdjęła z siebie łańcuch złoty i wszystko to oddała chłopcu... płacząc i błogosławiąc...

Podskarbic, który się był rzucił leżeć i spoczywać, zerwał się słuchając i przyskoczył w końcu do Brzeskiego, chwytając go za gardło.

— A któż winien, niegodziwcze jakiś—zawołał — jeżeli nie twoje tchórzostwo, głupota niezgrabstwo?... Czemużeś go nie uwiózł, nie uprzątnął, nie zaprzepaścił... nie...

— Dobierzże pan sobie lepszego sługę! — wyrywając się z jego rąk krzyknął Brzeski—dość tego!

Odstąpił krok ku drzwiom, jakby chciał iść.

— Stój., niedźwiedziu ty jakiś, stójże! Gadaj mi — wołał Podskarbic. — Wziąłem cię gołego, napchałeś się u mnie, zbogaciłeś, nakradłeś, a teraz myślisz, że ja ci tak dam pójść bezkarnie, gdy ci się zechce?

Na twarzy Brzeskiego bezsilny, ale straszny gniew się odmalował...

— Nie wziąłem u was darmo nic, takie usługi, jakiem ja wam świadczył, drogo płacić się muszą— mruknął—pójdę, gdy zęchcę i nie uczynicie mi nic, bo wiecie, że mogę sam zginąć, ale gdy zechcę, to i was zgubię...

— No, milcz... dosyć! — sucho przerwał Podskarbie—do rzeczy! Chłopca należy sprzątnąć...

— Teraz gdy na niego wszystkie oczy zwrócone? — spytał Brzeski.

— Teraz, gdy ma kilkeset dukatów, a miasto całe wie o tern, zniknie i nikt nie posądzi innych sprawców, tylko zbójców, co na pieniądze czyhali —odezwał się Podskarbic.—Nie ma tu co myśleć... daj go tylko do kamienicy na ręce Hurdy, a ten będzie wiedział co z nim ma zrobić... Do bramy go przyprowadzić o mroku nie wielka rzecz... więcej od ciebie nie potrzebuję...

— Tak! tak! łacno wam rzec! — niewyraźnie wyjąknął Brzeski— ale.

— Musisz go wziąć, czem i jak chcesz... Hurdę ja zawiadomię co czynić ma... byłeś mu go do rąk oddał... Jeśli ty się nie sprawisz, znajdę innego, lecz mi się więcej nie pokazuj na oczy, i zrób testament a wyspowiadaj się.... Sługą być nie chcesz, nieprzyjacielem musisz, a ja nie ścierpię wroga swobodnie chodzącego...

Podskarbic wstał i siadł trzęsąc się znowu i powstał raz jeszcze:

—Rozumiesz... masz do wyboru... zrób swą powinność lub... gotuj się iść tam, zkąd się nie powraca... Ja już nic nie mam do stracenia—dodał z iskrzącemi się oczyma— albo było nie zaczynać lub potrzeba kończyć!!

Gdy ex=wojewodzina nazajutrz stanęła w swej rezydencyi nad wieczorem, znużona drogą i chora,

z powodów zapóźno obmyślanej ostrożności, żaka» zano dworowi o przygodzie na drodze u Prądnika rozpowiadać... Służba też, która dalej stała, nic nie wiedziała i nie widziała oprócz tego, że chłopcu ubogiemu na drodze dano sutą jałmużnę, co żadną osobliwością nie było. Dworzanin tylko rękodajny, który w podróży zastępował marszałka i koniuszego zarazem, i towarzyszka jejmości, co się zblizka chłopcu przypatrzyli, wiedzieli, dla czego pani tak była wzruszoną, i wrócili pełnych różnych myśli.... Ex-wojewodzina położyła się czując niezdrową, a w parę godzin potem P. Bronisz powołany do towarzyszki jej, starej Łowczynej, wsunął się do jej pokoju...

Zastał ją na progu oczekującą, schwyciła go zaraz za rękę.

— Poczciwy mój Bronisz —zawołała—ty tu jesteś jeden człek z głową, na którego rachować można i zwierzyć mu się godzi... Byłeś świadkiem wszystkiego... Pani rozmarzona, spłakana... poruszona... Co to jest? co może być? mów... Nigdy mi się głupim gadaniom wierzyć nie chciało... ale to znamię... złym ludziom... wszystko możliwe... któż wie, kto ten chłopiec...

— A pani Łowczyna dobrodziejka — rzekł Bronisz — jam się też przez całą tę drogę myślami namęczył... Bóg jeden wie, co to jest, ale dochodzić trzeba...

— A! śledź! dochodź! byłbyś dobroczyńcą tej kobiety—rzekła Łowczyna. — Ja co myślę, tego powiedzieć sama przed sobą się boję. Podskarbica nie winię, ludzie czasem chcą myśli pańskie zgadywać i gotowi choć na zbrodnię. Brzeskiego waćpan znasz...

Bronisz kiwnął głową milczący.

— Łowczyno, dobrodziejko, zawczasu ani mówić nic, ani obiecywać nie mogę, proszę się spuścić na moje gorące do pani przywiązanie... zrobię.. co sumienie i rozum podyktują.

Pocałował w rękę staruszkę i wyszedł. Mrok padał... Od zamku w którym mieszkała ex-wojewodzina, a któryby dziś właściwiej pałacem się już był mógł nazywać, lipowa stara aleja wiodła do miasteczka, do którego niedochodząc stała plebania, przy niej kościół i cmentarz... Bronisz pospieszył na plebanią do proboszcza... Był nim starzec, niegdyś obowiązany rodzinie wojewody, człek zacny, pobożny, spokojny, ale wiekiem i chorobą złamany. Zastępował go w kościele i parafii wikary z Krakowa przysłany, czynniejszy nad niego, którego dla rozległych wsi, do kościoła należących, że je ciągle objeżdżać rnusiał, rzadko w domu było zastać.

Staruszek przywitał Bronisza jak syna... zaczął o podróż rozpytywać, o zdrowie pani, o Kraków, nowiny... Wszystko to zbyło się słowy krótkiemi... Bronisz widocznie miał coś na sercu, i i pilno mu było z proboszczem się rozmówić.

— Ojcze — rzekł, szepcąc mu do ucha—mam do was prośbę największej wagi... ale sub rosa... Na miłość Bożą wysłuchajcie mnie... i pomóżcie do wyświecenia prawdy...

—Ale cóż to jest znowu? przestraszasz mnie!— rzekł starzec — żart czy prawda?

—A! prawda i bodajby nie była bardzo smutną —dodał Bronisz...— Posłuchajcie, stare to są dzieje, ale nikt ich lepiej nad was nie pamięta... Gdy się

pan podskarbic z panią naszą żenił, dziecko mu było bardzo na zawadzie, ze wszech miar... Pani wyjechała na pogrzeb matki, a dziecię umarło, i zmarłe pochowano jakoś tak uwinąwszy się, że nikt go po śmierci nie widział... Ludzie pletli i powtarzali że się chłopca pozbyto, a byli tacy, co imiennie Brzeskiego o to obwiniali.

Staruszek podniósł głowę, i palec położył na ustach. Cicho dziecię moje, cicho. Bóg sędzią uczynków ludzkich, co pomoże dochodzić przeszłości... Bezkarnie nic nie uchodzi... Cierpliwości.

— Ależ posłuchajcież, ojcze kochany, jak się to składa — zaczął Bronisz, i powiedział spotkanie z chłopięciem, i dojrzane znamię i rozczulenie biednej kobiety, która w sierocie ubogiej cień własnego dziecięcia ściskała.

A jeźli ten przypadek wprowadza nas na drogę... dodał —może to palec Boży? któż wie? alboż dziecko nie mogli rzucić tak na wieś gdzieś, by się go pozbyć...

— Przecież je pochowali, tu w familijnych grobach... rzekł staruszek.

— Gdzie?

— Pod kościołem.

Bronisz starca w rękę pocałował.

— Nie godzi się to, prawda— rzekł—spoczynku zmarłych naruszać, lecz gdy się dochodzi zbrodni, zdaje mi się, że nie byłoby grzechem przekonać się czy istotnie w tej trumience...

Proboszcz zrazu rękami się zasłonił i słuchać nie chciał po chwili jednak jakoś z przestrachu tego ochłonął. Bronisz nalegał ciągle... trudno mu się było oprzeć.

— Od grobów familijnych klucze *są* u mnie — rzeki nareszcie staruszek — nie puszczę cię samego, bo byś tam nic nie znalazł, nikt prócz mnie trumienki tej wskazać nie potrafi... ʳTrzeba iść, niech Bóg przebaczy, pomodlim się za ich dusze... Waćpan mnie podprowadzisz, bo mi nogi nie służą... Z nocą pójdziemy do kościoła, nikogo to nie zadziwi, czasem tego służba Boża i obowiązki wymagają, nie będzie to bezprzykładnem i żadnych podejrzeń nie obudzi...

Bronisz zapalił stojącą latarkę przy drzwiach, zabrano klucze, i przez podwórze plebanii, nie spotkawszy nikogo, przeszli łacno na cmentarz opasujący kościół, dostali się stąd do zakrystyi, a przez nią do głównej nawy, w której drzwi żelazne zakrywały schody wiodące do sklepów... Bronisz nie potrzebował pomocy, by je podźwignąć, po złych wilgotnych schodach, niosąc latarkę w ręku, rnusiał prowadzić staruszka, któremu nogi i oczy nie służyły.... Gdy nareszcie w dół zeszli, w świetle słabem latarki pokazał się sklepiony loch nizki, cały zostawiony trumnami. Niektóre z nich stały już jedne na drugich, bo wiele pokoleń grzebiono tu od wieków kilku, i miejsca zmarłym zabrakło... Wązkie tylko przejścia pozostawały pomiędzy kośćmi i okruchami desek... aby się dostać do głębi.

—Pomiętam dobrze—rzekł proboszcz— iż trumienkę małego Jasia zostawiono przy tylnej ścianie za inne, a powinnaby przypierać do kasztelańskiej. Ztresztą napis na niej wykuty był ćwieczkami, a mocna dębowa trumna w lat jedenaście w miejscu tak suchem zbutwieć i rozpaść się nie mogła....

Z trudnością wielką dostali się na miejsce wskazane, i Bronisz postrzegł stojącą pod ścianą w kąciku, opisaną przez proboszcza trumnę dziecka, nabijną gwoździkami białemi. Była jeszcze cała i trzymała się nieuszkodzona; Bronisz wcisnął się jak mógł najbliżej, a że w miejscu otworzyć jej nie było podobna, rnusiał z ostrożnością, ująwszy za antaby, wysunąć bliżej... Wieko było szczelnie zabite... lecz idąc na tę nieszczęśliwą wyprawę, dwo=rzanin uzbroił się wcześnie w dłuto i młotek. których potrzebę przewidywał... Kląkł na ziemi i po kilku uderzeniach poczuł, że wierzch odskoczył... Proboszcz schylił się z latarką, żegnając z trwóg! jakiejś niewysłowionej.... drżącą ręką Bronisz podniósł wieko... pokazały się pod nim opony jakieś, które wnet w głąb opadły, bo były przebutwiałe...... na dnie leżały trzy kamienie....

Jeden z nich wyjął Bronisz milcząc i pokazu» jąc go proboszczowi.... który również jak on... słowa odezwać się nie mógł. Obaj drżeli przejęci.... Dowód występku popełnionego tajemniczo, był jasny... Dla Bronisza nie pozostało już najmniejszej wątpliwości, iż ów chłopak sierota... był synem wojewody, umyślnie rzuconym na zatracenie... Staruszek też w duszy wielbił opatrzność, która niepojętemi drogami prawdę odsłania i występkowi bezkarnie ujść nie daje...............

Trumienkę z kamieniami w niej, złożono w miejscu, wyszli nazad z grobów pomodliwszy się... Bronisz drzwi zamknął i zaryglował.................. powrócono spokojnie na plebanią. Tu staruszek natych-

miast protokuł oględzin podyktował, sub fine et concientia, który obwarowany pieczęciami w dwóch kopiach sporządzono. Jedną z nich zabrał sobie Bronisz, druga została na probostwie....

Wyszedłszy z domu przy ulicy Sławkowskiej, Brzeski mrucząc gniewny, wprost udał się do własnego, odziedziczonego po kanoniku Hodowskim. Nie mieszkał on w nim, zwykle będąc zmuszonym ciągle odbywać podróże i objeżdżać dobra lub siedzieć na wsi; ale na drugiem piętrze, tern właśnie, które zajmował kanonik, mieszkała jego żona. Schronienie to posłużyło jej dla odsunięcia się od męża, który przystał na to, żeby w mieście osobno zamieszkiwała. Niepotrzebując pomocy od niego, pani Tekla utrzymywała się z dochodów, jakie kamienica wynajęta przynosiła, ubogo wprawdzie, ale szczęśliwie, iż się pozbyła nienawistnego człowieka. Brzeski wymówił sobie tylko izbę od podwórza, sypialnię niegdyś kanonika, w której czasem będąc w mieście odpoczywał, pisał, nocował. Od tej klucz nosił przy sobie. Rzadko kiedy jednak go tam widywano. Brzeska nie mając dzieci, nie mając zajęcia, ani celu w życiu, cała była oddana nabożeństwu. Od rana chodziła z kościoła do kościoła, wracała się pożywić tylko, szła na nieszpory, a wieczorami przed ustawionym w domu ołtarzykiem, z dwoma babkami, śpiewała litanie i godzinki.... Zdawało się jej, że w ten sposób i za grzechy męża odpokutuje...........

Niespodzianie wpadłszy do domu, Brzeski nie znalazł nikogo oprócz Maciejowej, dawnej gospodyni kanonika, która tu wróciła, umiejąc się siostrze zalecić. Poszedł do swej izby.... i legł na łóżko, potrzebował się rozmyśleć i wypocząć....

Chociaż później wróciła do domu żona, nie zaglądała do niego, zaniesiono mu jeść, przeleżał tak cały dzień do nocy się nie ruszając... Sen go naostatek zmorzył. Pani Brzeska zajrzała pod wieczór, co się z nim dzieje, i zobaczyła go wyciągniętego na łóżku, a chrapiącego strasznie..... Była to godzina jej modlitw, poszła je więc odprawiać sama, bo tego dnia nie miała zwykłych towarzyszek, a Madejowa wcześnie spać się kładła....Już klęczała u ołtarzyka, gdy od izby mężowskiej doszły ją jęki i jakby dwa różne głosy.... Chociaż dwie ściany przedzielały izbę tę, w której klęczała, od sypialni wśród ciszy nocnej słychać było wyraźnie, jakby kłótnię i wrzawę. Przerażona tern kobieta, gdyż nikogo wchodącego nie słyszała, zerwała się od modłów, otworzyła drzwi jedne i drugie i stanęła w progu mężowskiego pokoju. Brzeski leżał jak wprzódy na łóżku, ale się rzucał i przez sen gadał....

Tekla stanęła jak wryta i słuchała................

Wyrazy, które się z ust śpiącego wyrywały, były jakby odpowiedziami na zapytania............... milczał chwilę, potem głosem żałości pełnem odezwał się jak winowajca indagowany...

—Krwi nie mam na sumieniu.... nie zabiłem go.... nie chciałem.... Nie zmazałem się krwią niewinną... Panie, ulituj się i przebacz... Winien ten,

co mnie do występku namówił, co mnie do tego ku» sił......

Przebacz, o panie, grzesznej duszy mojej...

i przez sen bił się w pierś, aż jęczało w niej.

— Chcą, żebym im go wydał.............. Ja wiem, co z nim uczynią. Hurda posadzi go do lochu, i powo- Ii głodem go umorzą... Lecz jakże go ocalę... Ty wi= dzisz, Boże, iż mi cięży, com popełnił, a nie chcę grzeszyć więcej... Pomóż mi panie, dźwignij, ratuj! ratuj! ratuj!

Ostatnie trzy wyrazy coraz głośniej wykrzy- kiwał Brzeski, aż się na ostatek zbudził i porwał i siadł na łóżku... W mroku ujrzał stojącą na pro= gu żonę i przeraził się, począł wołać: kto tam? gdzie ja jestem! gdzie?

—Uspokój się! przeżegnaj! ja to jestem — odez- wała się żona—Bóg z tobą.... Co ci jest? męczyłeś się strasznie we śnie....

—I mówiłem co przez sen?—zawołał przelękły Brzeski.

—Powiedziałeś wszystko, coś miał na sumie- niu, a o czem ja i tak zdawna wiedziałam —spokoj- nie poczęła kobieta...—Pan Bóg chciał, bym była tu i w porę jeszcze zakląć cię mogła; Adamie, nie gub duszy Twej! błagam cię, umyj ręce od grze- chu, zrzecz się spólnictwa z nieprawym... Gińmy lepiej, niżelibyśmy dla marnej godziny na tym świecie zbawienie sprzedawać mieli....

Tak mówiąc uklękła zapłakana.

— Kobieto—zawołał Brzeski—jeśli wiesz wszy- stko....... powiedzże mi, jak siebie i... dziecko rato- wać mam.... A co pomoże, iż ja ręki nie podam? albo on siepaczy i najemników nie znajdzie?

— Bronić trzeba dziecięcia—poczęła Brzeska— nie dosyć odstąpić od współudziału w zbrodni, o=bowiązek jest jej zapobiedz............

Brzeski zwlókł się z posłania i ciężkiemi noga=mi, kląkł, a raczej rzucił się na kolana przy łóżku. Oboje zaczęli się modlić głośno.... grzesznik był nawrócony.

Od dwóch już dni stara biedna kobieta chodziła pląCząc po mieście od domu do domu, dopytując się o chłopca, który służył u Materskiego, a od niego się oddalił; wyszedł, jak powiadano, ze znacznemi pieniędzmi, udając się do kupcowej Sa=lomonowej, i odtąd go już nie widziano. Krok w krok szukając jego śladów, wieśniaczka powlokła się do kupcowej i dowiedziała się tam, iż Janek u niej był w istocie, że się umówił z nią o dozór nad dziećmi, pieniądze i łańcuch u niej w depozycie zo=stawił, ale się więcej nie pokazał.... Bramiński, do którego poszła także, zapewniał, że u niego tego dnia nie był, do Materskich nie wrócił, na ulicy nikt go nie widział. Znajomą będąc z Maciejową od dawnych czasów, Hruzdzina zawlokła się płakać do niej i lamentować....

—A moja pani, dobrodziejko moja!—zawołała rzucając się na ławę w kuchni—po cóż mi się już żyć zdało, kiedy go oczy moje nie zobaczą!!! Wi=dać ludzie źli dowiedzieli się o tych nieszczęśli=wych pieniądzach, co mu tam ta pani jakaś na drodze dała, i choć ich już pono nie miał, bo je u kupcowej złożył... zabili go pewnie przez chci=wość 1

Madejowa jakoś chłodno to brała bardzo..................

—Ależ to nie może być — rzekła — w biały dzień... nie byłby taki głupi, żeby się dać tak wyprowadzić... I gdzieżby zbójcy czas mieli dowiedzieć się, zasadzić...

—A cóż z nim się stało?

— Któż to może wiedzieć!—westchnęła Maciejowa—Jejmość się módl do św. Antoniego Padewskiego.... daj na mszę... chłopiec, choć go głupim nazywali, wcale był rozstropy............ nie bałby on się tak wziąć. Może się gdzie zaniewieruszył...może gdzie zapędził? kto to może wiedzieć.... Przecieżby. uchowaj Boże takiego nieszczęścia, jakiś ślad się znalazł.

Hruzdzina jednak, mimo tych perswazyi i uwag płakała i zanosiła się, ciągle powtarzając, że tego nie przeżyje.... Słysząc te szlochy wyszła do niej i pani Brzeska, uwiadomiona już znać o wszystkiem, starając się kobiecinę pocieszyć.... mało to wszakże pomogło...

Drugiego dnia, wieczorem, już o swej sile nie mogła się dowlec do Prądnika, Hruzdzina przysiadła się na wóz sąsiada, który ją złamaną tern nieszczęściem do domu odwiózł.

Gruchnęło tedy, po calem mieście, w którem wczoraj o nadzwyczajnem szczęściu chłopca rozpowiadano, iż go już nie stało, i znać źli ludzie ułakomiwszy się na dukaty, których lik znacznie, powiększono, gdzie dziecko niedoświadczone zawlekli i zabili.

Szczególniej Materski głośno z tego powodu wykrzykiwał przeciwko niedbalstwu i nieładowi

panującemu w mieście, w którem bezpieczeństwa nie było... Pani Salomonowa świadczyła, iż trzysta czerwonych złotych z łańcuchem zostawił u niej rano, że poszedł był tylko na miasto mając wieczorem powrócić, a więcej go już nikt nie widział... Domyślali się niektórzy, iż mógł do Wisły się pójść kąpać i utonąć. Trafiały się często podobne wypadki. Do trzeciego dnia słaba jeszcze jakaś była nadzieja, ale i ta znikła, gdy pomimo poszukiwań, które gorączkowo i zapalczywie robił Materski, nic odkryć nie potrafiono... Hruzdzina gorzko swe dziecię opłakiwała... Najgorliwiej pono jednak ze wszystkich krzątał się Pan Podskarbic, mąż ex-wojewodzinej, z niewiadomych powodów, a jak sam mówił, dla tego, iż Jejmość to chłopię sobie upodobała. Wysłał on na zwiady swoich dworzan, Brzeskiego, naznaczył nawet nagrodę temu, ktoby poszlakę jaką znalazł, co się z chłopcem stało. Nic i to nie pomogło, zauważono tylko, iż w skutek tych niefortunnych poszukiwań, czy z innych niewiadomych powodów, Brzeski który był prawą ręką pana i od tak dawna w skarbie tym służył, zażądał uwolnienia od obowiązków. Człowiek już podżyły, przytem kaleka na nogę, miał zupełne prawo odpocząć, tembardziej, iż sobie grosza przysporzył a i spadek po kanoniku coś znaczył... Ponieważ majętności, mimo za mąż pójścia ex=wojewodzinej.do niej samej jeźli nie w rzeczy to z imienia należy, Brzeski oznajmiwszy się samemu panu, który go zfukał i za drzwi wypędził, pojechał do rezydencyi dla zdania rachunków i pożegnania pani, miał bowiem najmocnejsze postanowienie, rzucenia tych ciężkich obowiązków. Dnia tego, gdy

wyruszył z Krakowa, trzy razy po niego Podskarbic przysyłał, ale go najprzód sługa nie zastał w domu, potem już był wyjechał.

Sama pani, która rzadko Brzeskiego widywała, nie lubiła go wcale, równie jak całe jej otoczę» nie. Znano go z niewolniczego posłuszeństwa panu, lekceważenia dziedziczki. Dwór dzielił się oddawna na dwa wybitne i prawię nieprzyjacielskie o= boży, Pana i Pani. Z każdym dniem walka między nimi rosła. Brzeski stawał zawsze jeźli nie jawnie to skrycie za Podskarbicem... a że był zręczny i wykrętny, równie się go obawiano, jak nienawidzono... Bronisz, który grał tu rolę marszałka dworu, rzadko do niego się odzywał. Łowczyna głową mu nigdy nie skinęła, a Pani sama, chodź dzi= wnie dobra i przebaczająca, instynktowo wstręt jakiś czuła ku niemu. Nie dziwiło nikogo przybycie Brzeskiego do majątku, lecz gdy nazajurz, ubrawszy się od święta, zażądał posłuchania u dzie» dziczki, nie wiedząc do czego to zmierzało, Ło= wczyna się nastraszyła... Chciano chorowitej Pani oszczędzić tego nieprzyjemnego spotkania, lecz Brzeski mocno się domagał auden cyi; Łowczyna wołała sama przecierpieć, kazała go prosić do siebie. Po pierwszem przywitaniu staruszka ozwała się.

— Pan Brzeski żąda się widzieć z panią? to pewnie jaki interes pieniężny? ale pani chora, do czego ją męczyć, wszakże i bez woli i wiedzy robi się, cokolwiek Podskarbic zażąda, pocóż te formy próżne? Oszczędź pan biedną chorą.

— Pani Łowczyno — przerwał Brzeski — daję pani słowo najuroczystsze, że żadnego interesu nie

mam... Przyjechałem tyko pożegnać naszą pan ą i przeprosić jeżęlim w ciągu mej służby czem się mógł jej narazić. Czuję ja dobrze, iż nieraz musiałem nieukontentowania być powodem, ale położenie potroszę mnie uniewinnia. Zresztą w łasce i sercu anielskiem pani nadzieja. Nie chciałbym odejść nieusłyszawszy z jej ust pocieszającego słowa...,

Wyrazy te wcale odmienne od tego, z czem zwykle przychodził ¡odzywał się Brzeski,niesłychanie zdumiały Łowczynę, równie jak zapowiedziane oddalenie się pana Brzeskiego.

— Jakto? więc waćpan oddalasz się? — zapytała.

— Muszę, jestem stary, nie podołam dalej obowiązkom, czas odpocząć, pani dobrodziejko - stanowczo rzekł Brzeski —niechże mi pani krótkie posłuchanie wyrobić raczy....

— A to co innego — odezwała się Łowczyna — zaczekaj pan, idę do pani.

Po krótkiej chwili oczekiwania ukazała się Łowczyna z powrotem i skinęła na Brzeskiego, ażeby szedł za nią. Przeszli tak długi szereg sal i pokojów po staroświecku umeblowanych ale pustych, bo gabinet przytykający do sypialni ex=wojewodzinej znajdował się na drugim końcu pałacu... Tu zastali ją siedzącą w fotelu, bladą, osłabłą, z różańcem w ręku i książką od nabożeństwa na kolanach ... Mała dziewczynka, karliczka, która jej nigdy nie odstępując u nóg z pończoszką siadywała, zobaczywszy obcego, zwinęła robotę i odeszła. Łowczyna też ustąpiła... Brzeski został sam na sam z panią, i pokornie trzymał się, pokłoniwszy

nizko, u proga...O na podniosła nań oczy piękne jeszcze, pełne wyra zu słodyczy, i głosem dźwięcznym pozdrowiła.

— Cóż mi to mówi Łowczyna — rzekła powoli że się waćpan oddalasz od nas,panie Brzeski.

— Tak jest, jaśnie wielmożna pani — począł wzdychając i wzruszony widocznie stary — czas mi już resztę dni Bogu oddać i staraniu o duszę... Pracowałem na chleb dosyć, na zbawienie za mało... podziękuję Bogu, gdy mi da czas do naprawy..

Ex=wojewodzina bardzo zdumiona popatrzyła nań długo.

— Niech Bóg, co waćpana natchnął, błogosławi! — rzekła — ale któż go ma zastąpić tutaj? Mój mąż mi nic o tern nie donosi?

— Właściwie pan Podskarbic nie chciał mi jeszcze dać uwolnienia i życzył, sobie bym pozostał, ja nie mogę... Służyłbym, gdybym się czuł na siłach, tych braknie... Mam mocne postanowienie oddalić się, i dla^tego ośmieliłem się dopraszać się dziś posłuchania u jaśnie wielmożnej pani...

Tu zatrzymał się nieco, spuścił oczy, dumał i zaczął znowu głosem zmienionym, cedząc słowa, jak gdyby nad każdem zastanowić się rnusiał i wyważyć każde...

— Pani najłaskawsza... Bóg rozrządza liczbą dni naszych nikt nie wie, kiedy go do siebie powoła, gotuję się więc tak, jakbym jutro przed nim miał stanąć. W czasie służby mej mogłem pobłądzić, narazić się, zawinić, proszę pokornie o miłościwe przebaczenie.. Odpuść mi, pani, winy moje!

To mówąc uderzył się w piersi, podstąpił bliżej, padł na kolana, twarzą schylił się ku ziemi, ręce do stóp ex-wojewodzinej wyciągnął. Postawa jego, twarz, dźwięk głosu płaczliwy dowodziły, że w tym człowieku, zwykle szyderskim i zimnym, zaszła jakaś dziwna, niepojęta zmiana. Niepodohien był do samego siebie.

Pani ruszyła się z krzesła przejętó tą skruchą, łzy jej stanęły w oczach, uczuła litość, zapomniała uraz, widziała tylko przed sobą upokorzonego grzesznika, błagającego o miłosierdzie w imię Boże.

— Wstań waćpan, — wstań — zawołała łzawym głosem nie mam urazy żadnej i powtarzam pierwsze słowa moje: Niech mu Bóg błogosławi!

— Powtórz mi pani powtórz, błagam, to drogie słowo że mi wsystko wszystko przebaczasz, wołał składając ręce Brzeski... Wiem to dobrze, iż Bóg nie odpuści grzechu bez zadość uczynienia, że kto popełnił winę, obowiązany nietylko ją odpokutować, ale krzywdy wyrządzone nagrodzić. Pani najlepsza, otóż na Chrystusa, którego wizerunek tu oto oglądam (wskazał na krucyfiks), przysięgam pani, że winy, jakich się dopuściłem, nietylko skruchą, ale czynem zmazać się będę starał...

Ex-wojewodzina słuchała coraz bardziej zdumiona... Wyrazy te dziwnie się jakoś odbijały w jej sercu, choć wytłumaczyć ich nieumiała sobie.

— Ale waćpan mi nic niejesteś winien — rzekła — spełniłeś rozkazy.... nie mam żalu..

Brzeski podniósł się z ziemi...

— Niech Bóg pani wynagrodzi, niech Chrystus ją pocieszy — zawołał i podniósł ręce w górę... Tu jakoś mu. głosu zabrakło, trwożliwem okiem rzucił dokoła... i dodał ciszej:

— Może mi dano być prorokiem... ale widzę przed oczyma mojemi iż po dniach wielkiej i długiej żałoby i smutku, nadejdą dla pani dni pociechy i wesela, nie ja to mówię, ale przezemnie głos z góry... Ufaj pani Bogu, który cuda czyni, a któż więcej anielską dobrocią na cud zasłużył nad panią...

Nagle jakby się własnych wyrazów przestraszył się, zamilkł, przypadł do kolan ex=wojewodzinej, które uścisnął, pocałował podaną rękę i wyszedł szybko... Biedna kobieta, w której uszach°brzmiało to osobliwsze proroctwo... padła na fotel zdumiona, i gdy chciała jeszcze pytać o tłumaczenie Brzeskiego, spostrzegła że go nie było..

Z wielkim pospiechem potem udał się Brzeski na ekonomią zwołał oficyalistów, wezwał pana Bronisza, i natychmiast przy świadkach zdał kasę, klucze-i archiwa. Szczęściem wszystko było w porządku tak, że przejęcie nie stawiło żadnych trudności. Krótkimi słowy pożegnawszy towarzyszów służby którzy go nie lubili, ocierając pot z czoła mocno wzruszony, wyszedł na podwórze Bzeski. aby konie kazać podać, gdy go Bronisz dogonił.

Może to było niedelikatnie, ale w czasie posłuchania ex=wojewodzinej, z obawy człowieka, który się wydawał nieżyczliwym, wezwano Bronisza (pani Łowczyna to zrobiła) i kazano mu stać po-

dedrzwiami; Bronisz więc słyszał całą rozmowę jego z panią i równie był poruszony, jak ona. Co więcej, szlachetnego charakteru człowiek, powziął, ja=kąś sympatyę ku Brzeskiemu, dla okazanej skruchy.— Czekaj, panie Brzseki — zawołał w dziedzińcu — dwa słowa wytłumacz mi, co się stało? Czyście się z Podkarbicem popsztykali? Jak on się bezwaćpana obejść potrafi? co to jest? skąd? ta nagła rezolucya?

Brzeski się odwrócił kłaniając,.

—Nie zgadniesz pan — rzekł — nic między nami nie zaszło, prócz że ja, przecieżem nie poddany, nie glebae adscriptus, zażądał uwolnienia. Dość mam z pracy dosyć z łaski Bożej i państwa, chleba... Chcę,odejść.

— Zapewne osiądziesz w Krakowie? — spytał Bronisz.

— Bóg raczy wiedzieć. Mam tam dom, to rawda ale .... nadtobym może był blizko...

Ruszył ramionami.

— Widzisz waćpan — dodał Bronisz wahając się nieco — tyle lat władałeś interesami, w wielu rzeczach później może potrzebować możemy objaśnienia, gdzie my go szukać będziemy?

Spojrzeli sobie w oczy... Brzeski pobladł nieco ale wejrzenie Bronisza nic w sobie niemające groźnego, zdawało się go uspokajać.

— Bąź waćpan pewien — rzekł — że gdy mnie będzie potrzeba, ja się znajdę...

Bronisz z kolei zdawał się zdumiony wyrazami, które coś w sobie miały tajemniczego, Brzeski jeszcze raz mu powtórzył dobitnie.

— Niech pan będzie pewny, że gdy mnie będzie potrzeba tu, ja się znajdę...

To powiedziawszy skłonił się i zostawiając Bronisza na środku podwórza, pospieszył kulejąc do bryczki siadł na nią i pojechał...

Nie upłynęła i godzina po odjeździe, gdy z Krakowa na zdyszanym koniu nadbiegł umyślny od Podskarbica, z listem do drugiego zaufanego we dworze zausznika z poleceniem najsurowszem, ażeby Brzeskiego gdy się tylko tu zjawi, przytrzymano i pod strażą osadzono, dając o tern znać, lub nocą wyprawiono zaraz dodając straż silną do Krakowa. Na przypadek gdyby Brzeski już odjechał, polecono ścigać i schwytać. Powodem miało być pochwycenie znacznej sumy z której Brzeski jakoby nie zdał rachunku. Surowość ta jednak inaczej wyglądała, i wszyscy domyśleli się łatwo, iż to szło więcej o zapewnienie się, iż przypuszczony do wielu tajemnic i robót nieczystych Podskarbica Brzeski, oddaliwszy się ich nie wyda.

Popłoch tedy we dworze stał się wielki... Ponieważ niebyło wiecej nad godzinę, jak Brzeski wyjechał, łatwem się zdało dognać go zwłaszcza że wedle wszelkiego podobieństwa drogą ku Krakowu powracać rnusiał. Posłaniec wszakże ztamtąd jadący upewniał, że nigdzie go nie spotkał.

Rozkazy ścigania wydane były wprawdzie przez wiernego sługę Podskarbica, lecz ludzie, co je spełniać mieli, należeli w większej części, do Bronisza, a ten zmiarkowawszy, że należałoby teraz oszczędzać Brzeskiego, szepnął im, ażeby się ani bardzo nie spieszyli, ani nadto śledzili pilnie...

Może skutkiem tych kilku słów, choć stajenni rozbiegli się na wszystkie trakty i mieli dostawać języka o zbiegu, nigdzie z nich żaden go nie napytał, nie spotkał i nie widział...

W Krakowie też przeszukano napróżno ka wiarnię przy Wiślnej ulicy, z której się i pani Brzeska dniem wprzódy niewiadomo dokąd wyniosła, — Kuternoga znikł... bez wieści, wysłano za nim listy gończe i po Krakowie rozeszła się wiadomość, iż na znaczną sumę się przeniewierzył, a jak się zdawało, na Węgry uszedł. Naówczas ktokolwiek jak w wodę chciał wpaść, do Węgier ruszał... Trudno tam było odszukać.

Kilka lat upłynęło od opisanych wypadków życia głupiego Janka. W Krakowie ani o nim, ani o Brzeskim słychu nie było. Podskarbic pilno dochodził gdzie się podział dawny jego współpracownik nałożył nawet inhibicyę na majątek, gdyby się jaki znalazł, lecz kamienięa żony uledz jej niemogła, bo była własnością spadkową do niej wyłącznie należą Silne mający plecy i stosunki familijne przeważnie w koronie całej, Podskarbic per fas et nefas, byłby zgniótł buntującego mu się szlachet kę, gdyby go odszukać zdołał. To mu się wszakże nie udało. Gniew ostygł nieco latami, a jednak obawa jakaś o zachowanie się dalsze Brzeskiego trwała ciągle, i od czasu do czasu wysłańcy Podskarbica śledzili po Krakowie, czyliby się zbieg nie pokazał.

Zycie tego pana, chociaż podeszlejszy wiek powinien był wpłynąć na stygnięcie namiętności, wcale się nie zmieniło. Epoka to była, w której i za

granicą i w Polsce na zabój się wszyscy bawić i rozrywać i wrażeń szukać potrzebowali. Szukano ich na wszystkich drogach i wszelkiemi sposoby.... Delikatnejsze organizacye rozpustowały z wykwintem tracąc czas, zdrowie i majątek na pseudo-artystycznych rozrywkach; charaktery namiętniejsze puszczały wodze wszystkim zachciankom i fantazyom, które naówczas miały jak utrzymywano, znamionować szlachetniejsze, wyższe natury. Tym wyjątkowym gienialnym ludziom było niemal wszystko wolno . . . a że się kosztem świata bawili i rozporządzali drugimi bez ceremonii, winna była owa niepochamowana ich organizacja! Podskarbie straciwszy na karty, kochanki, konie i bankiety znaczną ojcowiznę i nie jeden spadek, ożeniony został za poparciem przyjaciół i rodziny z bogatą młodą wdową, aby świetność imienia miał za co z cudzej utrzymać kieszeni; małżeństwo to jednak, jakeśmy mówili, nie zupełnie się powiodło. Ex=wojewodzina nie chciała się poznać na przymiotach Podskarbica, chociaż one nawet na dworach zagranicznych wysoce były cenione... Małżonkowie nie mogli zrazu przystać do siebie, a w końcu po mnogich przykrych przejściach zupełnie się prawie rozstali. Ex=wojewodzina siedziała na wsi, ze swym smutkiem i modlitwą. Podskarbic najczęściej przebywał w Krakowie w swym domu przy Słakowskiej ulicy i prowadził życie w gronie kilku poufałych przyjaciół nie nazbyt przykładne...

Zarządzał on wpradzie majątkiem żony i czerpał, obficie z kaśy, ale długów robić nie mógł, a po kilku daremnych próbah wyprzedawania klu-

czów, gdy się te nie powiodły, od idei zrujnowania żony rnusiał rad nie rad ustąpić; dziwił się tylko nie pomału temu, iż ona śmiała chcieć majętność zachować, nie mając dzieci. — Co tu oszczędzać, na co mamy trutniom, którzy Bóg zapłać nie powiedzą, zostawiać fortunę... Lepiejby przecie było zjeść ją i przepić wesoło, ale baba uparta!

W Krakowie cichym, na ustroniu życie Podskarbica uplywajo tern swobodniej, że go tu nikt kontrolować nie mógł... Robił co chciał... Miał też tu pozawiązywane stosunki, poułatwiane drogi, i nikt go nie szpiegował, co on tam za drzwiami zamkientemi w swej kamienicy robił. Gdy czasem o niezwykłej godzinie błyszczało z niej światło i huczały wykrzyki, mieszczanie przechodząc podnosili głowy, żegnali się, ruszali ramionami, ale co komu było do tego...

Co parę lat, a niekiedy i częściej, gdy się Podskarbicowi naprzykszyło jeść ciągle chleb z jednego pieca, a udało się albo zboża na pniu przedać, albo kawał lasu zniszczyć, wyruszał pokazać się że żył w stolicy... i odnowić dawne stosunki znajomości; polityka jaka kolwiek ona w życiu panów polskich grała rolę wielką, Podskarbica zajmowała jak najmniej. — Miał za zasadę służyć sile i być jak najlepiej z tymi, co najlepsze dawali obiady. Książę Repnin i prezydent francuski, czy angielski, bodaj turecki, równie mu miłymi byli, jeśli karmili i poili. — Miał to najmocniejsze przekonanie, iż Polska się właśnie dla tegó utrzyma, iż wszyscy z niej rwią i korzystają. Kury, co złote jaja niesą, nie

zabijają — powiadał. Do konfederacyi się nie mieszał, bo gdzie tylko szable z pochew wysunąć się mogły, tam bywać nie lubił. Nosił się po francuzku i podobniejszy był do starego wychowańca dworu Ludwika XIV i XV, niż do dziecka rzeczypospolitej. Za Sasów Podskarbic w wielkich był łaskach u Bruhla, teraz trzymał zdała z Repninem i nazywał go: un galant homme. Nic dziwnego, bo jak wiadomo, wiele osób dobrze wychowanych płci obojej, podzielały to zdanie.

Jednego dnia ziewnąszy przy wstaniu nad czekoladą i obliczywszy kasę, w której do trzech tysięcy czerwonych złotych się znajdowało, Podskarbic kazał zawołać swojego marszałka dworu, bo tym tytułem obdarzył jednego ze sług starych i nakazał mu wybór w drogę do Warszawy. Fantazyom tym pańskim zawsze wszystko stało w pogotowiu dogodzić. Dwadzieścia cztery godziny starczyły na wybór... Podskarbic wyjechał... Drugiego dnia na nocleg mieli opóźniwszy się zajechać do gospody, i ów marszałek poszedł z niej podróżnych wyrzucać — bo dla panów ustępować rnusiał, czy kto chciał czy nie — gdy taka w karczmie powstała wrzawa, że drzemiący Podskarbic, porwawszy szpadę stojącą w karecie, sam z nią wyleciał ludziom na ratunek. Wpadłszy wewnątrz austeryi, postrzegł marszałka dworu i jednego ze swych sług szamocących się straszliwie ze szlachcicem w bieliźnie tylko, Który znać z łóżka wyrzucony, zebrawszy manatki, uciekał od napastników. Ci go wrzeszcząc przytrzymywali. Jakież było zdziwienie Podska^Jbica, gdy zbliżywszy się poznał w tym

pochwyconym człowieku... nieszczęśliwego, od tak dawna ściganego Brzeskiego!!!

— A tuś mi, złodzieju! —zawołał — a no! przecieżem cię do rąk dostał.. Wiązać go...

Ludzie mieli się już zabierać do spełnienia rozkazu, gdy Brzeski się zawrócił i krzyknął, że łeb rozwali pierwszemu, co do niego przystąpi, chociażby i samemu Podskarbicowi. Trzymał w istocie w ręku potężne polano, chwycone znać na prędce w izbie, i zawijał niem nie żartem. Ludzie stali nieco strwożeni.

— Jakiem że to prawem śmiecie mnie, szlachcica, na drodze imać — począł krzyczeć — myślicie, że to tak płazem ujdzie jak inne gwałty! Jako żywo.... i ja też znajdę po sobie obrońców, a jeźli, mi się stanie gwałt, ujmą się za mną i prawnie krzywdy dochodzić będą. Masz pan pretesyę pozywaj! zobaczymy! złodziejem nie byłem i nie jestem., przed kratkami rozmówimy się o wszystkiem... zobaczymy wówczas, komu cieplej będzie...

Zuchwała ta mowa opamiętała nieco Podskarbica, zawahał się, lecz mimo kazał Brzeskiego do izby pędzić, chcąc się z nim rozmówić oko w oko...

— Chcesz pan rozmówić się, dobrze, od tego nie jestem... — zawołał szlachcic — ale jeszcze raz powiadam są tu ludzie moi, są w gospodzie obcy, biorę ich za świadków... a więzić się ani wiązać nie pozwolę... Jeśli kogo trupem położę, nie moja będzie wina...

Podskarbic nie nawykły, aby mu się opierano, gniewny był strasznie, lecz zmiarkował, że gra była niebezpieczna, kazał tylko Brzeskiego do izby gnać.

— Ja sam idę nie potrzebuję przymusu — rzekł Brzeski — rozmówimy się, dobrze.

Służbie więc odstąpić kazano, a szlachcic z polanem w ręku ciągle, poszedł za Podskarbicem. Drzwi pilnowano zdała, aby się Brzeski nie wymknął.

Więc cię tedy mam ptaszku! — śmiejąc się ze złocią wołał Podskarbic rzucając się na stołek. — Zdasz mi rachunek z robót twoich... Dla czegoś uciekał odemnie jak złodziej?

— Boś mnie przemocą chciał trzymać ~ rzekł szlachcic — zmuszałeś do pełnienia gwałtu...

— Ja? ciebie? śniło ci się! — krzyknął Podskarbic miałeś coś na sumieniu, gdyś uciekał.

— Miałem, prawda, ale nie swój grzech tylko wasz...

Podskarbic zaciął usta.

Potwarz — zawołał — potwarz; ja o niczem nie wiem...

Brzeski dziko się śmiać począł. Śmiech ten rozgniewał pana, poskoczył doń z pięściami.

— Gdzie chłopiec? coś z nim zrobił?

Z kolei Brzeski znać ośmielony, zawołał:

— Jaki chłopiec? o żadnym nie wiem...

Popatrzyli na siebie, a wzrok obu przekonał, iż sobie rady nie dadzą.

— Brzeski — począł Podskarbic łagodniej — uderz się w piersi, winieneś mi wszystko, obsy-

palem cię dobrodziejstwami, podły jesteś i niewdzięczny.

— Cóżem zrobił? — zapytał zimno zagadnięty.

— Dla czegoś uciekł?

— Podziękowałem za służbę, zdałem rachunki, przecież na całe życie zgodzonym nie byłem...

— Gdzie chłopiec, coś z nim zrobił? Znikł; to twoja sprawa...

— Nie wiem o nim nic; co mi było do niego — odparł Brzeski — gubić gonie chciałem ale ratować nie miałem obowiązku. Ja nie wiem, co się z nim stało! Jużci się go sam pan pozbył...

— 'Ja? ja? — zakrzyczał podskakując Podskarbic. — Jak ty mi śmiesz powiedzieć coś podobnego! To urągowisko? Słuchajże. co chcesz? ile?., mam z sobą pieniędze, zapłacę ci... ja o nim wiedzieć muszę... a przekonany jestem, że ty wiesz... że ty...

— Opamiętajże się pan — powoli począł Brze=ski, który znacznie ochłonął — zkąd to posądzenie, żebym ja o nim mógł wiedzieć, 'żebym ja się nim miał zajmować? a mnie to do czego? co mnie obchodzi jego życie lub śmierć? chłopca pewnie rabusie, usłyszawszy o pieniądzach, zabili i trupa przechowali...

—- Byłby ślad; nie! to twoja sprawa! — powtórzył Podskarbic — mam poszlaki, uwiozłeć go z Krakowa, skryłeś ...czekasz chwili...

Bzeski ramionami ruszył.

— Zkądże by mi tak nagle przyszło? — spytał szydersko — przecieżem was od niego uwolnił; toć bym ratując sam na siebie postronek kręcił!...

— Chcesz się wyratować, ratując jego ...

— Zastanów się pan; gdybym ten zamiar miał, czemużbym go już przez te lata nie doprowadził do skutku?

Podskarbic począł chodzić po izbie niespokojny...

— Wszystko to wykręty i kłamstwa... — rzekł — ty czekasz godziny i zasadziłeś się na mnie.

— Gdzie dowody? gdzie?...

Podskarbic podszedł i poczęli jak dwaj napastnicy, którzy się za barki pochwycić mają, przypatrywać sobie, Brzeski wytrzymał wejrzenie i dostał kroku...

— Jadę do Warszawy — rzekł Podskarbic — jedziesz ze mną.

— Po co? na co?

— Zobaczymy...

— A gdybym nie chciał?

— Wezmą cię gwałtem...

Brzeski podumał.

— No to pojadę — rzekł — lecz jeśli się pan spodziewasz, że może bezbronnego pokrzywdzić potrafisz, mylisz, się. Teraz jam ostrożny, nie dam się. Spodziewałem się napaści... mam za sobą takich co mnie podtrzymują... Jechać? jadę! ciężar pan mieć będziesz ze mnie, nie pociechę, a jeśli myślisz,’że co wskórasz, mylisz się srodze...

— Jedźże do djabła i idź mi z oczów!— zaryczał Podskarbic w gniewie.

Brzeski się rozśmiał.

— A tak! dobrze! teraz z dobrej woli za jegomością pociągnę. Dobranoc, ja jutro w trop za nim do Warszawy... chciałeś mnie, no, to będziesz miał.

Drzwiami trzasnąwszy wyszedł.

Jak całe panowanie Stanisława Augusta, tak i jego początki należą do chwil historycznych, najżywszemi barwy życia na kartach dziejów się malujących. Po zgonie Augusta III, między którym a Polską mniej jeszcze było może związku, niż jego poprzednikiem, młody król, Polak, człowiek któremu osobistych przymiotów odmówić było niepodobna, piękny, utalen towany, ulubieniec kobiet, sławiony z miłości, nauk i rozumu, w całym narodzie obudzał nadzieję nowej jakiejś ery szczęśliwszej. Miał on nieprzyjaciół, lecz miał i najgorętszych zwolenników. Polska i Warszawa, nieco zaniedbane za Augusta III, opuszczone i obumarłe, poczynały krzepko dźwigać się do nowego życia.

Sama stolica, którą Poniatowski zastał wielce zaniedbaną, z początkiem panowania jego budować się, przeistaczać, upiękniać zaczęła. Dwór króla i otaczając go intrygi ściągały nieustannie coraz nowych przybyszów. Polityczny rozdział kraju, i rozłamanie go na stronnictwa nawet, przyczyniało się do ożywienia Warszawy. Zakładano instytucye nowe, tworzyło się mnóstwo projektów, młodzież napływała zewsząd w nadziei umieszczenia się w zakładach wojskowych, na dworze lub przy moż-

nych panach, na których olbrzymie fortuny dozwalały im grać rolę dobroczyńców z łatwością. Obyczajem też było wówczas, równie dla przepychu jak dla podtrzymania popularności między szlachtą, otaczać się synami ziemian, którzy całą niemal służbę przy panach pełnili i na pańskiej klamce nadzieje przyszłe budowali. Z małemi wyjątkami wszystka młodzież przechodzić musiała nowicyat ten przy dworach, przez który się w ówczesny świat wchodziło. U Ostrowskich marszałkiem dworu bywał nieraz ubogi książę lub drążkowy kasztelan; trafiało się nieraz, iż przyszły dygnitarz koronny, rękodajnym dworzaninem poczynał. Nie wstydziła się szlachta służyć u panów braci, a magnat oprócz cudzoziemców, którym plebejuszami być dozwolono, nie trzymał przy sobie nikogo bezklejnotnego, chyba stróżów do palenia w piecu i pomywania w kuchni...

Dwór też Królewski cały, można powiedzieć z młodzieży szlacheckiej się składał a najzdolniejszych nazywano paziami, z których przyszli szambelanowie rośli. Miano wzgiąd w wyborze na wszelkie przymioty, a nawet i na powierzchowność młodzieńców, którzy szykownie i zręcznie wyglądać musieli i prezentować się tak, by wysłani z biletem n.p. do pani Krakowskiej, lub Zamojskiej, do Tyszkiewiczowej lub jednej z dam, która chwilowo panowała sercu najjaśniejszego, umieli się znaleźć, odpowiedzieć, pokazać przyzwoicie, nie zbyt śmiało ani nadto bojaźliwie. Paziowie Króla Stanisława, którzy sławili się dowcipem, i nieraz z za krzeseł pozywani byli do odpowiedzi

w czasie wesołych czwartkowych obiadów, nie wszyscy mogli się wywieść z dwunastu herbów po ojcu i matce, ale musieli mieć za to wiele sprytu i zdolności; nie ostałby się tu pokornego ducha chłopaszek, któryby zagadnięty mógł języka w gębie zamponieć. Szkoła ta dworska nie koniecznie była najlepszą, ale dawała ogładę, zawcześnie smutne doświadczenie świata. Każdego dnia kilku z paziów J. Królewskiej Mości było na pokojach na służbie czynnej, inni się też nie oddalali od zamku... chyba za szczególnem pozwoleniem.

Podskarbic, który przybył do Warszawy szczególniej w tym celu, aby trochę zaniedbane stosunki odświeżyć, królowi się przypomnieć i dawnych towarzyszów broni, a dziś pedagrą utrapionych inwalidów nawiedzić, zaledwie stanął, ekwipaż miejski najął i na publiczną audencyę do zamku pojechał. Tam mu było najłatwiej dowiedzieć się o znajomych, powziąć języka i termometrowi dworskiemu się zblizka przypatrzeć. Nie omyliły go nadzieje... na schodach bowiem zaraz schwycił go w ramiona jeden z tych co z nim najdłużej za granicą hulali. Spojrzeli na siebie po długich niewidzenia latach, zmierzyli się oczyma i stanęli smutnie zdziwieni.

— Tyżeś to kwiecie młodzieży? — zawołał otyły kasztelan, którego peruka zakrywała łysinę, ale rubinowego nosa barwę podnosiła zarazem do zbytku — tyżeś to ulubieńcze niewiast... uwodzicielu... motylu? gdzie twe skrzydła?

— Mógłbym cię podobnie zaapostrofować — odparł Podskarbic, — ale ci się wypłacę wspaniałomyślnie, zaręczając, że gdybyś nie napęczniał, nicbyś się nie odmienił, i humor i głos pozostał!

Uścisnęli się czule i syknęli. Kasztelanowi strzykało w nodze; Podskarbic, gdyby nie laska, na swoich ustaćby dłużej nie mógł.

— Cóż ty tu porabiasz? spytał kasztelan.

— Przybyłem dowieść prezencyą moją,¡żem nie umarł.

— Gdzieżeś ty się zakopał? Przyznaję ci się, żem doprawdy posądził cię o zupełne ustatkowanie...

A! licha tam! — rzekł Podskarbic wiesz przysłowie o skorupie...

— Nie tylko je wiem, ale go na sobie doświadczam. Idziesz się królowi zaprezentować?

— Tak jest...

— A! uśmiechnie ci się, obsypie grzecznościami... lecz cóż kiedy to... Feauxbenite de la cour! Jeśli masz interesa... gdzieindziej pukać potrzeba...

Szli po schodach, a tymczasem mijali ich witając inni przybywający z kolei, którym Podskarbic przypominać się rnusiał. Wiele dlań było twarzy nowych, niektórych widział chłopakami nie dorosłymi, innych znał rodziców... wszystko mu smutnie wiek jego przypominało. O większą część figur kasztelana pytać rnusiał...

— Niestety, braciszku — rzekł w końcu kiedy ja o innych pytać muszę, nasuwa się wątpliwość, czy i o mnie też wielu nie spyta... Jestem w

świecie żywych jak umarły, który z grobu powraca...

Westchnął; wchodzili na próg właśnie; niedaleko od progu stał w wykwintnej barwie królewskiego dworu, wystrojony blondynek, postawa nader zręczna uśmieszek na różowych ustach, oczy wielkie niebieskie, czoło szerokie białe, twarz rysów szlachetnych i szlacheckich. Nawet ciemny rodzinny znak pod uchem nie szpecił go wcale, oczekując, ażeby podstarzał, bo w późniejszem wieku brodawki, pieprzyki i znamionka nie miane za młodu, mszczą się za to, że je młodość rumieńcem zabiła...

Od chwili, gdy go Podskarbic spotrzegł, już oczów oderwać od niego nie mógł. Zmięszał się nadzwyczaj, pobladł, wsparł na lasce i zmienionym wielce głosem, targnąwszy za suknie kasztelana... począł natrętnie pytać.

— Któż to jest ten chłopiec? kto ten chłopiec? na miłość Boga? kto to taki?

-- Ale to paź królewski... Czemże cię tak uderza?..

— Jak on się zowie? jak się zowie? — domagał się natarczywie Podskarbic.

— Pan Jan, albo jak go tu zwać zwykli. Janek Leliwa..

— Leliwa! Leliwa! jakto Leliwa?.. I zamyślił się posępnie.

— Co ci jest? dla czego ci on tak wpadł w oko!

Podskarbic odciągnął na stronę przyjaciela.

— To osobliwsze, to okropne podobieństwo... — zawołał.

— Do kogo?

— Dj pierwszego męża wojewodziny, teraźniejszej żony mojej; zdaje mi się że upiorem wstał z grobu. Wiesz przecie, że herbem jego była także Leliwa.

—A no! wię cóż dziwnego, że w chłopcu, co do herbu należeć musi, znalazły się rysy rodowe.-. — odparł kasztelan spokojnie... — a zresztą... hm! kto tam o tajemnice kolebek i kotar pokusić się może...

— Ale skądże on jest? co za jeden?

— Doprawdy nic nie wiem ...

W tej chwili zaczęli się goście, przybyli ustawiać w szeregi... Marszałek bowiem wyszedł poprzedzając króla, a w krótce potem ukazał się Stanisław August w mundurze kawaleryi narodowej, nader wykwintnie ufryzowany, piękne swe białe ręce koronkowych mankietach wyciągnąwszy z niejaką pretesyą, z twarzą uśmiechniętą, choć na czole czuć było raczej niż znać ledwie rozwianą chmurę. Podszedł naprzód do ambasadora, z którym się przywitał nader serdecznie i poufale... potem do grupy, która rodzaj dworu przy nim stanowiła, naostatek zwolna począł obchodzić zgromadzonych obywateli; parę razy bystry wzrok królewski padł na Podskarbica i szybko się od niego odwrócił i równie ciekawie znowu ku niemu skierował. Zdawało się, jakby z trudnością mógł tę twarz zestarzałą i zwiędłą przypomnieć, nierychło też przyszła kolej przedstawienia się, gdyż Stanisław August zdawał

się umyślnie krążyć, unikając Podskarbica i zostawiając go ku końcowi. Nie było to z pewnością oznaką łaski... Lecz król był tak systematycznie grzecznym dla wszystkich, iż nawet najzawziętszemu nieprzyjacielowi swemu nigdy nie uchybił. Nie było się więc o co obawiać... Podskarbic czekał... Stanisław jakby zakłopotany zbliżył się do niego, ceremonialny układając uśmiech.

— N. Panie — odezwał się Podskarbic z nizkim ukłonem, — muszę się WKMości jakby nowo przedstawiający, chociaż dawny czciciel jego i najwierniejszy poddany, po imieniu i nazwisku przypomnieć, bo nie mogę, sobie pochlebiać, abyś WKMość tę twarz zmienioną raczył jeszcze pamiętać.

— Mylisz się panie Podskarbicu — odrzekł król sucho — imię i twarz jego są mi bardzo dobrze pamiętne, szczególniej dla zasług w ojczyźnie czcigodnego rodzica jego.

— Cieszę się, iż choć w ten sposób mam szczęście — począł Podskarbic... ale król mu przerwał:

— Gdzie waćpan przebywasz, żeśmy go od tak dawna widzieć nie mieli przyjemności?

— Na wsi lub w Krakowie — odparł kłaniając się zapytany.

— A czcigodna małżonka, wszakże żyje? jak się miewa?

— Nie zbyt szczęśliwem cieszy się zdrowiem — rzekł Podskarbic... i z domu się prawie nie rusza...

— Co za nieszczęście! osoba tak znakomitych przymiotów duszy, którąśmy radzi zawsze widzieli tu, gdzie jej cnoty i wpływ pożądanemi byłyby.

Podskarbic się kłaniał...

— A rodzina? —spytał król bacznie wpatrując się w Podskarbica.

— Pan Bóg nas nią nie obdarzył.. — szepnął spytany.

— Jak to? wszakże po ś. p. wojewodzie, jeźli się nie mylę, syn był pozostał...

— Ten... ten... — bąknął Podskarbic niewyraźnie, — zmarł wkrótce po ożenieniu mojem...

— Proszę! co za nieszczęście! zmarł nie słyszałem o tern wcale — dodał król — strata wielka nieodżałowana, bo to rodzina była krajowi zasłużona, starożytna i znakomita.

To mówiąc Stanisław August cofnął się parę kroków i nader zimnem kiwnięciem głowy Podskarbica pożegnał...

Kasztelan czekał na niego... usunęli się więc w głąb sali, i byłby go uprowadził zaraz, mając zamiar zabrać z sobą, gdyby Podskarbic, który wciąż okiem śledził chłopaka w paziowskim stroju... nie szepnął kasztelanowi:

— Proszę cię, zrób mi tę łaskę... Leliwa ów mocno mnie intryguje, przyznam ci się... pomóż mi zapytać go o rodzinę i pochodzenie; znasz go pewnie.

— Bardzo dorze — szepnął kasztelan, i zbliżył się ku paziowi, który na nich obu z minką dosyć lekceważącą poglądał.

— Przepraszam cię, panie Janie — odezwał się kasztelan, zatrzymując się około niego — będzie to zapewne niedyskrecyą z naszej strony... pan Podskarbic, który jest skolligacony z rodziną Leliwów, radby wiedzieć, z jakich i których Leliwów pochodzicie? Wszak ci to nazwisko razem familii waszej i herbu być musi.

Chłopiec się mocno zarumienił, oczy mu błysły, wargi zadrżały, popatrzył długo na Podskarbica i na kasztelana, zdawał się namyślać i odezwał z udaną obojętnością.

— Powinienbym za ten wzgląd podziękować, ale dobrze i dokładnie odpowiedzieć nie potrafię. Jestem sierotą, opiekun się mną zajmował, a ,za=wcześnie mi było rozpytywać o pochodzenie i szlachectwo moje; tyle tylko wiem, iż zapewne do imienia które noszę, prawo mieć muszę...

— Ale nie bierz że znowu tak siarczyście zaraz niewinnego zapytania — odparł kasztelan — nikt wątpliwości nie ma o pochodzeniu. Jest to prosta ciekawość.

— Której ja niestety! — dodał chłopiec żwawo, — zaspokoić nie potrafię.. Jestem sierotą., o familii wiem mało, może mnie zawcześnie odumarli.

— Któż się jego losem zajmował? — zapytał Podskarbic mocno się w niego wpatrując.

— Dalecy krewni — westchnął p. Jan Leliwa, skłonił się i prędko odszedł w głąb ku królewskim pokojom.

Podskarbic stał osłupiały.

— Jednakże to jest — rzekł cicho prawie niedosłyszanym głosem — to niepojęte, to osobliwsze... to przerażające podobieństwo... Zapomniałem go o wiek zapytać, lecz widzi mi się ,że nie ma lat dwudziestu.... tak...

Tu przerwał, głowę spuścił i zadumał się, jakby coś po cichu obliczał. Kasztelan go trącił w ramię.

— Na starość stałeś się jakimś tetrykiem zabobonnym... Chodź, mamy dziś ostrygi i do nich winko, powiadam ci, nektarek.. Niech tam wszystkich Leliwów... Bóg ma w swej opiece; losy ich moich ostryg nie warte.

I pociągnął go za sobą.

Po scenie w karczmie na gościńcu i rozstaniu z Brzeskim, który szydersko ofiarował się na przekór już jechać za Podskarbicem do Warszawy nie spodziewał się on wcale, aby mu się dawny plenipotent istotnie tu miał stawić; zdziwiony więc był nie pomału, gdy sługa nazajutrz Brzeskiego oznajmił.

— Czegóż jeszcze ten stary łajdak chce, chyba żebym mu skórę wygarbować kazał! — zawołał Podskarbic. — Puszczaj go; ciekawym...

W progu ukazał się powołany... Dawny pan podniósł nań oczy gniewnie.

— Czegożeś tu jeszcze?

— A kazałeś mi pan jechać za sobą, więc jestem. Mógłbyś pan sądzić, że się go lękam, a ludzie myśleć, że go istotnie okradłem... Tandem mnie pan masz... Jesteśmy dziś oba równymi oby-

watelami rzeczypospolitej, jest sąd, są trybunały, masz co pan do mnie to się rozprawmy...

— Zgago ty jakaś stara przebrzydła! — mruknął Podskarbic — powiadam ci nie próbuj mojej cierpliwości.

Brzeski ręce założył na piersi i stał.

— Czego chcesz?

— Ja pytam dla czegoś mi tu jechać kazał?

Podskarbic rzucał się w krześle.

— Powiesz mi czy nie, coś z nim zrobił?

— Z kim?

— Z chłopcem...

— Nicem z nim zrobić nie mógł bo o nim nie wiem.

— To ja ci powiem, że ja o nim wiem! ja wiem! krzyknął pięścią uderzając w fotel Podskarbic ha rozumiesz?

— Jeszcze nie — odparł spokojnie Brzeski.

— Tak jest, ~ sam los mi go wskazał; pytałem cię tylko dla wypróbowania, natura go napiętnowała, skryć mu się trudno, chociażeście go dobrze pod pańskie skrzydełko przytulili, ale i tam go może ludzie znaleźć potrafią.

Brzeski ani na chwilę nie okazał zdumienia, nie odpowiedział nawet na groźbę, ruszył ramionami.

— Więc gdy już uwolniony jestem i niepotrzebny — odezwał się, — stopy pańskie całuję... do nóg upadam.

Spojrzeli sobie wzajem w oczy... Podskarbic zwrócił się tyłem.

— Bóg wielki! mruknął Brzeski i wyszedł.

Paziowie J. K. Mości wszyscy mieszkali w zamku, zajmowali oni w głębi dziedzińca pokoiki na wyższych piętrach, których schody młodym nogom nie były straszne. Z wesołych; tych stancyjek piękny widok rozciągał się na szeroką Wisłę i ogród zamkowy.

Poddani dozorowi marszałka dworu, ciągle zresztą będąc na oku króla, często bardzo używani przez niego i wysyłani, nie mieli wiele czasu, do własnego rozporządzenia; lecz kto chciał z nich czemś ważniejszem się zająć, znalazł godziny ranne i wieczorne, o których rachunek nikt nie pytał. Większa część młodzieży obracała je zwykle na ukradkowe wycieczki do miasta, w towarzystwie przyjacół z korpusu kadetów i szlacheckiej młodzieży; ale byli i tacy, co woleli dla przyszłości pracować. Wprawdzie paziowie, gdy się już ich nazwisko niegodziło z wiekiem, otrzymywali zwykle jakiś urząd, synekurę, kawałek chleba bene merentium, ale nie każdy chciał na to rachować...

Do najzdolniejszych na dworze, najpowszechniej lubionych, a nadewszystko obudzających szacunek, na który młodzi, nie mają zwykle czasu i sposobności zasłużyć, należał ów Janek Leliwa, który jakimś sposobem tajemniczym został przyjęty. Nikt w istocie wytłumaczyć nie umiał, jak z mnogich i silnie popieranych kandydatów do tej funkcyi, zupełnie nieznany chłopczyna, mimo współzawodnictwa miejsce to potrafił otrzymać. Nie wiedziano, kto go tak skutecznie polecił, ale

godzili się na to wszyscy, iż chłopak zasługiwał na wyróżnienie i szczególne względy. Usiłowano w nim odkryć coś, czemby przybłędę pobito, ale nie znaleziono. Jednym zarzutem, pod owe czasy pe= wną mającym wagę, było, iż się ze świetną rodzi» ną, a nawet z żadną wykazać nie mógł. Za ubogim był, tego mu nie zarzucano, bo i głuchoniemy Wilczewski i Turkułł i Płotnicki i wielu innych, ró= wnali się świętym tureckim... Towarzysze sarkali nań za benedyktyńską pilność i grzebanie się w książkach, ale król właśnie za to go lubił. Ks. Naruszewicz pod brodę głaskał. Trębecki mawiał mu czasem żartobliwie: Tu Mercellus eris! Pokia^ dano nadzieję w nim, iż na znakomitego literata rośnie, a co w literatach rzecz jest nadzwyczaj rzadka, zwłaszcza młodych, pan Jan Leliwa skromny był i ani z nauką, ani z talentem, ani z przedwćzesnemi muzy płodami wcale się nie popi» sywał. Albertrandi powiadał o nim, że lepiej zna bibliotekę królewską od niego, i zaręczał, że zamiast się rozkoszować dziewicą Orleańską Woltęra i podobnemi wyrobami dowcipu, gruntownej nauki w starych łacińskich foliatach szukał.

Drwił wprawdzie z niego dowcipny Turkułł, iż pewnie do sukni duchownej i infuły tą drogą kroczy, ale Janek na to ramionami ruszając uśmiechał się, a drwiny tak znosił, iż nie było pociechy z niego sobie żartować, bo się nie gniewał. A gdy mu barzo dopieczono i zmuszonym był się odciąć, ciął tak że na długo blizna została... delikatnie jak brzytwą, a głęboko do kości...

A pomimo uczoności swej, przedwczesny ten erudyt ze złocistemi włosami i niebieskiemi oczy-

ma, poważny, skromny jak, panienka, bojaźliwy jak dziecko, miłym był, serdecznym, usłużnym, i panie nazwawszy go Cherubinkiem, przepadały za nim, z czego on wcale nie korzystał. A że nie ła= two go było do towarzystwa zwabić i zatrzymać, więcej się jeszcze ón ubiegano.. Król, gdy miał jeden z tych listów, które sam tak pięknie umiał i lubił układać, wysłać do ambasadora lub do którego z dygnitarzy, nikogo nie użył tylko Leliwy Był najpewniejwszym, że go nic po drodze skusić, zabałamucić nie potrafi... Do tych łask i szczególnych względów rnusiał chłopak dojść powoli, z początku bowiem nikt go nie znał, nie miał nikogo, coby go przypominał i zalecał; dorabiał się uznania i wysługiwał, by je pozyskać.

Izdebka, którą Janek ząjmował w zamku, była może najmniej pokaźną, najniewygodniejszą i dostała mu się dla tego, że wszyscy nią pogardzili; potrafił z niej jednak uczynić z małemi środkami najmilsze mieszkanko. Położona blizko poddaszów, zdała od wrzawy uczęszczanych korytarzy, miała dwa okna na Wisłę i wesołe od nich światło. Przy» tykał do niej gabinecik, rodzaj sypialni ciemnej, w której kryło się wszystko, co do gospodarstwa należało... W izdebce była kanapka, stół przed nią, drugi do pracy cały założony książkami, na oknie kilka wazoników zielonych.. Zresztą ubierały ją naukowe sprzęty, globusy, mapy, matematyczne narzędzia i przybór do rysunków, któremi się Janek także zajmował. Wszystko to ustawione w najlepszym porządku z pewnym nawet wdziękiem budziło zazdrość towarzyszów, u których większa

pszestrzeń cała była zawsze zagracona i w nieładzie.

— Ten Janek rnusiał chyba kiedyś służyć zachłopca w jakim dworze — mawiał Turkułł — tak sobie umie terzaz być razem lokajem i panem.

Uderzało to zarówno towarzyszów jak starszyznę, iż nigdzie, ani sylwetki, ani poiretu, ani żadnej pamiątki familijnej u Leliwy nie było. Przy łóżku tylko w głowach stało piękne pudełko zamykane na klucz, z którego raz na wielkie naleganie połączone z żarcikami odpowiadając, chłopak dobył przepyszny łańcuch złoty z relikwiarzem, i pokazawszy go, usta żartownisiom zamknął.

Chociaż największa tajemnica otaczała pszeszłość Leliwy, który nierad był się z niej spowiadać, ów łańcuch dawał do zrozumienia, iż z bogatej mógł rodziny pochodzić. Był to zapewne, domyślali się towarzysze, ostatni szczątek dawnej zamożności, gdyż na teraz Leliwa wydawał się u bogim, i gdy innym nadchodziły z domu pieniądze, on nigdy ani listów, ani żadnego nie odbierał zasiłku. Nikt też nie przybywał do niego z rodziny, czasem tylko stary kulawy jegomość,w którym domyślano się sługi domu, zachodził na chwilę, i po cichej, krótkiej rozmowie prędko się wynosił. Tu jak na wsi, przezwano go poufale kuternogą. Wszystkie te szczegóły o Janku spisujemy tu dla tego, iż one nadzwyczajną obudzały ciekawość w mieście, i chciwie je chwytano, interesując się urodziwym i miłym chłopakiem... Wabiono go do wielu domów., ale widocznie unikał ich w jednym tylko czasem na chwilę się zjawiał....

Tak zwane romansowe przygody są wprawdzie rzadkie w życiu powszedniem, lecz każdy myślą sięgając w przeszłość własną przyzna, iż ich sam kilka przeżył przynajmniej lub kilku był zdumionym świadkiem. Nie ciągną one za sobą tych skutków, jakie się z nich wywiązywać zwykły w romansach, lecz mają często następstwa niespodziewane i dziwne. W owych czasach wielkiej dworu świetności, *po wyborze Poniatowskiego jedna z rodzin z królem skoliigaconych, rachując zapewne na protekcyą N. pana, ze wsi wybrała się na mieszkanie do stolicy. Składała się ona z wdowy, osoby w wieku ale żywej jeszcze i w pełni sił i zdrowia będącej, wiozącej trzy dorastające córki, dziedziczki znacznego ale obdłużonego majątku... Pani Pisarzowa litewska, ten tytuł bowiem został jej po mężu, była osobą poważną energiczną i umiejącą sobie we wszystkich życia przygodach dać radę. Po śmierci męża gospodarowała sama na wsi, układała się z wierzycielami, płaciła długi, a zarazem poczynała wychowanie swych córek, których piękność, imię, a wreszcie i majątek dawały mi prawo do zajęcia najwyższych szczebli w towarzystwie. Pokrewieństwo króla starczyło za drugi posag, nie gardzili nim i ci nawet, co z Poniatowskimi i familią wojowali. Panny były bardzo piękne, dowcipne, żywe jak matka, i już wychowanie ich przez dwie Francuzki i jednego Szwajcara znacznie było posunięte gdy do Warszawy z panią Pisarzową przybyły. Przez króla spokrewnione z Czartoryskimi, Zamojskimi, Branickimi, Tyszkiewiczami, miały

wstęp do najpierwszych domów w stolicy. Pisarzowa, Litwinka krwią i rozumem, dom urządzić potrafiła tak, że położeniu rodziny odpowiadał, wymaganiom towarzyszkim, a zarazem nie rujnował’pani. Wszystko, czego on potrzebował, a czego wieś dostarczyć tylko może, przywoził ekonom na furmankach z dóbr Pisarzowej; słano drób i zwierzynę, masło, krupy i mąkę... i wędlinki, a gdy trzeba było wystąpić, nie zabrakło też i zamorskich przysmaków, bo Pisarzowa choć oszczędna nie dała się upokorzyć. Nazywano ją powszechnie skąpą, była tylko rządną.

Dwie starsze córki, Ludwika i Anna, już na świat się pokazywały i były w pełnym rozkwicie, zwano je litewskimi aniołami; trzecia najmłodsza, Ewa, drobineczkę ułomna, bo miała jedną łopatkę wyższą niż drugą, twarzy może śliczniejszej jeszcze niż siostry; tej niepokazywano jeszcze, tylko w poufałem towarzystwie, potrosze, w nadziei, żesię ta łopatka sprostować potrafi jakiemiś mądremi gorsetami w części dla tego że istotnie bardzo młodziutką jeszcze była.

Biedna ta Ewa, do której matka najmocniej się przywiązała, poddawała się z anielską cierpliwością próbom medycznym i chirurgicznym, nie dla siebie ale, dla zaspokojenia matki... która się o los jej trwożyła. Mimo tej ułomności Ewunia była tak piękna anielsko, taki miała wyraz słodyczy na twarzy, na ustach taki uśmiech dobroci niewyczerpanej, że kto na nią spojrzał, o krzywem ramieniu zapominał. Ale dla matki, ta u»‘łomność była nieustannem strapieniem, mnogie-

mi oblanemi łzami; napróżno Ewunia zapewniała ją, że za mąż nie pójdzie, że wcale się nie będzie czuć przez to nieszczęśliwą, że jej tak dobrze na świecie, iż nic dla siebie więcej nie pragnie: matka płakała pocichu. Ludwika i Anna zaledwie się ukazały w Warszawie i na balu w zamku, obudziły mnóstwo najgorętszych uczuć i najzajadlejszej zazdrości.

Pałacyk pani Pisarzowej znajdował się na Nowym Świecie nie daleko ś. Krzyzkiego kościoła tak, że na nabożeństwo nie potrzebowały panie jechać powozem, boby to nawet śmiesznie było, gdyby się wieźć kazały o trzy kroki, chodziły zwykle skromnie ubrane i zakwefione pieszo. Trafiło się jednego dnia rano, iż po balu u księcia Radziwiłła, niedźwiedź z jego stajni, którego cygan dozorujący na honorze znać pokrzywdził, wyrwał się rozjuszony zestajni i z podwórza... Cała czereda psów, koni, ludzi natychmiast pogoniła za nim w ulicę, ażeby go złapać lub ubić, gdyż rozwścieklone zwierzę zaraz na wstępie kuchtę, który stał w bramie pałacu, na śmierć zażarto i żebraka śmiertelnie okaleczyło.

Szczególnym trafem Pisarzowa z córkami szła właśnie o tej godzinie na ranną mszę do świętego Krzyża, gdy niedźwiedź wlokąc za sobą łańcuch, obroczony już cały, rycząc i drąc co spotkał po drodze, wpadł prawie na idące kobiety.... Pisarzowa sama, starsze dwie panny, sługa skryły się jakoś pospiesznie do kościoła wbiegłszy, gdy Ewunia bardziej nad nie przelękła pośliznęła się, padła na samej drodze i byłaby niechybnie stała się pastwą

rozjuszonego zwierza, gdyby jadący konno z zamku Leliwa nie przypadł tak, że ją od niedźwiedzia sobą i koniem zasłonił. Zwierz rzucił się na niego i na konia, skaleczył mu nogę, ale chłopak odważny, wołaniem i zachętą ośmieliwszy pannę i dając jej czas się ukryć, z olstry dobył pistoletu, i bestyę trafnym strzałem trupem położył. To mężne zastawienie się Janka, na które mnóstwo osób patrzało, a któremu Ewunia życie była winna, zjednało mu najczulszą wdzięczność pani Pisarzowej. Król także nie mógł się przytomności jego odchwalić; tegoż dnia posłał do niego Lafonteine, sam go odwiedził dopytując o ranę, która acz bolesna nie była groźną,niedźwiedź bowiem tylko mu nogę poszarpał... Nazajutrz zaś pojechała pani Pisarzowa z podziękowaniem. Było to naówczas w powszechnym zwyczaju,że wszyscy niemal brali podarki i pieniądze. Przyjmowali je szambelanowie królewscy, brał jawnie za usługi wojewoda Stępkowski, ofiarowano urzędnikom tabakiery pełne złota, a paniom, gdy dobre przywozili wiadomości, po“kilkadziesiąt dukatów, pierścionki i zegarki. Pisarzowa dowiedziawszy się, że Leliwa był ubogi, w bardzo piękny zielony jedwabny woreczek włożyła sto dukatów i z nimi udała się na zamek. Jakież było jej zdziwienie i wstyd, gdy chłopak ofiarowaną nagrodę stanowczo odrzucił i prosił, aby go nią nie upokarzała. Miano to za niepotrzebną dumę i śmieszność, boć wielcy panowie przyjmowali pensye od dworów zagranicznych, na jurgeicie ambasady były pierwsze imiona rzeczypospolitej, a tu ubogie chłopę za ofiarę życia dla osób nieznanych nawet, takiego podarku przyjąć odmówiło...

Skutkiem jednak znalezienia się tego było, że Pisarzowa polubiła zbawcę Ewuni i prosiła go, aby lej dom za krewny i przyjaźny sobie, za familijny uważał... Gdy Leliwa raz tylko na chwilę po wy. zdrowieniu przyszedłszy, później długo nie ośmie= lił się pokazać w domu Pisarzowej, sama posyłała po niego, zapraszała na obiady, gdy nikogo nie było, i obchodziła się z nim jak z krewnym. Ewunia na pamiątkę, wyszyła mu za pozwoleniem matki woreczek, na którym była data wypadku i jeden wyraz: wdzięczność.

Siostry śmiały się z młodziuchnej Ewuni że się gotowa w swoim zbawcy zakochać, tak nawet wedle wszelkich reguł romansowych być powinno; Pisarzowa jednak nie przypuszczała, aby jej córka mogła się dopuścić takiego dziwactwa... ani by ów ubogi paź, nie mający ni domu ni łomu, śmiał oczy podnieść na krewną N. pana. Z zupełną ufnością w zdrowy rozsądek obojga, matka ile razy przyszedł pan Jan Leliwa, co się zbyt często trafiło, posyłała po Ewunię i dozwalała im bez przeszkody mówić z sobą. Były to jeszcze dzieci! a bawili się tak po dziecinnemu, a tak razem poważnie, iż siostry starsze dosyć się z nich naśmiać nie mogły... i nikt podobno, nawet troskliwa matka nie dostrzegła, iż między ocaloną, a wybawicielem zawiązał się stosunek nader czuły., jednak z tych cichych miłości wyjątkowych, które dla tego, że wierzą w swą trwałość, spokojne są i szczęśliwe...

Kobiety,a szczególniej nasze, są aniołami ziemi, zgodzimy się na to wszyscy i oddajemy im cześć na kolanach; niestety szatan urodził się z

prześlicznego anioła, który w chwili upadku prze-
dzierzgnął się w ideał brzydoty i zepsucia... Tak
samo w tym wieku XVIII, na tym dworze słyn-
nym tylu pięknościami, między któremi było
cnót wiele, trafiały się upadłe anioły, obudzające
wstręt i obrzydliwość. Od nich to przeszło zepsu-
cie na tych co ich otaczali, co obcowali z nimi i
coraz szerszem kołem poszła zaraza na pokolenia
następne... Szczęcie były to istoty wyjątkowe; a
w drewnianych dworkach wiejskich, pod słomia-
nemi strzechy dochowaia się spuścizna cnót sta»
ropolskich. Podskarbic, który dawno w stolicy
nie bywał, miał tu same znajomości z lat mło-
dszych, mężczyzn i kobiety w rodzaju kasztelana,
których wiek, zamiast przytępić wybryki, uczy-
nił cynicznymi na zimno rozpustnikami, nie mo-
gącemi nawet namiętnością się uniewinnić.

Po bytności w zamku i widzeniu się z ka-
sztelanem, z którym niemal cały dzień spędził, bo
mu ten honory Warszawy czuł się w obowiązku
robić; Podskarbic wrócił znużony, nazajutrz u-
czuł się słabym, a trzeciego dnia wyjść nie
mógł.

Gryzł się, niepokoił, a że go jakoś zimno
wszędzie przyjmowano, wyobrażał sobie, iż
wpływ przyjaciół zony niepowrotnie go zgubił w
opinii i u dworu. Szukał więc pociechy, jakiej
się tylko mógł spodziewać od tych, co go znali
młodym, szczęśliwym i ulubieńcem mody. Między
innemi dowiedział się o pobycie słynnej niegdyś
piękności, której żywot nader burzliwy skończył
się trzecim już rozwodem i wypoczynkiem w War-

szawie. Młodość spędziła ona w większej części za granicą, w Paryżu, po dworach niemieckich, straciła znaczną fortunę na zbytki bajeczne, a teraz żyła z pensyi, od ostatniego małżonka otrzymanej, i resztek majątku. Nie przeszkadzało jej to mieć dom otwarty, przyjrriować najpierwsze towarzystwo stolicy i odgrywać rolę bardzo czynną w rozmaitych sferach. Z domu księżniczka... pani hrabina Dramińska, dzieci, jakie miała z dwóch pierwszych małżeństw, powyposażyła, a pozostała sama teraz panią swej woli i czasu... używając go wedle starych nawyknień, jak mogła najweselej. Chociaż dworu nie miała, pozostał jej z niego zawsze jakiś marszałek dworu, zmieniany dosyć często, mężczyzna zwykle, urodziwy, dobrze wychowany i przyzwoity, który, domem zawiadywał i w salonie gości przyjmować pomagał. Grywano co wieczora faraona, świetne były kolacye, czasem muzyka i tańce nawet, a wszyscy cudzoziemcy prezentowali się tu i przez nią rozmaite dyplomatyczne, pieniężne, sądowe załatwiali interesa.

Hrabina Estella z książąt... miała piękną karetę, konie rosłe, kilku lokajów, damę “do towarzystwa niekiedy jaką ubogą kuzynkę bardzo piękną... i — owego nieśmiertelnego pieczystego marszałka dworu. Nie powiemy, ażeby ją powszechny szacunek otaczał, posługiwano się nią wszakże i jej domem powszecshnie. W młodości jeszcze, za życia pierwszego męża, Podskarbic należał do najzapaleńszych jej adoratorów; później stracił ją z oczów aż oto teraz wypadkiem dowiedział się

od kasztelana o jej położeniu, o przygodach i zamieszkaniu w Warszawie. Była to jedna osoba, z którą mógł poufale pomówić Podskarbic, nie lękając się skompromitować. Hrabinie Estelli wszystko w ogólności mówić było można; była to o=sobą (wedle wyrażenia opoki) wyższa, bez przesądów, która wszystko zrozumieć potrafiła., nie gorsząc się niczem, nie oburzając zbytnio przeciw niczemu. Podskarbic uradował się niezmiernie, dowiedziawszy się o niej, obawiał się jednak pierwszego wrażenia, gdyby tak przybył nie oznajmując i — napisał bilecik, prosząc o pozwolenie przypomnienia się. Tegoż dnia odebrał odpowiedź, na ładnym papierku skreśloną charakterem, który od lat owych nic się nie zmienił i nic nie postarzał. Estella zapraszała go serdecznie na obiad, a huit clos, en petit comité, jeszcze dzisiaj.

Podskarbic ubrał się jak mógł najstaranniej, quantum mutatus abillo !! — przejrzał się w zwierciadle zasmucił, piękna Estella trudno by nawet poznać go mogła... [O godzinie naznaczonej stawił się na Długą ulicę., do wskazanego mu domu... Pałacyk z imienia nie był paradny, lecz dosyć zręcznie wyporządzony, aby przyzwoicie wyglądał... W saloniku, zastawionym mnóstwem gracików kosztownych i błyszczących zabytkami dawnych splendorów i pamiętnikami dni szczęśliwszych, ujrzał zdumiony kobiecinę, ubraną młodo, zdała wyglądającą zręcznie... ale w cóż się obróciła owa dziewica, anielska, rumiana i biała twarzyczka Estelli! Róż i bielidło zjadły ją, wykręci-

ły i zmieniły w potworną prawie maseczkę... Zresztą głos, ruchy — pozostały też same, z dodatkiem przesady karykatury... Podbiegła do niego podając obie rączki jeszcze ładne, wdzięcząc się i potrząsając głową....

— A! Podskarbicu! zaklinam, proszę, nie patrz na mnie... okropną jestem... ale jakże chcesz! policz lata przeżyte! A ty! nieboraku! a! i ciebie nielitościwy czas nie oszczędził., chociaż... doprawdy, na takie życie, jakie prowadziłeś, powiem ci szczerze, nie jesteś tak... zniszczony, jak sądziłam. Vous avez très bonne mine.

— Allons donc! cheré Comtesse, nie mówcie mi tego... jestem ruiną, wiem to i czuję.

Oboje przypatrywali się sobie i strasznym śladom lat ubiegłych. W tern spotkaniu było coś elogicznie smutnego i śmiesznego razem. Znajomość i miłość stanęły jak zegar na rozstania godzinie... a teraz... biła inna... na świecie... i z wiosennego poranka zrobiła się noc zimowa.

Podróżny, który wrócił z wygnania i zastał domostwo w gruzach, szuka pod niemi zatraconych skarbów; tak oni w twarzach swoich odszukiwali oczyma rysów, które im zostały w pamięci.

— Mój Podskarbicu — ozwała się po chwili Estella — trzeba się godzić z wolą przeznaczenia, starość ma swe dobre strony., straty przychodzą z pewnemi kompensatami, znamy lepiej świat i ludzi, i uśmiechnęła się.

— Słyszałam, żeś się ożenił....

Pdskarbic głową pokiwał smutnie.

— I bardzo bogato? — dodała żywo Estełła — co nigdy nie szkodzi....

Na tem się teraz przerwała rozmowa, przytomny bowiem marszałek dworu i dama do towarzystwa nie dozwolili zwierzyć się szczerzej Podskarbicowi z utrapień swoich; zaczęto mówić o czem innem... On utrzymywał, że czasy były liche i smutne, ona starała się je obronić.

— Wierz mi — rzekła — teraz jest lepiej; z tym ostatnim Sasem nie wiedzieć co było począć, do psów tylko strzelał, na kobiety ani patrzył i wołał to swoje Drezno od Warszawy, która się była strasznie zabrukała. Król jest miły i dobry, na nieszczęście ma nieprzyjaciół...

Dano do stołu, a jedzenie u podżyłej pani było bardzo wykwintne, co Podskarbic cenić umiał... siedli we czwro tylko, węc i ceremonii nie było. Marszałek dolewał wina sąsiadowi, Estella zachęcała do jedzenia i picia, rozweselony żołądek oddziałał na umysł. Podskarbic się rozruszał i podochocił, hrabina mu się nawet zaczynała wydawać młodszą. Szczerzej coraz oboje opowiadali sobie przygody przeszłości, a gdy czarną kawę podano i zostano sam na sam w gabinecie hrabiny, Podskarbic stał się poufałym i serdecznym, jak za dobrych czasów... Całował białe rączki, z któremi lubiła się chlubić Estella, i spowiadał się ze wszystkich grzechów i utrapień. Ujęło ją to nadzwyczajnie, tak, że uprzejmością starała mu się to wspomnienie dawnej miłości odpłacić.

— Wiesz co Edwardku — rzekła w końcu — ja widzę, że ci coś cięży na sercu i duszy; nie masz

pewnie lepszej przyjaciółki nademnie, możesz mi się zwierzyć, powiadam ci, z wszystkiego. Jeźli to jest co takiego, na co ja poradzić mogę? Mam bardzo rozległe i wielkiego znaczenia stosunki.

— Niestety — ozwał się Podskarbic — to, co mi cięży na sercu, jest natury tak delikatnej, że chybabym księdzu na spowiedzi mógł to wyznać... gdybym się jeszcze spowiadał.

— Jakto! to ty się nie spowiadasz? - zakrzyknęła Estella ręce łamiąc.

— Odkładam... in articulo mortis.. trzeba bę= dziewyznać wszystko — szepnął stary z westchnieniem.

— Cóżeś ty zabił kogo?...

— A! nie!

— Stary rozpustniku, ciężą ci grzeszki młodości! — rzekła grożąc na nosku...

Podskarbic ruszjł ramionami.

—I! na to o rozgrzeszenie nietrudno — odparł z uśmiechem....

— Ale mówże, mów, ja cię nie zdradzę, mój Edwardzie, żal mi cię szczerze...

— Droga Estello — zawołał nieco napity Podskarbic — tobie jednej powiedzieć to mogę...

— Ale mów już, mów — przysiadając się tuż i biorąc go za rękę, nalegała hrabina. — Cóż to jest?

— Wiecie już o mojem ożenieniu — począł zniżywszy głos Podskarbic — to był powód pierwszy wszystkich nieszczęść moich... Wojewodzina miała syna... cała jej miłość zlała się na to dziecię; spodziewałem się, że i mnie Pan Bóg obdarzy potomstwem... byłem zazdrosny... zbyt może przewidu-

jący... Wystaws obie, popełniłem ten błąd, żem się postarał., aby to dziecię...

Nim dopowiedział, Estella krzyknęła i usta mu zatuliła ręką... drugą zasłaniając sobie oczy...

— To okropność., dziecko., umarło..,.

— Nie nie — przerwał Podskarbic — w istocie gdyby sobie było umarło, miałbym zapewnie Zgryzoty sumienia, alebym nie miał niepokoju i kłopotu.

— Więc cóż się z tern dezieckiem stało?

— Usunąłem je... usunąłem - rzekł Podskarbic. — Wojewodziną ma je za umarłe... ale ono żyje... Oddano je na wieś. Chłopiec się dziwnym sposobem wyrobił. Przytem człek, który mi do tego interesu służył, ruszony głupiem sumieniem, zdradził mnie... chłopca uwieziono, i wystaw sobie... znajduję go... paziem królewskim...

— Ale czy ci się nie śni? nie żartujesz ze mnie? co mi za banaluki pleciesz? Jakżeby do tego doszedł? SiblW-

— To i dla mnie.... zagadka.... Chłopca w osobliwszy sposób napiętnowała natura, bo podobny niesłychanie do ojca i ma jego znamię na twarzy.... Trzeba było nieszczęścia, że go raz, gdy jeszcze był na wsi, żona moja spotkałaŁ i zrobiło, to na niej wrażenie niesłychane., chociaż nie domyśla się...

— Ale to są tragedye! tragedye! zaczęła zrywajc się z siedzenia i poczynając biegać po gabinecie Estella. — Czy ty mnie tylko nie mistyfikujesz?

— A! kochana hrabino, smutna to prawda tylko!

— Ja znam wszystkich paziów królewskich; któryż to z nich, prozsę cię!

— Na miłość Boga,' hrabino...

— Bąźże spokojny, przecież ja cię nie zdradzę... rychlejbym mogła.. Do tej nieznośnej wojewodziny mam ząb okrutny... Któż to, który z tych paziów?

— Wprowadzono go pod imieniem Leli wy; kto? jak? nie rozumiem i trwożę się...

— Leliwa! ten śliczny blondynek! Cherubinek! który ocalił pisarzownę od niedźwiedzia... wiesz o tern?

— Nie, nie wiem...

Estełla poczęła historyę niedźwiedzia, panny i pazia... Podskarbic słuchał z kolei zdumiony...

— Ten chłopiec jest na takiej drodze... że doprawdy może zajść daleko — mówiła hrabina — wszyscy się nim rozkoszują, chwalą go, protegują.

— Ależ przecie przerwał Podskarbic — nie może się nawet z rodziców wykazać?

— No, a ci co go tu wyprowadzili na świat tak zręcznie, potrafią mu i jenealogią zesztukować — śmiejąc się rzekła Estella. — Czy tylko ty się nie mylisz, bo strach ma wielkie oczy.

— Radbym się mylić, lecz dowody mam wszelkie... Zapewne, dopóki ja żyję — mruknął posępniejąc Podskarbic — chłopiec pozostanie, kim jest, lecz... po mej śmierci! Co za sromota dla imienia.. wszystko się może wyjawić... wyciągną mnie z grobu., ten sługa, zdrajca niepoczciwy...

Esteklla ochłonąwszy bawiła się już końcem chustki....

—Ależ bo pozwól sobie powiedzieć — rzekła — postąpiłeś sobie w całej tej sprawie najnieroztropniej; któż rzeczy robi przez połowę...

Nastąpiło po tych, wyrazach pełnych strasznego znaczenia, długie milczenie...

— Kto wspólników takiej roboty... zostawia pod ręką, aby każdego czasu zdradzić i świadczyć mogli?

I znowu było milczenie.

— Byłeś bardzo złym, bardzo zepsutym — dodała Estella, — a razem z tern, nadto dobrym i bojaźliwym... Que vouiez-vous? bui veut la fin veut les moyens.

Podskarbic nic nie odpowiedział.

— Tyś całe życie zawsze wszystko, nie wyjmując miłości, robił po połowie... dla tego zostały się zgryzoty, strapienia i.zawody...

Wymawiając te wyrazy minę miała tak słodziuchną, a głosek dźwięczał tak niewinnie, jakby mu dawała naukę moralną. Podskarbc znękany wzdychał.

—Lecz co teraz począć? co począć? odezwał się. Rada nadzwyczaj trudna — po namyśle poczęła hrabina — w istocie chyba los nieszczęśliwy uwalniając cię od tych natrętnych... świadków, mógłby uratować..

— Tak, zapewne— ozwał się Podskarbic — ale en chłopiec, ten... chłopiec trzebaż było, aby się tu dostał i był na drodze... na której najprędzej szkodzić mi może ten zdrajca...

— Któż to taki?...

— Któż, jeźli nie stary sługa, mojeini dobro» dziejstwami obsypany....

Hrabina zacięła usta.

—Prawdziwie, żerni cię żal, jesteś strasznie nie szczęśliwy.. Historya z tysiąca nocy, ale ci nawet najlepszy przyjaciel ani najgorętsza przyjaciółka nie może doporaódz....

—A! — szepnął do ucha nachylając się Podskarbic, — tyle jest sposobów... żeby tego chłopca uprzątnąć. Jużcibyć pani coś mogła... gdybyś chciała...

— Nie tak łatwo, jak ci się zdaje...

— Król go lubi? starać się nań ściągnąć gniew królewski podejrzenie., coś takiego, coby go silnie skompromitować mogło...

— Estella zaczęła dumać, schyliła się z kolei do ucha Podskarbica, rozmowa dwojga dobrych przyjaciół skończyła się szeptami, z których nikt już słowa dosłyszeć nie mógł.

Podskarbic za miast wracać do Krakowa, na zimę postanowił zamieszkać w Warszawie; najął sobie mieszkanie, i nie chcąc wielkiego otwierać domu, ograniczył się skromnem kawalerskiem urządzieniem. Szczególniej powab towarzystwa hrabiny Estelli u której zazielonym stołem spędzał wieczory, ciągnąć bank dla mnogich gości, w czem celował i co bardzo lubił, przyczynił się do- zatrzymania go w stolicy. Najczęściej też jadł obiad u niej, jeźli kto z dawnych nie zaprosił przy-

jaciół, odwiedzał kasztelana, i w małem kółku dobranych towarzyszów bawił się bardzo wesoło. Pomalutku przez nich wcisnął się i do takich domów, które go zrazu sobie nie życzyły i poglądały nań okiem niechętnern. Wielka ogłada, zręczność, dowcip odzyskany, umiejętność świata i znajomość, serca ludzkiego, pomagały do tej nanowo rozpoczętej karyery. Ora była jego namiętnością, a jest ona tą która najdłużej przeżywa, gdy inne spopieleją. W domu hrabiny tysiące dukatów czasem przechodziły przez stół, jednego wieczora., i kończyło się zwykle na tern, że dobra część została w domu. Najzapaleńsi gracze, którzy zrazu sromotnie wygrywali, byli tu najporżądańsi, wiedziano bowiem dobrze, iż ostatecznie oni się 'najprędzej rujnowali.

Spółce tej jednak długo się nie udało w niczem Leliwie zaszkodzić, choć na ochocie nie zbywało obojgu, a na przebiegłości i zręczności hrabinie. W domu pani pisarzowej tylko Estella trochę podmyła grunt pod chłopakiem, szepnąwszy, iż po Warszawie różnie mówią o tych stosunkach że to panience szkodzić może, a Leliwa niepotrzebnie się chwali, iż Ewunię rozkochał. Leliwa nigdy w życiu nikomu o pannie pisarzównej słowa nie wspomniał, że wypadało z dobrze ukartowanej gry, puścić takiego szmermela, który pisarzowę, ostrożną Litwinkę, zniewolił do zamkięcia domu prawie zupłenie przedpaziem; przez stano go zapraszać, przyjmowano zimno. Ewuni dodawano jedną z sióstr, w ostatku uczuć dano chłopcu przez strzeń, jaka go od królewskich kuzynek dzieliła.

Leliwa zasmucony, kryjąc w sobie ból, ustąpił. Ale zarazem zdrowie biednej Ewy pogorszyło się mocno, a lekarz oświadczył matce, iż jest zagrożoną i że moralne cierpienie było choroby przyczyną. Próżno sobie łamano głowę, jakie mogło być to cierpienie moralne szlachetnej panienki. Matka nie wpadła nawet na myśl, żeby Ewunia kochać się mogła. Jakoś się to jej wydawało przedwczesnem. Dopiero czułe siostry wykryły jakieś poszlaki, ślady, znaki tajonej miłości; dojrzały że Ewunia siaduje w oknie, przed którem paź przejeżdża w pewnych godzinach, że naówczas zarumieniona mocno chusteczką jakieś mu daje znaki . Matka spłakała się i poszła po rozum do głowy, pojechała do króla J Mości prosić go o radę Sprawa była delikatna, bo ją taić należało dzieciństwo to było, lecz mogące ciągnąć następstwa nie miłe za sobą. Król się uśmiał serdecznie z trwogi kuzynki, radził jej z drobnych rzeczy wielkich nie robić, i córce zakazem, srogością niewczesną myśli nie poddawać.

Pisarzowa starała się skłonić króla, aby Leliwę wysłał gdzie, oddalił, przeniósł, ale to było turdnem.

— Najprzód powiem ci, że go lubię i że mi jest przy Abertrandim użytecznym odezwał się król. — Jeżli go z zamku oddalę, zostanie w mieście: a gdzież pazia posłać? jaką mu dać posadę? do wojska nie zdaje mi się, by miał powołanie. Nie zawinił mi też wcale, a wina względem was nie wielka, iż ocaliwszy życie córce waćpani, za jej wdzięczność miłością odpłaca...

Król potrafił uspokoić pisarzowę, a pułkownikowi Kunigseldowi, który paziowskim oddzia-

łem dowodził, poufnie szepnął, aby od siebie Leliwie zakazał, zbyt częstych przejażdżek pod oknami panien pisarzówien. Chłopak otrzymawszy przezstrogę zarumienił się straszliwie, zaczął tłumaczyć; trudno zaręczyć czy był posłusznym, zawsze jakoś droga tamtędy wypadała.

Była to cała pociecha gdy cień bladej twarzyczki mógł w oknie oglądać, do domu bowiem wcale go już nie proszono. Wypadek ten zasmucił mocno Leliwę, ale gdy się ma lat dwadzieścia, przeszkody miłość wzmagają. Leliwa miał tę pociechę nad innych, że troski 'swe w pracy topił i starał się je zapominać wertując stare księgi. Albertrandi używał go do bibloteki, a że się właśnie poczynał spisywać naówczas zbiór monet i medalów, który Stanisław August gromadził, posługiwał się i do tego panem Janem, który był jego faworytem Król, jak wiadomo, miał osobliwszą słabość do cudzoziemców; najmiejszy talencik, przybywający z zagranicy, oklaskami i szczególnemi dystynkcyami okrywany był na dworze. W służbie króla tylu było cudzoziemców, ilu się ich tylko pomieścić mogło. Właśnie podtenczas przyjechał z Anglii jakiś jemość, zowiący się Tomaszem Price, przywożąc z sobą piękny zbiór kamieni rzniętych i kamez ów, które za dosyć przystępną cenę ofiarował na sprzedaż. Poniatowski był zapalonym tych rzecymiłośnikiem; przez kilka wieczorów u króla admirowano tę daktyliotekę szanowną, czystość rysunku i niezrównane wykonanie. Stanisław August, który na takie rzeczy nie żałował kosztu... choć nabycie naówczas było dlań trudńem, oświadczył się

z chęcią kupienia całego zbioru, ów pan Tomasz Price zniżył cenę akomudując się królowi, a sam jako wielki znawca i miłośnik medalografii, ofiarował się też zbiory króla poukładać i zając się ich spisaniem. Albertrandi miał w podróż wyruszyć, przyjęto Anglika chętnie... i z wdzięcznością. Price zatrzymał przy sobie do pomocy Janka Leliwę. Wielki ten jednak znawca i uczony, który się umiał sprzedać za antykwarza, jakoś młodemu przewodnikowi po kilku sesyach wydał się raczej zręcznym komedyantem, niż znakomitym erudytem; zdawało się że tu dopieru uczył się rzeczy której nie znał, rachując na swą domyślność.

Dośledzono też łatwo że część dnia ledwie przesiedziawszy w bibliotece, resztę czasu pędził po różnych domach, gdzie się wesoło zabawić było można bez zbytniej coremonii, a wieczory przy stolikach gry, szczególniej u hrabiny Estelli. Był to człowiek ze wszech miar podejrzany, ale u nas cudzoziemców przyjmowano zawsze z taką weneracyą, że dopiero katastrofa mogła oczy otworzyć.

Układały się kosztowne medale. Część dnia Leliwa pracował z panem Price. część sam spędzał przy szufladach, w których chronologicznie porządkował przepysznie, zewsząd nadsyłane złote sztuki i niezmiernej rzadkości egzemplarze... Trwało to dosyć długo podczas nie bytności Albertrandego, i Price miał czas zyskać sobie liczne grono przyjaciół, o których hulakom zawsze najłatwiej. Wrócciwszy z podróży Albertrandi doszedł do swych ulubionych szufladek, które na pamięć umiał. Uderzyło go to, że potrządek był tak zmieniony dziwnie, iż się ni-

czego doszukać nie było podobna.... Niektóre najpiękniejsze okazy., poznikały.

Pierwszego dnia spytany Anglik, wytłumaczył się, że przyjął do układu systemat całkiem nowy; na drugi dzień przyciśnięty, zdumiewać się począł nie słychanie, gdzie medale podziać się mogły. Sam tedy z Albertrandim przetrząsnął wszystkie szuflady... Ze ścisłego poszukiwania okazało się, iż około sto szutk monet i portugałów, wartości z górą tysiąca czerwonych złotych, brakło. Kustosz i Anglik osłupieli przerażeni. Zbiór był zamykany starannie, nikt do niego nie chodził... podejrzenie na pana Price paść nawet nie mogło.. Albertrandi nie przypuszczał na chwilę, by sromotnej kradzieży dokonał młody, miły i zacny chłopak, do pomocy używany... A jednak nie kto inny, tylko on jeden mógł być winnym. Anglik zrazu go bronił gorąco, uległ w końcu przykrej rzeczywistości.

— Na miłość Boga — szepnął — potrzeba ostro=żności nadzwyczajnej. Chłopiec mógł to popełnić przez płochość... za cóż go gubić na całe życie? Należy się wprzód zręsztą przekonać., bo Leliwa nie wygląda na to, by mógł się tego dopuścić.

Zgodzono się, by nikomu nie mówić, nie robić wrzawy i rozgłosu; Price był za tern Rozeszli się a biedny kustosz szgryziony, zrozpaczony, dopa=trzywszy godziny jakiejś, gdy Janka nie było, bo go z listem król wysłał, wszedł do jego mieszkania, aby zarządzić poszukiwanie... W alkowie przy łużku, na stoliku, znalazł jakby umyślnie porozrucane papierki, w które zgubione medale pozawijane były i między nimi parę sztuk, jakby w pospiechu zapomnianych.

Straszliwy ten dowód winy młodego c zło wieka tak przygnębił zrazu uczonego, iż padł na sofę i potrzebował długiego czasu, nim przyszedł do siebie... Należało niezwłoczie zabrawszy corpus delicti pójść wyznać królowi wszystko i żądać jego rozkazów. Był wieczór, i właśnie Stanisław August wyjechał do pani Krakowskiej, Albertrandi więc rnusiał zgryziony, kryjąc w sobie smutek, czekać jego powrotu.

Nazajutrz podziwienie wszystkich było wielkie, gdy się z cichych szeptów dowiedziano, iż w nocy, z niewiadomych powodów Jan Leliwa zo=stał aresztowany i uwięziony z rozkazu króla nie wiadomo gdzie... Zakazano rozgłaszać tę wiadomość, ażeby cały oddział paziów i sława dworzan królewskich na tern nie cierpiały, ale mimo to z ust do ust poszła nieszczęśliwa wieść po całem mieście. Price przyniósł ją pierwszy do hr. Estelli i szepnął w ucho Podskarbicowi, który okazał nadzwyczajne wzruszenie. Pierwszy to raz los zdawał się mu być przyjaznym... Price nie wyjawił powodu, lecz da tylko do zrozumienia, że wina była ciężka i tak sromotna, że rehabilitacyi nie dopuszczała, a tak jawna i dowiedziona, że omyłka i oczyszczenie było niepodobieństwem.

Dowiedziała się tegoż wieczora pod wielkim sekretem o tem hrabina Estella, i znając stosunki wszelkie, z jak największym pospiechem nazajutrz rano pojechała do pisarzowej. Starej wszetecznicy została z przeszłości miasto żywego dowcipu nielitościwa złośliwość. Szczególnie lubiła się mścić na młodych i szczęśliwych, dawało jej to chwilę

jakiejś drastycznej rozkoszy, którą się nasycała chciwie.

. Odwiedziny ranne osoby, która niezbyt często u niej bywała, zdumiały nieco panią pisarzowę domyśliła się znając osobę, iż pewnie ze złośliwą i skandaliczną przybyła plotką, a że Ewunia była,w pokoju, skinęła chcąc ją odprawić. Hrabina jednak rzuciwszy się ściskać dziewczynę, którą zwała faworytką swoją, nie dała jej odejść.

— Ja tu tylko chwileczkę, zabawię, chciałam się dowiedzieć po drodze o zdrowie wasże— odezwała się. — Coś mi Ewunia blada, i pani zmizerniałaś.

— Bom do tego życia miejskiego waszego nie nawykła — rzekła Litwinka — Warszawa mnie męczy, ja sobie prosta jestem wieśniaczka i gospodarstwo moje lubię najlepiej.

— Ja zawsze mówię, że to nie ma jak wieś — dodała hrabina — ludzie się w mieście psują... tyle okazyi do złego! tyle pokus... A, a propos — szepnęła — wiecie historyę Leliwy? królewskiego pazia? Wszak to, czy się tylko nie mylę (wiedziała doskonale co mówiła), czy się nie mylę, podobno ten, co którąś z panien tak mężnie uratował...

— A! cóż mu się stało! — krzyknęła pisarzowa

Hrabina z ukosa rzuciła wejrzenie na Ewunię, która jak ściana zbladła...

— Doprawdy, nie wiem dokładnie — dodała hrabina — ale mówią, że popełnił jakąś okrutną zbrodnię, — ale bo to, co u nas się nie trafia.. Król kazał serdecznie uwięzić i zamknąć, nie wiedzieć gdzie...

— Zbrodnię! — krzyknęła Ewunia nie mogąc się powstrzymać — on! zbrodnię?J a! to nie może być! — Tych słów domawiając biedne dziwczę, padło zemblone. Matka pobiegła ratować, przyleciała hrabina rozpaczając nad biednem dziecięciem.... i przepraszając, że mimowolnie była powodem tak smutnego wypadku.

— Ale mogłażem się domyśleć, iż chłopiec Ewunię waszą tak obchodzi....

Pisarzowa płakała, dom cały zbiegł się, zaklęto hrabinę, aby o tern nie mówiła nikomu, i stara żmija wyjechała łzy zostawiając za sobą, z uczuciem radości z tak zręcznie wypłatanego figla.

Zaledwie po kilku minutach zdołano się Ewuni docucić; otwarła oczy biedna i z płaczem rzuciła się matce na szyję, słowa nie mogąc wymówić. W tej chwili wszystkie inne względy ustąpiły przed macierzyńską troskliwością o życie i zdrowie dziecięcia. Pisarzowa kazała na tychmiast karetę podać, pojechała do zamku. Król zajęty był ambasadorem i przyjąć nie mógł, lecz uparta Litwinka siadła czekać na odjazd posła, kazała powiedzieć kuzynkowi, że widzieć się z nim musi, i wysiedziawszy dobrą godzinę, została przypuszczona przed pańskie oblicze.

Zapłakane oczy pisarzowej dozwalały się domyślać, że ją jakaś boleść dotknęła...

— Co się stało waćpani? czy uchowaj Boże co w familii....

— Nic, N. panie — zawołała kuzynka — przybiegłam tylko — dowiedzieć się. Rozpuszczono wieść po mieście o jakimś występku popełnionym

przez Leliwę tego, który mi córkę uratował. Moja Ewunia omdlała, życie jej zagrożone...

Król mocno sposępniał i zachmurzył się.

— Co to jest N. panie, czy w istocie...

— Proszę tego nie rozgłaszać — odezwał się Poniatowski — rzecz wiele dla mnie nie przyjemna...

— Czyż może być co tak ważnego?...

— Ważnego, bolesnego, — rzekł król — chłopiec zgubiony...

Pisarzowa ręce załamała.

— Chłopak tak zacny, tak uczciwy...

— Tak niepojęty hipokryta — przerwał Stanisław August. — Nie, nie mówmy już o tern — dodał — wracaj waćpani do domu... i niech imię jego więcej wspomnianem nie będzie. Radbym zapomnieć, iż podobna istota..znajdowała się na moim dworze...

— Lecz cóż to być może?

— Proszę mnie nie pytać, rzućmy zasłonę na te brudy i szkaradę — zakończył król, — próżnobyś się waćpani łudziła nadzieją, to człowiek zgubiony....

Wróciwszy do domu, pisarzowa zamknęła drzwi wszystkie i płakała. Posłano po doktora dla Ewuni, która leżała w gorączce.

Nazajutrz, jeszcze ksiądz kustosz biblioteki królewskiej był w swem mieszkaniu na dole, gdy oparłszy się chłopcu, który puszczać nie chciał, mężczyzna już w wieku, nakuliwający na nogę, gwałtem się wdarł do pokoju uczonego. Albertrandi podniósł głowę na szelest i zdziwił się, widząc z tą poufałością wdzierającą się postać, sobie nieznaną

zupełnie, człowieka jak z ubioru wnosić było można, należącego do klasy średniej, z twarzą pospolitą, ogorzałą, o brwiach nawisłych, i widocznie w tej chwili jakiemś gwałtownem wzruszeniem zburzoną.

Niech mi ks. prałat daruje — zawołał wchodząc — w takich razach, gdy o życie i honor idzie, ceremonii się nie czyni...

— O życie! na rany pańskie, o czyjeż życie? — zawołał Albertrandi.

— Gorzej inż o życie, bo o honor! o honor niewinnego chłopaka. Na Boga, ks. prałacie, co się stało z Janem Leliwą? Ja jestem jego..4 opiekunem...

Prałat spuścił oczy i ręką machnął rozpaczliwie.

— Waćpan jesteś jego opiekunem — powtórzył —lituję się nad panem...

— Ale cóż zawinił? — co mógł zawinić!... Ja tego chłopca znam do głębi duszy, niepodobnieństwem jest, ażeby się mógł dopuścić winy jakiejś, zasługującej na tak nadzwyczajną surowość. Przysięgam prałatowi! to niepodobieństwo, to rzecz niemożliwa...

To mówiąc ręce złożył, i jęknął — Mógł jako młody popełnić płochość jakąś... mógł przekroczyć w czemś zakaz... ale...

— Ale., kochany mój panie —rzekł prałat. — Waćpan się domyślasz, a my mamy smutne, dotykalne dowody występku...

— Występku! na rany Boże! powiedzcież mi, co popełnił! Ja na widziane i na niewidziane przy-

sięgam, że to potwarz, złość, zawiść lub intryga, która usiłuje zgubić niewinnego.

Prałat wyszedł ku drzwiom, chopcu zakazał puszczać kogokolwiek bądź i zbliżył się do przybyłego.

— Radbym — odezwał się, — oszczędzić panu boleści, radbym zataić tę sromotę, lecz wreszcie znaglony, zmuszony, wyjawić wszystko muszę. Nie czynimy rozgłosu, rzecz pozostanie tajemnicą, ale wypadek jest okropny!

Starzec otarł pot z czoła i łzy z oczów razem, płakał...

— Uspokój się pan... co się stało, nieodwołalne... kończył Albertrandi. — Rzecz się tak ma. Wszyscyśmy go kochali i wszyscyśmy się doń przywiązali; ja go lubiłem jak własne dziecię! Mieliśmy w nim nieograniczone zaufanie.. Zawiódł je! zawiódł niegodziwie i nikczemnie... Użyłem go, dając mu klucze, do układania, medalów królewskiego zbioru., skorzystał z mej niebytności i popełnił kradzież ogromną...

Stary oczy wyszczerzył, osłupiał, pomyślał, usta mu się skrzywiły, i dziko śmiać się począł.

— On!! on! popełnił kradzież! on! zawołał — to jest prost niepodobieństwo, to jakaś najnikczemniejsza w świecie intryga.

Ale, mój panie począł prałat kiedyśmy część monet i papiery od nich u niego w mieszkaniu znaleźli... corpus delicti.. ja sam.... ja memi rękami je u jego łóżka zebrałem.

Stary ręce załamał, ale w prędce odzyskał przytomność

— Gdybyś ksiądz prałat sto razy mi to powiedział — ofuknął się — powtórzę, nie może być,nie może być! Pytaliście jego?

Albertrandi zmieszał się.

— Pytano go, zapiera się, płacze, rozpacza — rzekł ale cóż to znaczy przeciwko oczywistości...

Stary kroków kilka cofnął się zachmurzony.

— Nie powiem nic więcej, Bóg próby straszne z syła na ludzi., jest to wypadek niezrozumiały.. a mimo to zaręczam i przysięgam, on się okaże niewinnym, a ci, co tak lekkomyślnie...

— Jakto lekkomyślnie? Możesz to pan nazwać lekkomyślnością — zapytał Albertrandi.

— Człowiek się nie zmienia w jednej chwili, ja go znam od dziecka tam był ktoś inny co nań chciał rzucić swą winę.

— Nikogo nie było, — odparł ksiądz — jeden tylko cudzoziemiec uczony, człowiek szlachetny, którego nawet posądzać się nie godzi.

— A młodego chłopca godzi się posądzać? — spytał ironicznie stary..

— Przecież są dowody...

— Rozpatrzcie się w nich...

— Możesz pan być pewnym, iż sprawa ta z całą rozwagą i zastanowieniem osądzoną zostanie...

— Sądźcie, sądźcie, ale i na sąd Boży pomnijcie — zawołał stary — pomnijcie i na to, że plama na honorze się nie zmywa... że żadne zadośćuczynienie jej nie odpłaci... że gdy niewinnego, uwolnicie, w lat dziesięć ci co nie znają rzeczy,

bluźnią w oczy jakąś nierozjaśnioną sprawą sromotną.

Albertrandi zdawał się mocno poruszony.

— Uspokój się pan — rzeki kładąc rękę na jego ramieniu — pojmuję ojcowską jego boleść.. Król jest sprawiedliwy, ale serca litościwszego nadeń, nie ma nikt. Oszczędzim sromoty rodzinie i jemu, sprawa się stłumi, zamilczy...

— Ja nie wiem, ja nic nie wiem, ja wiem jedno, że on musi być niewinnym. Ojcze mój — tu schylił się chcąc w rękę całować prałata, który się cofnął — zaklinam was na pamięć matki, na rany pańskie., pozwólcie mi się z nim widzieć., mówić...

— To być nie może i odemnie to nie zależy — odparł Albertrandi. — Znaleziono u niego kilka monet skradzionych, ale cała ich masa znikła: musi powiedzieć, co zrobił z nimi.. Indagują go, przyznać się nie chce, a dopóki szkoda nie będzie odzyskaną, nikt się z nim widzieć nie może.

Stary załamał ręce.

— Ileż ta szkoda wynosi? — zapytał.

— Przeszło tysiąc czerwonych złotych — rzeki prałat.

— Ja składam jako kaucyę te pieniądze — odparł gorąco starzec a dajcie mi go widzieć! dajcie mi pomówić z nim.

Powtarzam wam, to nie zależy odemnie...

Kulawy mężczyzna sparł się na kiju, odstąpił nieco, pokorna postawa jego zaczęła nabierać wyrazu jakiejś obojętności i pogardy. — Czyńcież, co

wam sumienie dyktuje — rzeki szydersko. gubcie powierzone wam dziecko., jeźli wam to nie cięży na sumieniu. Bóg niech wam przebaczy... Biada tym, co dziecko myśląc ocalić w tę waszą odchłań rzucili...

Mówiąc to, chciał niepokłoniwszy się odchodzić, gdy oburącz pochwyci! go Albertrandi.

Ale na Boga, rozżalony człowiecze, cóż było robić? — zawołał.

— Co było robić krzyknął zmarszczony starzec. — Przybłęda jakiś, włóczęga obcy razem z Leliwą miał powierzone klucze... nie znaliście go może jak od kilku tygodni, a choćby miesięcy, i wolicie kradzież złożyć na szlachetnego młodzieńca, niż śledzić tego awanturnika, który mógł złodziejstwo popełnić...

— Co wąćpan mówisz? co mówisz 1 Aleź dowody?

Kulawy strząsnął się, głowę odwrócił i odszedł milczący. Ostatnie jego wyrazy wszakże pewne wrażenie uczyniły na kustoszu... zamyślił się.

Wieczorem były pokoje u króla... Stanisław August grał partyę z ambasadorem i dwoma dygnitarzami, gdy nadszedł rezydent angielski... i okoliwszy stół tak, ażeby na oku królowi stanąć, pozdrowił go. Poniatowski rękę wyciągnął... Nie pora była do rozmowy ; dyplomata tylko zdała wydobywszy z za kamizelki papier w kształcie listu złożony, ukazał go królowi, dając znać, że ma mu coś do powiedzenia. Gra wszakże trwała dosyć długo, a gdy oznajmiono wieczerzę, której król nie jadał, rezydent zbliżył się do niego.

— Miałeś mi pan coś do powiedzenia? — spytał Stanisław August.

— Tak jest, naj. panie, ale to rzecz natury nie» naglącej.... prywatna, choć może nie bez pewnej wagi..

— Mamy pójść do mojego gabinetu?

— A! nie, o politykę nie idzie, nie obawiam się, by nas podsłuchano. WKMość miałeś czy masz we dworze człowieka, który się zowie Tomasz Price i jest Anglikiem?

Król bardzo uderzony podniósł oczy.

— Tak — rzekł — sprzedał mi zbiór kameów; a że jest wcale uczonym starożytnikiem medalografem, użyłem go... do porządkowania mojego gabinetu...

— A! — uśmiechnął się rezydent — to wybór szczęśliwy! Z wielkim smutkiem ostrzedz muszę WKMość, iż to jest oszust najgorszego ro dzaju, rodem z Hamburga, zowiący się w istocie Mueller, który długi czas mieszkał w Anglii, okradł, zbiór Lorda Spencer, przy którym był konserwatorem, co dopiero po jego wyjeździe niby dla zakupna do Włoch dostrzeżono. Ścigają go listy gończe.

Król pobladł, westchnął, złamał ręce... spuścił głowę.

— A, kochany panie, nie uwierzysz — zawołał — jak w porę mi z tą wiadomością przybywasz! Czy mówiłeś już o tem komu..

— Żywej duszy...

— Może potrafimy go schwycić jeszcze i odda w ręce sprawiedliwości! Wystaw sobie, że i u mnie

na przeszło tysiąc dukatów jest szkody w zbiorach, a winę ha szlachetnego, niewinnego, jak się zdaje rzucono młodzieńca... którego uwięzić kazałem.. Lękam się, by ów Price, obawiając się odkrycia prawdy, nie uszedł..

Szczęściem ujrzał król jenerała Byszewskiego nieopodal, skinął nań i coś mu szepnął na ucho, poczem twarz pańska się wypogodziła W kilka minut jenerał znikł z pokojów. Król pożegnał swych gości wcześnie i wyszedł do gabinetu.. Wezwano doń ks. Albertrandego, który na prędce się stawił. Zobaczywszy go w progu, Poniatowski zerwał się z krzesła i podał mu papier do przeczytania.

— Na, masz, czytaj i sądź.

W miarę, jak ks. Albertrandi podane pismo decyfrował przy świecy, zdumienie malowało się na jego twarzy.. Wypadło mu wreszcie z rąk, które załamał.

— N. panie! to jego sprawa! dzięki Bogu, chłopak mój niewinny...

— Czekaj, milcz... jutro wyjaśni się wszystko... podziękujemy Bogu... Mniejsza o stratę.... choć zaprawdę — westchnął — drugiego w zlocie smoleńskiego medalu mieć nie będę! Poczciwe chłopię ocalone... honor narodu... Ja zawsze miałem wstręt jakiś do tego człowieka. czułem w nim awanturnika...

Ks. Albertrandi się uśmiechnął; nie chciał przeczyć królowi JMości, ale na prawdę Poniatowski tego wstrętu nigdy nie okazał., urodził się on dopiero przed godziną.

U hrabiny Estelii tegoż wieczora gra była nadzwyczaj ożywiona; kilka pań nawet zawzięcie stawiało złoto, nie obawiając się niem powalać pięknych paluszków; pan Podskarbic bank trzymał. Uśmiechały mu się twarzyczki grających kilku bogiń, zmarszczonym uśmiechem odpowiadał na ich wdzięczenie, ale tak jakoś nieszczęśliwie wypadało, iż wszystkie przegrywały. Jednym z najzawiętszych graczów był siedzący przy stole Anglik, p. Tomsz Price, który sobie teraz dawał tytuł Daktyliothekarza JKMości.. Szczęście wszakże nawet na ten szumnobrzmiący tytuł jego niemiano względu, przegrywał bowiem okrutnie, a im więcej chłonął bank, tern zawzięciej stawki podwajał... Podskarbic i dla niego miał wdzięczne uśmiechy, mało wszakże pocieszyć go zdolne. Zachmurzony wstał kilkakroć od stołu, przeszedł się po pokoju, namyślił nieco, szukał po kieszeniach, i na garść zebrawszy kilkanaście sztuk złota, dobytego z kamizelki i rozmaitych kryjówek sukni, miał stawiać na nowo, gdy w progu ukazał się niespodziany, nie bywały tu gość, jenerał Byszewski.. Gospodyni przyjęła go tern uprzejmiej, im mniej był poufale znajomym, ale zaraz w przywitaniu kilka słów cichych, wyrzeczonych przez niego, niezmiernie ją zmieszało. Jenerał siadł na chwilę przy niej, nie spuszczając z oka Anglika., a gdy gra miała się zaczynać na nowo, przystąpił do stołu... Właśnie Price, ważąc pieniądze na ręku, miał je już rzucić, gdy ukośnem spojrzeniem ujrzawszy portugały złote... Byszewski zbliżył się do AngUka..

— Za pozwoleniem — rzekł — gra nie ociecze., mam kilka pilnych słów do pomówienia z panem... Price jeszcze jakoś nic się nie domyślając, podniósł głowę... Jenerał wziął go pod rękę...

— Chodźmy do przedpokoju.

Wyszli, drzwi się zamknęły.. Gospodyni blada i pomieszana siedziała na kanapie; Podskarbic czekał z ciągnieniem na Anglika.

— Cóż tam ten jenerał miał tak pilnego? — odezwał się — ażeby aż grę przerywać! Anglik mi zaświecił całą garścią portugałów, jak z pod stępia, muszę się zatrzymać.

— Ciągnij waćpan — sucho i kwaśno przerwała gospodyni. — Anglik podobo nie wróci.

Podskarbic zdumiony obrócił się:

— Jakto? a cóż mu się stało?

— Jenerał przybył go aresztować i powiózł bodaj czy nie do więzienia — półgłosem wyjęknęła gospodyni.

Ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk zdumienia.

— Jakaś polityczna awantura...

— Nie wiem — rzekła hr. Estella —to pewna, rzecz wielkiej wagi...

— A zatem tysiąca dutatów, które od niego wziąłem już nie odegra — rzekł uśmiechając się Podskarbic.— co mnie nie martwi....

W istocie Anglik nie wrócił. W przedpokoju była już straż, która go nie spuszczając z oka, wyprowadziła do oczekującego powozu. Price wychodząc obejrzał się i sądził, że wśród ciemnej nocy łatwo wyrwawszy się niespodzianie ujść potrafi,

lecz oficer w porę pochwycił go za kołnierz, i kilku mocnemi argumentami zniewolono go zająć przeznaczone miejsce. Napróżno odwoływał się do raw międzynarodowych, jako obywatel wolnego narodu, grożąc zemstą W. Brytanii. Jenerał Byszewski z uśmiechem odpowiedział mu na to:

— Panie Mueller, siedź spokojnie, bo ci każę włożyć bransoletki...

Posłyszawszy to nazwisko, więzień spuścił głowę, zamilkł, i na twarzy jego odmalował się wyraz zwątpienia. Opuściła go cała buta i śmiałość, z którą się jeszcze odgrażał przed chwilą. Powóz ruszył z więźniem, a jenerał Byszewski pojechał dać znać do zamku, iż Price został ujęty. Natychmiast przystąpiono do obejrzenia jego osoby, i znaleziono przy nim po kieszeniach znaczną część złotych medalów królewskich. W mieszkaniu delegat sądowy ciekawsze jeszcze odkrył zbiory starożytności już popakowane, jakby zacny miłośnik nauki i medalografii sposobił się już do wyjazdu. Były tam i medale ze zbioru króla, i reszty kollekcyi Lorda Spencera i nieświadomego pochodzenia różne zabytki zdobyte w podróżach z królewskiego Gazophyllacium (skarbca). Znać miły ten gość nie spodziewał się wcale, aby go zaniepokojono obwarowawszy się zręcznie na czas jakiś podrzuconymi papierami i kilku sztukami w mieszkaniu Janka Leliwy. Rachował na to, że go nawet nikt nie będzie śmiał posądzić.

Leliwę po aresztowaniu osadzono w małej izdebce na odwachu zamkowym. Była ona przezna-

czona na więzienie oficerskie, a w nadzwyczajnych wypadkach służyła dla znakomitych więźniów, gdy szło, o to, ażeby ich miano na oku, ani się wymknąć ani z nikim widywać nie mogli. Odmalować, co się stało z nim, gdy się dowiedział, o co był obwiniony, 'tem trudniej, że to nie był gniew ani rozpacz, ale rodzaj obrażoniej dumy milczącej, zaczerpniętej z uczucia niewinności. Już postawa jego powinna była naprowadzić na to przekonanie, iż występnym być nie może... Milczał tak chmurny, z zaciętemi usty, z podniesionem czołem, nie chcąc się nawet ani tłumaczyć, ani uniewinniać. Ruszał ramionami, gdy go indagowano, odpowiadał zaledwie półsłowy. Cierpiał okrutnie ale się hamował. Ci nawet, co najmocniej przekonani byli, iż występnym być rnusiał, dziwili się mocy charakteru, który ugiąć się nie dał.. Tak dni kilka spędził pod strażą najściślejszą, nie okazując niecierpliwości, nie prosząc i nie domagając się o nic. Jedzenie odsyłał, ograniczając się chlebem i wodą byle życie utrzymać.

— Wygląda na męczennika, nie na winowajcę! — szeptali oficerowie. Kilku z nich, chcieli się doń zbliżyć, ale się w żadną z nikim nie wdał rozmowę. Zasunięty w najciemniejszy kąt izdebki, całe dnie siedział nieporuszony i milczący.

Gdy wieczorem pochwycono Price, a przekonano się o niewinności Leliwy, król natychmiast i po kilkakroć ponawiając wydał rozkaz, aby i chwili nadaremnie niewinny nie cierpiał, i żeby go nazajutrz rano uwolnionego przyprowadzono do niej

go. Czuł on i ks. Albertrandi, że tę fatalną omyłkę należało wynagrodzić jak najgłośniejszem uznaniem niewinności Leliwy;.. Rano było i ledwie poczynało świtać, gdy ks. kustosz z rozkazem króla wszedł na odwach, słowo szepnął oficerowi i pospieszył do więźnia izdebki. Chłopak nierozebrany, oparty na łokciu drzemał ze znużenia; otworzył oczy powoli, i przychodząc do przytomności powstał.

— Mój drogi panie Janie — zawołał ksiądz ręce obie wyciągając ku niemu, aby go uścisnąć — przychodzę z sercem radości zwiastować ci nowinę szczęśliwą. Twoja niewinność Bożą prawdziwie mocą i cudem odkryta została, wychodzisz czysty i niepokalany... Jesteś wolny. Król rozkazał mi, bym, jak tylko wstanie, przyprowadził cię do niego...

Ks. prałat spodziewał się wybuchu radości, ale twarz Leliwy nie zmieniła się prawie, błysk i drgnienie przeleciały po niej tylko, brew się ściągnęła. Stał milczący.

— Chodź dziecko moje, wyjdźmy stąd; spocznij orzeźwij się ... — dodał Albertrandi...

Lei iwa narzucił swój płaszcz na ramiona, i nie mówiąc słowa, udał się za księdzem... Znać było, że zbyt głęboko dotknięty posądzeniem, jeszcze przebaczyć go nie mógł.

— Przyznasz, mój panie Janie — mówił kustosz — iż okoliczności względem ciebie więcej niż my zawiniły. Stała się krzywda, ale nieuniknioną... Bądź pewien że król , który to czuje, sowicie ci ją wynagrodzić się będzie starał.

Chłopak skłonił się zimno i krokiem powolnym, rozstawszy się ze swym przewodnikiem, udał się do mieszkania dawnego... Stało ono tak, jak je porzucił, ale sprofanowane poszukiwaniem, którego samo wsponienie go oburzało. Niepodlewane kwiatki, poschły na oknie, rzeczy w nieładzie walały się po pokoju. Leliwa chwilę stał zamyślony, spoglądając na izdebkę, w której przeżył, przedumał tyle godzin szczęśliwych. Nie chciał ani na chwilę odpocząć już pod tym dachem; natychmiast zrzuciwszy z siebie liberyę dworską, zaczął ubogie swe rzeczy i książki pakować. Wykonywał to z jakąś zawziętością i pospiechem gorączkowym, chwytał, wiązał, uprzątał, jakby jednej godziny dłużej tu nie miał pozostać...

Król wstawał dosyć rano; jak się tylko ubrał, posłano po Leliwę. Paź, dawny towarzysz, który po niego przyszedł, zmieszany jakoś, zastał go pakującego rzeczy ostatek.

— Niepotrzebnieś to zrobił — rzekł — wszakże zostaniesz z nami.

— Nie!— krótko odparł Jan — nie, bo nie chcę... Pali mnie tu, jakbym po ogniu stąpał, dusi powietrze, którem oddycham, mam dość dworu, łaski i służby...

- Czekaj! czekaj! słowo królewskie zmieni to postanowienie.

Leliwa potrząsł głową... Stali u drzwi gabinetu, z którego Ryx wychodził; wpuszczono Janka. Król wyciągnął doń rękę.

— Niewypowiedzianie mnie boli, coś niewinnie przecierpiał— rzekł. — Niewinniśmy! byliśmy w

fatalnym błędzie. W obec całego dworu uroczystem słowem mem oczyszczę cię; proś, o co chesz, czuję ci się dłużnym.

— N. panie — odezwał się Janek — o nic nie proszę, tylko o uwolnienie; a WKMość raczysz też w oczach tych,o których dobre mniemanie mi idzie więcej niż o życie, oczyścić mnie z ohydnej plamy..

— Tak, przyjeżdżała tu pisarzowa prosić za waćpanem, dziś jeszcze ja pojadę do niej, powiem jej. Ze służby nie potrzebujesz się uwalniać, ja ci ręczę, że tego nie będziesz żałował.

Leliwa się skłonił.

— Wdzięczny jestem za łaskę WKMości — rzekł — lecz postanowienie moje niezmienne. Miałem czas przez tych kilka dni Zastanowić się nad sobą; nie jestem stworzony do dworu.

— Czuć jeszcze w wyrazach tych gorycz, jaką cię napoił ten wypadek, ale nigdy jawniej, dowodniej niewinność nie wyszła w tryumfie... Leliwa zamilczał; pukano do drzwi, skłonił się i wyszedł. W korytarzach otoczyli go towarzysze znajomi, winszując i ubolewając i ciesząc się. Podziękował sucho., wszyscy zrozumieli, iż krzywdy nie przebaczył, że tkwiło w nim jej uczucie jeszcze tak żywe, tak gorące, iż się lękał ust otworzyć, aby się z niem zbyt wyraźnie nie objawić...

Z postawy Leliwy wyczytał to król także i zabolał nad tern; nie stracił godziny, spełniając co przyrzekł. Kazał mu być na pokojach najżyczliwszych, oddał sprawiedliwość pokrzywdzonemu. Kareta stała gotowa, Leliwie kazano towarzyszyć jej konno do pani pisarzowej.

Tu o niczem nie wiedziano jeszcze, dom cały był w strapieniu wielkiem, bo Ewunia coraz gorzej się miała. Zebrani doktorowie bardzo byli o nią niespokojni, matka jedna i siostry domyślały się przyczyny tego nagłego wstrząśnienia i choroby... Wielkie było podziwienie pani pisarzowej, gdy się ukazał, wiodąc za sobą Leliwę. W kilku słowach zrehabilitował młodzieńca, który stał zarumieniony z należnem poszanowaniem w progu. W tejże chwili Ludwika, która była przytomna przyjęciu, pobiegła do łoża siostry szczęśliwą jej oznajmić nowinę.

Można sobie wystawić jak wielka radość była i jak podziałała na chore dziewczę, kiedy ku wieczorowi już tego dnia lekarze znaleźli polepszenie. Pisarzowa zapomniawszy ostrożności, chciała posłać do zamku i zaprosić pod jakim pozorem Leliwę do siebie, lecz biedny chłopak zaledwie wrócił z królem do zamku, zabrał co miał i natychmiast dwór i służbę opuścił... “

Ks. kustosz niezmiernie go żałował:

— Harda dusza, harda dusza — dziwować się nie ma co, krew to szlachecka, która choć urazę przebaczy... zapomnieć jej nie umie. Ani mu się dziwować godzi, iż dwór opuścił, daj Boże tylko, by się nie zmarnował i nie przepadł.

Gdyby był Janek pragnął, mógłby zostać na dni kilka przynajmniej prawdziwym bohaterem, tak cała Warszawa zajmowała się jego przygodą, którą umyślnie, dla zupełnego oczyszczenia chłopca niewinnie posądzono, ogłosił w gazecie swej ks.

Łuskina, opisując zarazem historyę Tomasza Price alias Jana Muelera... który teraz wybierał się do rodzinnego Hamburga w niemiłem towarzystwie policyjnych strażników.

Szukano oczyma Jana wśród królewskiego dworu i dowiedziano się z podziwienieim, iż natychmiast podziękowawszy za służbę, zamek opuścił. Między innemi doszła o tern wiadomość i do pana Podskarbica, który się głęboko nad nią zadumał. Uwolnienie Janka nowym go nabawiało niepokojem; posłał na zwiady zaraz, dokąd się udał, i jakie miał zamiary nadal. Dowiedzenie się wszakże nie tak było łatwem, jak się zrazu zdawało. Wprawdzie wyniósł się z zamku, lecz dokąd, nie spowiadał się nikomu. W mieście nikt go nie widział, domyślano się, że mógł wyjechać, a' Podskarbic zaczynał go posądzać, iż mógł się udać do Krakowa. Cóż, gdyby powziął myśl jechać z podziękowaniem do ex-wojewodziny?

Zaniepokojony mocno Podskarbic kazał szukać kulawego Brzeskiego, nie wiedzieć w jakich zamiarach. O tym wiedział z pewnością, że się znajdował w Warszawie, a nie wątpił, że o schronieniu Janka i jego projektach wiedzieć rnusiał.

Nieszczęśliwemu kuternodze trudniej się było ukryć ze swoim kalectwem, niż komu innemu; wynaleziono go wkrótce w jakimś dworku za Nowym-Swiatem. Posłannik Podskarbica znalazł jego i żonę pakujących się do podróży. Na zaproszenie Brzeski ramionami ruszył, coś odmruknął niewyraźnego, ale w końcu dodał:

— No, to przyjdę.

Zjawił się nazajutrz kwaśny i posępny. Podskarbic, który noc spędził niespokojną, kazał zaraz drzwi pozamykać, wciągnął go do najdalszego gabinetu.

— Słuchaj Brzeski — rzeki — gadajmy po ludzku... Jesteś na mnie zły, a to jabym na ciebie się wściekać powinien. Jednakże widzisz, przebaczam ci...

— Ale zapewe! — przerwał kuternoga — a ja panu przebaczam, boś nie wciągnął w to... że ja całe życie pokutować muszę...

— Boś głupi — odparł Podskarbic — cóżeś takiego zrobił?

— A łzy tej kobiety?

— Dajno pokój, to są romanse — zawołał Podskarbic — mówmy o tern, co jest.

Dumny pan zbliżył się do sługi.

—- Co on myśli czynić z sobą?

— Któż to on? — rzekł Brzeski.

— Nie nudź mnie i nie doprowadzaj do niecierpliwości, gdyż aż nadto rozumiesz. No, on, ty przecie wiesz o nim.

— Ja tam nic nie wiem — bąknął kuternoga.

— Czuję się w obowiązku pewnej restytucyi, a radbym żeby sobie gdzie stąd daleko ruszył. Rozumiesz... Niech się wybierze... do... do... no! dokąd chce, byle daleko; dam mu pomoc... mogę mu coś ofiarować.

— Ani tego on nie przyjmie, ani ja mu będę śmiał to proponować..

— No, cóż z sobą zrobi?

— Albo to ja gp prowadzę.. Zrobi, co zechce...

— Przyślij go do mnie...

Brzeski potrząsł głową.

— Nie pójdzie, i ja go nie poślę.

— Patrzże tylko stary ty bigocie — zawołał zniecierpliwiony Podskarbic — że ty przez źle zro=zamianą o niego troskliwość gubisz go. Przecież go nie zjem. Dałbym mu do kaduka jakie tysiąc czerwonych złotych, żeby się z kraju wyniósł. Hm? Dwór saski zawsze jeszcze pamięta straconą Polskę... Pełno tam naszych, znalazłby protekcyę, przyjęłoby go do wojska..

— Tak! śliczna planta? — rozśmiał się Brzeski — ale do czego jemu to wojsko? Gadajmy otwarcie, kiedy już o tern pan mówić każę. On młody, pan stary., są świadki i dowody, co się stało, póki pan żyjesz, milczymy...a potem... on swe prawa odzyszcze..

Podskarbic aż się rzucił.

— Niedoczekanie wasze! Ja żyć będę, tyś starszy odemnie, a gdy ciebie nie stanie, jak dowiodą? jak?

— To moja rzecz — spokojnie dodał Brzeski. — Jam starszy, ale pan żyłeś nie szczędząc życia, a ja sobie pomaleńku... Toć zobaczymy, co Bóg da. Zimna krew kuternogi do wściekłości niema! przyprowadziła Podskarbica.

— A no, to zobaczymy — rzekł szydersko. — Ja się też będę starał obronić, dziękuję za przestrogę.

— Nie ma za co — szepnął Brzeski, pokłonił się i wyszedł.

Euwunia szybko przychodziła do zdrowia, a pani pisarzowa chodząc codzień do kościoła dziękować Bogu za cud okazany, gdyż łekarze już byli o życiu jej zwątpili, zarazem smuciła się tą myślą, że jednak czemu innemu przypisać nie było podobna jej uzdrowienia, tylko o uwolnieniu i uspra= wiedliwieniu Leliwy. Skutek tej wiadomości był widoczny, dotykalrty; dziewczynka uśmiechnęła się, wstała tegoż dnia i powróciła do życia... Dwie starsze siostry szeptały między sobą o tern uśmiechając się, matka nie śmiała nawet myśleć. Dręczyło ją to, że dziecię przywiązało się właśnie do chłopaka ubogiego, bez rodziny, który nie mógł nigdy być mężem kuzynki J. K. Mości. Kilka dni tak upłynęło, zdrowie całkiem prawie powróciło, ale smutek pozostał. Niczem jej rozweselić, rozerwać nie było można. Macierzyńskie serce myślało, jakby dziecię choćby raz jeszcze rozweselić, orzeźwić, i powiedziała sobie, że jeden raz, tylko raz jeden bytność Leliwy wpłynąć na przyszłość nie mogła. Sam Jan był tak skromny, nieśmiały i małomówny, iż zbytku zuchwalstwa z jego strony wcale się obawiać nie było można. Wreszcie sama nawet grzeczność wymagała, zaprosić go, pocieszyć, dodać mu otuchy, okazać, że ten wypadek nie zepsuł mu opinii u ludzi. Posłała więc pani pisarzowa swego vice-marszałka dworu, do zamku, aby Leliwy poszukał, bo choć mówiono o oddaleniu się jego, ona temu wierzyć nie chciała. Przyniesiono wiadomość, iż Jana Leliwy od dawna już na dworze nie było.Posłany ani się mógł też dowiedzieć nawet, co się z nim stało. Ewunia już

wiedziała o zaproszeniu, nie wiedziano teraz, jak jej oznajmić, że go jeszcze szukać trzeba i że nie wiedzą, gdzie go szukać. Pytano osób kilku, mających z dworem stosunki, nikt nie umiał powiedzieć o tern. Po długich badaniach i śledzeniach doszli wreszcie, iż Janek z zamku udał się do starego szlachcica, który czasem u niego bywał, a znaczny był tern, że na nogę nakuliwał... Szlachcic ten mieszkał we dworku, z którego się wyniósł, ale dokąd? nie wiedziano. Utrzymywali jedni, że wyjechał, drudzy, że tylko zmienił mieszkanie, a widocznem było, iż życzył sobie, żeby ślad jego stracono.

W owych czasach policyi w mieście urzędowej nie było. Miał osobną król dla siebie, utrzymywała oddzielną ambasada rosyjska, a urząd jej nie mieszał się tak dalece do mieszkańców stolicy, i chwytał dopiero ludzi, gdy się występku dopuścili. Przyjeżdżał, kto chciał, mieszkał gdzie mu się podobało, brał nazwisko, z jakiem mu było dogodniej, nikt się tak bardzo o to nie troszczył. Wynaleźć więc kogoć w stolicy było nader trudno. Ale służyli w takich wypadkach ochotnicy, po większej części żydkowie, którym tajemnice Warszawy były najlepiej znane. Polecano tego rodzaju interesa faktorowi, który z pomocą swych towarzyszów, najgłębiej ukrytą figurę wytropić umiał. Pełnomocnik też pani pisarzowej zrozpaczywszy, ażeby sam sobie mógł dać radę, a szlachcic był otyły i ciężki i chodzić nie bardzo lubił, szczególniej w czas gorący, kazał zawołać sławnego Mordka Feinberga i powiedział mu, o co chodziło. Mordka, o którym jeden z dygnitarzy koronnych zwykł był mawiać, że się nie

Mordkiem spieszczonym, ale całą mordą powinien był nazywać, był człowiek niesłychanego sprytu, węchu i domyślności. Wygrzebałby był tajemnicę z podziemi... byle ona w niej razem z dukatami była zagrzebana. Mordka podjął się otrzymawszy informacyę wyszukać szlachcica i ex-pazia, jeśli tylko na świecie jeszcze byli. Trzeciego dnia przyszedł oznajmić marszałkowi, że szlachcic Brzeski kulawy na nogę, ze dworku, który zajmował, wyjechał niby za miasto, wrócił drugiemi rogatkami i zamieszkał przy ulicy Długiej, nająwszy mieszkanie obszerniejsze, w którem dwa najlepsze pokoje zajął młody człowiek, prawdopodobnie ex=paź królewski. Żyli bardzo ustronnie, nie przyjmowali nikogo, a młodzieniec codzień z rana wychodził do biblioteki Załuskich na Daniłowiczowską ulicę i tam aż do jej zamknięcia przesiadywał. Pisarzowa nakreśliła na kartce zaproszenie na obiad, marszałek sam je wziął i udał się w miejsce wskazane...

Biblioteka Załuskich była jeszcze nieuporządkowana, w obszernem jej dziedzińcu w murach świeciły już wmurowane półpiersia królów, ale i sam dziedziniec i sale dopiero się urządzały. Próżnych pak pełno było w podwórzu, a nierozbi" tych w sieniach i po schodach. Na dole tylko urządzono rodzaj czytelni, w której najczęściej były pustki, dwóch lub trzech kleryków, jeden lub dwóch cudzoziemców. Cisza głęboka otaczała tę świątynię jeszcze nie konsekrowaną, która nigdy doczekać nie miała, by stała się,czem ją chciałmieć założyciel... Każdy wchodzący gość zwracał uwagę,

bo był nadzwyczajną rzadkością, a ks. Jarocki schodził co rychlej witać go i oprowadzać po swym skarbcu. To też gdy się marszałek dworu pani pisarzowej pokazał, naprzód go pochwycił bibliotekarz i ledwie mógł uwierzyć, ażeby tu nie kruków białych ale jasnowłosego szukał młodzieńca. Ten znany z widzenia marszałkowi siedział w kąciku nad jakimś foliantem, który go całego zakrywał, i tak był zaczytany, że gdy mu spadł figlarnie rzucony przed nos bilet p. pisarzowej, przestraszył się go jak pioruna. Podniósł dopiero oczy i spotkał uśmiechniętą fizys poczciwego marszałka, który „propter majestatem loci” cićhutenieczko mu szepnął, iż przyszedł na obiad go prosić.

— A jakże mnie pan tu potrafiłeś znaleźć?

— Hm., to moja rzecz... szanowny panie Janie — est modus in rebus... est modus... nie łatwo to przyszło, ale dość, żem asindzieja wyszpiegował i zabieram.

— A! nie — rzekł rozweselony nieco Jan — muszę się pójść ogarnąć, bo tu siedzę incognito... W istocie miał na sobie szary kubraczek bardzo skromny... a w tej odzieży prezentować się było trudno.

— Zgoda - zawołał marszałek - ale słowo szlacheckie, że się asindziej stawisz.

— Słowo!

Porzucić więc rnusiał kronikę Leliwa załoyżywszy ją sobie arkuszem papieru i poszedł się przebrać...

Na godzinę oznaczoną dotrzymał verbum nobile, stawił się do pani pisarzowej.

Nie było tego dnia nikogo, oprócz niej, trzech córek, bo i Ewunię do stołu przyprowadzono i tryumfującego marszałka, wreszcie i ubogą starą kuzynkę. W myśli pani pisarzowej był to obiad pożegnalny dla biednego chłopaka... który już więcej progu tego domu przestąpić nie miał. Przyjmowano go jednak bardzo uprzejmie i mile. Pisarzowa, osoba wielce poważna i dobrego serca, zaczęła go wypytywać, co z sobą teraz myśli zrobić i jaki stan obierze.

— Tego jeszcze prawdziwie nie wiem — odezwał się Leliwa — chociaż mnie zamłodu głupim Jankiem nazywano, czuję w sobie powołanie, a raczej niepomierne nauki pragnienie.. Chciałbym się jej oddać. Lecz u nas nie jest to stan... trzeba przywdziać sukienkę duchowną, żeby mieć prawo i czas być uczonym.

— A ¡'więc myślisz pan o stanie duchownym? — pochwyciła prawie uradowana pisarzowa. W tej chwili wyraziste oczy Ewuni padły z wyrazem dziwnej trwogi i zapytania na Jana, i zmieszał się biedaczysko.

— Nie pani, jeszcze w tej mierze.nic nie postanowiłem, waham się. Majątku nie mam, więc gospodarzem nie będę, wojskowym podobno za późno mi chcieć zostać, bo widzę po moich towarzyszach z korpusu, że i do tego stanu osobnej nauki trzeba., o miejsce w kancelaryi wystarać mi się trudno ...czekać więc będę jakiejś wskazówki opatrzności, a tym czasem się uczyć.

— Wszystko to, coś pan powiedział, bardzo pochwalam — odezwała się pisarzowa — lecz dla

czegożbyś nam nie pozwolił okazać ci naszego serca i wdzięczności użyciem wpływów, jakie tu mamy, aby ci wyrobić jakieś miejsce? Wielu mniej zdolnych wciskają się za protekcyą; król waćpanu chętnie poda rękę.

— Pani pisarzowa dobrodziejka daruje mi — rzekł Leliwa — może to grzech, ale ja, prosić nie potrafię. Człowiek powinien pracować i o własnych siłach dobijać się stanowiska...

Pisarzowa zamilkła.

— Niemasz że pan krewnych? — zapytała po chwili.

— Nikogo! — i spuścił głowę.

— Ani osób bliższych, co by się losem jego zająć chciały?

— Nikogo, pani! A, mylę się — dodał rumieniąc się, byłbym niewdzięcznym, gdybym zapomniał to, żem sercu jednej dobrej pani, której obraz nigdy z mej pamięci nie wyjdzie, winien wszystko. Byłem bardzo młody i bardzo biedny, gdy ta święta pani, dla tego tylko, że jej twarz moja przypominała rysami tych, których kochała, obdarzyła! mnie i przyczyniła się do wychowania mojego.

Tu Janek zamilkł...

—A jakże imię tej dobrej pani? — przerwała cichym głosem Ewunia.

Janek wymówił imię z poszanowaniem i łza mu się zakręciła w oku. Chciwem uchem pochwyciła je pisarzowa i uderzyła w ręce.

— O mój Boże, — krzyknęła — to moja dobra przyjaciółka; to anioł dobroci... to czcigodna ex-wojewodzina, nieszczęście tylko, że takiego do-

stała męża. Ale to waćpan chyba nie wiesz, że ona tu od trzech dni gości, że przybyła radzić się doktorów, którzy ją do Karlsbadu wyprawiają.

Janek aż się z siedzenia porwał.

— O! mój Boże, toćbym nie wiedząc zaniedbał był pójść i kolana jej uścisnąć! Jakież to dobrodziejstwo wyświadczyłaś mi pani, że się z jej ust o tern dowiaduję. Ale gdzież ja znajdę?

— Najprzód, jutro u mnie — przerwała pisarzowa — bom ją prosiła na obiad, a kiedy tak rzeczy stoją, to i waćpan tu być musisz... potem znajdziesz ją waćpan o trzy domy stąd, w najętem mieszkaniu, gdzie sklep angielski na dole; ale proszę waćpana, nie idź wprzódy, niech ma tę milą niespodziankę tu, u mnie...

Na samą myśl tego spotkania radowała się dusza Jankowi, twarz mu pojaśniała, rozpromienił, zmienił się, ożywił. Ewuni też oczy zabłysły radścią, a gdy wstali od stołu, tak się jakoś zrządziło, że do jej krzesełka przy krosienkach chłopak mógł przystąpić. W nadziei, że te stosunki niedługo potrwają, pisarzowa była pobłażającą.

— Cóżeś to pan Jan, tam mówił u stołu? — odezwała się cicho pisarzówna ~ że chcesz księdzem zostać. Ale my przecie, pamiętasz pan? daliśmy sobie siwo, że będziemy bratem i siostrą całe życie i że żadne z nas bez pozwolenia drugiego nic postanowić o sobie nie ma prawa! O to piękne, żebyś pan mi się w tę smutną czarną sukienkę miał oblec... Jabym w takim razie musiała chyba mniszką zostać, nie, nie.

— A! panno pisarzówno, dobrodziejko, — rzekł Leliwa — pani masz do wyboru suknie, stan, los wszystko, ja biedny człowiek... muszę tam iść, gdzie mnie gna przeznaczenie...

— Ale tylko za mojem pozwoleniem — dodała smutnie uśmiechając się Ewunia — jeźli mnie już na tym świecie nie będzie, wówczas czyń pan sobie, co mu się podoba...

Łza zakręciła się w jej oczku. Tak dodała: nie zapomnę nigdy, żeś mi pan ocalił życie i że ja mam obowiązek czuwać nad pańskiem. Ja to biorę na seryo! bardzo... Dla czegóżbyś pan nie miał ufać w to, że ja... że ja tego obowiązku nie zdradzę, że mu będę wierną... siostrą... aż do śmierci.

Słowa te wypowiedziane tak cicho, że tylko ucho rozmiłowanego dosłyszeć je mogło. Jankowi w oku zakręciła się łza, schylił się niby po upadający kłębuszek nici, i wyciągniętą jej bladą, białą, chudziutką rączkę pocałował usty gorącemi. Jakim cudem nikt tego nie dostrzegł... to tylko Pan Bóg wiedzieć może, który czasem poczciwą miłość osłania i nią się opiekuje...

Wkrótce potem Lei iwa pożegnał pisarzowę, która mu przypomniała, aby jutro się stawił, i szczęliwszy niż był kiedykolwiek w życiu, uciekł ze skarbami swymi dó domu.

Z bijącem sercem, rozrzewniony, drżący zbliżał się Janek do mieszkania pani pisarzowej. Przed gankiem stała już kareta sześcokonna i kręciła się służba ex=wojewodzinej... Jan szedł, i strach go jakiś ogarniał, jakby ta chwila o jego

życiu i przyszłości stanowić miała... W progu ręka sama z nawyknienia pobożnego krzyż położyła na piersiach, i pomyślał mimowolnie, a raczej głos mu mówił wewnątrz: In hoc signo vinces. Otworzyły się drzwi. Leliwa wszedł powoli... W salonie wszyscy już byli zgromadzeni: pisarzowa, jej córki, kuzynka, a na kanapie siedziała blada i mizerna ex-wojewodzina z Łowczyna. Gdy Janka zobaczyła, oczy jej oderwać się od niego nie mogły; chłopak szedł do gospodyni, wedle obyczaju całując jej rękę. Wojewodzina patrzała nań, oddech wstrzymując długo, nareszcie porwała się z downo niebywałą żywością z kanapy i głosem silnym zapytała jakby nieprzytomna:

— Kto to jest? kto to jest?

Janek zwrócił się ku niej, podszedł i ukląkł przed nią.

— Pani — rzekł dobywając z za sukni na piersiach złożony łańcuch złoty — po tym znaku poznasz tego, któremu dałaś wychowanie i przyszłość. Ja jestem ten ubogi chłopak, którego spotkałaś pod Krakowem w ubogiej sermiężce, i nad którego głową twe błogosławieństwo zawisło... towarzysząc mu w dalszej drodze życia.

Ex=wojewodzina wyciągnęła ręce nie mogąc rzec słowa...

— Dziecko moje... odezwała się z płaczem — a! jakżem ja szczęśliwa, żeś mi w sobie przyniósł obraz mojej przeszłości! że cię jeszcze żywemi widzę oczyma! a! Boże wszechmocny, co za podobieństwo...

To mówiąc zakryła oczy i płakać zaczęła, lecz oschły te łzy wprędce, usta się uśmiechnęły.

— Siadajże tu, przy mnie — rzekła — pozwól, niech się na ciebie popatrzę; powiedz mi, co się z tobą działo? jakim sposobem znalazłeś się dziś tu, w tym domu?

Zbliżyła się pani pisarzowa, aby dopomódz opowiadaniu Leliwy. W kilku słowach on sam naprzód o młodości swej wspomniał, nie wymieniając brzeskiego, który go przestrzegł, ażeby o nim nie wspominał. Powiedział, że za protekcyą dostał się na dwór królewski... Pani pisarzowa opisała wypadek, któremu wienna była poznanie Leliwy, potem tę nieszczęsną historyę Price i medalów.

Ex-wojewodzina słuchała, wzdychając z niezwyczajnem zajęciem, ale pilniej jeszcze oczy jej każdy rys twarzy Janka śledziły i rozpatrywały. Nagle z^krzykiem podniosła się z kanapy i obejmując go rękami, z oczyma zapalonemi jakby obłąkaną radością, poczęła wołać: Znamię! znamię!

Dopiero w tej chwili bowiem dostrzegła pod uchem ten znak rodziny, o którym już Łowczyna przy pierwszem widzeniu wiedziała. Nierychło spostrzegła się, że to uniesienie mogło być dziwnie tłumaczone, i nagle zamilkła... Myśl jej błąkała się w najdziwniejszych przypuszczeniach... To znamię właśnie pamiętała na twarzyczce utraconego dziecięcia.

Lecz jakimżeby sposobem ono ocalone być miało? Cały szdreg przypuszczeń przesunął się po głowie kobiety nieszczęśliwej, której wzruzsenie słowa już mówić nie dało.

— A! moja najdroższa pisarzowo — rzekła nakoniec zdobywając się na słów kilka — jakiż ja dzień pamiętny życia mojego jestem ci winna EO droga siostro moja. Jakżem ci wdzięczną! Gdy komu Bóg szczęścia nie dał... jakże słodko choć cieniem jego i widmem się pocieszyć...

I zaledwie na mgnienie jedno odwróciwszy wzrok od Jana wracała doń oczyma chciwemi... a drżąca jej ręka wyciągnęła się bezmyślne., mimowoli, by pogłaskać jego złote włosy.. Ewunia siedząc z bólem patrzała na tę scenę, tak prawie poruszona, jak exwojewodzina...

— Ale któży byli twoi rodzice... poczęła pytać natarczywie wojewodzina...

Janek wiedział, że nie wszystko mówić powinien, bo go Brzeski o to zaklął, gdy z nim się naradzał; nie chciał wszakże kłamać.

— Rodziców nie znałem — odezwał się. —Zostałem sierotą mając lat niespełna cztery.

— W tym wieku, gdy ja mego Jasia straciłam — zawołała pani. — Mój Boże w głowie i się zawraca?

— A nie pamiętaszże nic, nic, z pierwszych dni twojego dzieciństwa?...

— Prawie nic—rzekł Janek — bo później oddano mnie do chaty wieśniaczej, gdzie się wychowałem po śmierci rodziców. Z lepszego bytu, z pierwszych lat, pozostało mi tylko jedno prawdziwie dziecinę... wsponienie, którego się wstydzę. Ja, co ani oblicza matkci, ani twarzy ojca przypomnieć sobie nie mogę, pomnę czerwoną ze zotymi galonami sukienkę, z której gdy mnie... rozbierano...

Ex-wojewodzina krzyknęła straszliwie, podniosła się i rzuciła na piersi Janka.

—Mój syn! moje dziecko.. Cud Boga żywego! To on! on żyje...

Wszyscy jak piorunem rażeni, osłupieli, umilkli... Janek nie wiedział co się z nim dzieje.

— Patrzcie... Łowczy no moja... to znamię mojego Jasia... to rysy wojewody... i on pamięta czerwoną sukienkę... którą tak lubił. Ale jakaż tkwi w tern tajemica? któż mógł... Byćże to może... nie... to sen chyba, od którego oszaleć można

— Kochana pani moja — przerwała pisarzowa — na miłość Boga, uspokójcie się. Jest w tern tajemnica jakaś, która bądź co bądź do czasu przynajmniej zostać powinna dla wszystkich tajemnicą..

To mówiąc, surowem okiem powiodła pani pisarzowa po przytomnych.

— O tern co tu zaszło, ani słowo jedno po za ściany tego domu, tej sali wyjść nie powinno...

— A tak! tak... któż wie — przerwała ex=woje=wodzina — mogłoby jeszcze mu coś zagrażać. Gubię się w domysłach... Zli ludzie, co mnie uczynili nieszczęśliwą, mogliby jeszcze, chcąc zatrzeć ślady swego występku, czyhać na dziecię moje...

Zwróciła się do Janka, który stał osłupiały i poruszony.

— A, ty jesteś mojem dzieckiem, nic, żadna siła w świecie odebrać mi ciebie nie może. Serce przeczuło nim wiedziało.. Tyś mi zmartwychwstał., aby ostatek dni moich złocić, dziecko moje, dziecko moje!

Łzy szczęścia, któremi płakała biedna matka, były tak zaraźliwe, iż wszyscy z nią razem się rozpłakali, wszyscy szli ściskać rękę Leliwy... i czuli się z tego błogosławieństwa Bożego tak szczęśliwi, jak ex=wojewodzina. Można sobie wystawić zdziwienie sług, gdy przy stole ujrzeli te wszystkie twarze tak zmienione i zaczerwienione od płaczu oczy, a tak jasne i wesołe razem. Stary marszałek dworu nieustannie to na Janka patrzał, to na ex-wojwodzinę, to na swoją panią, to na pannę Ewę która promieniała w blasku szczęścia. Rozmowa obojętna nie kleiła się, jeść nikt nie chciał, nie wiedziano co mówić... obiad wydał się nieskończenie długim.

Ledwie go dokończono ex-wojewodzina prosiła o pozwolenie, żeby do siebie odjechać mogła zabierając z sobą Janka, którego na chwilę puścić od swego boku nie chciała... Pisarzowa przystała na wszystko, ale wzięła na bok dawną przyjaciółkę, by z nią kilka słów pomówić.

-- Droga moja — szepnęła jej — zaklinam cię bądź nadzwyczaj oględną w postępowaniu... Nie ma wątpliwości, że cud szczególny łaski Bożej wykrył niegodziwy występek, w którym Podskarbic mieć mógł jakiś udział. Rodzina jego jest znaczącą, ma ona stosunki rozległe, zechce ratować sławę jego i może się dopuścić... nawet gwałtu... Dla własnego twojego i dla bezpieczeństwa dziecięcia bądź rozważną... ja, jeśli chcesz, pojadę do króla, możemy tajemnicę powierzyć jemu i rady zasięgnąć.

Nie lękaj się — cicho odpowiedziała płacząc ex=wojwodzina — jam gotowa pokryć wszystko i wszystko przebaczyć... byle jego ocalić.. Nie mów nic królowi; Bóg, co uratował go, dozwoli mi go wyprowadzić z tych ciemności] i zabezpieczyć od zamachów...

Pan Podskarbic od pierwszego dnia po przybyciu żony do Warszawy, stawił się zaraz u niej z rewerencyą, zotał przyjęty jak każdy inny gość, i od tego czau miał sobie tylko za obowiązek codziennie odwiedzać żonę, ażeby świat i ludzie wiedzieli, iż stosunki pomiędzy nimi zerwane nie są. Drugiego też dnia po opisanej bytności u pani pisarzowej stawił się o swej godzinie Podskarbic, jak zwykle wyświeżony, upudrowany, odmłodzony o tyle, ile sztuka ówczesna obrzydliwą ruinę uczynić mogła śmieszną.

W salonie zastał tylko starą Łowczynę, która zdawała się na niego oczekiwać. Bronisz, także, który towarzyszył pani do Warszawy, znalazł się zaraz wychodząc z drugiego pokoju.

Pani trochę zajęta, ale wprędce służyć będzie, odezwała się stara rezydentka, dygnęła i odeszła. Marszałek dworu został sam z Podskarbicem, jak gdyby dla dotrzymania mu towarzystwa. Podskarbic wszakże wielce dumny, nie myślał się z nim wdawać w rozmowę, zwłaszcza,, iż go antypatycznie cierpieć nie mógł. Bronisz mimo to, pociągając pasa i zacierając czupryny, stał i chrząkał, pozywając do rozmowy i świadcząc, że"do niej był gotowy.

— Jaśnie wielmożna pani — rzeki w końcu pocichu od wczorajszego dnia wielce wzruszona!

— Hm? wzruszona, wzruszona? — spytał nie patrząc na niego Podskarbic który wygodnie się w fotelu wyciągał i na nogi miał wzrok zwrócony, znajdując, że się na jego wiek wcale pięknie prezentowały. — Wzruszona? Cóż? doktorzy nastraszyli...

— Nie... ale taki dziwny wypadek...

— Wypadek? jakiż wypadek? mieliście wypadek... To pewno z końmi — obojętnie począł Podskarbic, a któż widział wiejskie konie płochliwe brać do miasta...

— Nie z końmi był wypadek ale...

— No, to cóż? dla czego waćpan mówisz tak półgębkiem... czy to ja baba jestem?

— Całą gębą nie śmiem — rzekł Bronisz...

Ton, jakim te wyrazy były wypowiedziane, uderzył pana Podskarbica; podniósł oczy, Bronisz miał minę drwiącą; to go oburzyło. Groźno spojrzał nań.

— Mów waćpan, a nie zapominaj, że jesteś sługą.

—Przepraszam J. W. pana, jestem sługą, lecz tylko mojej pani...

— Idźże przecz! za drzwi! — zawołał ręką wskazując mu wyjście Podskarbic — rozumiesz?

— Pani mi tu stać kazała.

— No, to chyba życzy sobie, ażebym ja stąd poszedł i uwolnił ją od moich odwiedzin.

— A! bynajmniej, bynamniej -począł Bronisz - bo nawet dziś ma bardzo ważny interes do J. W. pana...

Podskarbic popatrzył nań.

-- Uczyńże mi tę łaskę — odezwał się ironicznie — i racz mi powiedzieć jasno, do czego krętemi tak idziesz drogami?

— Wypadek w istocie osobliwszy — rzekł Bronisz pozornie bardzo obojętnym tonem. — Kilkanaście lat temu, pani raz na drodze pod Krakowem spotkała chłopaka, tak nadzwyczaj podobnego...

— Słyszałem o tern! słyszałem! — gwałtownie wybuchnął Podskarbic — cóż dalej? co za związek...

— Otóż to właśnie wczoraj w Warszawie u pani pisarzowej znowu przypadkiem osobliwym się z nim zjechała...

Podskarbic pobladł, buta go zupełnie opuściła, począł się oglądać dokoła, jakby szukał drogi do ucieczki, a udał, że się uśmiecha...

— I cóż tedy? spytał jąkając się.

— Proszę J. W. pana, tak osobliwego podobieństwa, jak tego chłopca do nieboszczyka wojewody, wystawić sobie trudno... W dodatku to znamię pod uchem, które miał wojewoda i które zmarły zawcześnie synek wziął po nim.

Podskarbic szukał krzesła i osunął się na nie.

— To się trafia... hm... — począł niewyraźnie — może naturalne dziecię jego... Wszystko być może..

Zapewne, że to być mogło — odparł Bronisz, ale za pierwszem spotkaniem, gdy się zrobiła ja-

kaś wątpliwość o to dziecię, bo i wiek jego dziwnie się schodzi ze zmarłym synkiem J. W. pani, przyznaję się J. W. panu, gdyśmy powrócili do domu, czy się co nie stało... bez wiedzy państwa., jakaś niegodziwość, że poszedłem z proboszczem do grobu i zrewidował trumienkę Jasia... a w niej, jak świadczy... ot ten protokół, znalazły się tylko kamienie... Siad to więc zbrodni..

Podskarbic siedział ale tknięty paraliżem i bez mowy. Oczy miał obrócone wsłup, połowa twarzy nie poruszała się wcale, pół ciała było bez władzy. Bronisz spostrzegł to i krzyknął o ratunek. Lęliwie się natychmiast zbiegli, konnego wyprawiono w cwał po lekarza. Nadeszła pani Łowczyna, cały dwór, natychmiast dobyto, co było flaszek, kordiałów, smarowan w apteczce podróżnej. Wszystkie środki jednak okazały się bezskutecznymi. . Przybyły w pół godziny Lafontaine i Ertel natychmiast krew obficie puścić kazali i chorego na łóżko przenieśli. Uderzenie było wprawdzie bardzo silne, lecz życiu na ten raz jeszcze nie zdawało się zagrażać, można się nawet spodziewać było, że mowę i władzę zwolna odzyskać potrafi.

Wypadek ten niespodziany, którego przyczyny Bronisz przed nikim wyjawić nie potrzebował, powstrzymał naturalnie- wykonanie wszystkich projektów ex=wojewodziny i wyjazd jej do wód. Musiała czekać wyzdrowienia męża.

Część mieszkania odstąpiwszy dla niego, gdyż chory przenoszonym być nie mógł w tym stanie w jakim się znajdował, część jeszcze oddała Janowi, którego przy sobie mieć chciała koniecznie.

Powrót do zdrowia pana Podskarbica był bardzo powolny, a nawet z wracającą mową i wła=dzą, przy osłabieniu jego, niebezpiecznem było o przedmiot drażliwy w rozmowie zaczepić. Śam wreszcie chory zażądał widzieć się, z żoną i prosił, aby się Łowczyna, przybyła z nią, oddaliła.

— Pozwolisz mi kilka słów powiedzieć w bardzo ważnym przedmiocie — odezwał się obłąkanemi oczyma rzucając dokoła. — Słyszałem, że pani znalazłaś dzieko... chłopca... bardzo podobnego do nieboszczyka wojewody, którebyś zapewne sobie życzyła... adoptować.

Otóż jeśli w istocie masz tę myśl, ponieważ nie mamy własnych dzieci, chciałem uprzedzić, że ja... że co się tyczy mnie, zgadzam się na nią i wspólnie z panią chłopca tego adoptować będę.

Ex-wojewodzina, która się wcale nie spodziewa tak łatwego i szczęśliwego rozwiązania, zdumiona, ze łzami w oczach odpowiedziała:

—Niech ci Bóg to zapłaci.

— Nie ma za co — krzywiąc usta rzekł chory — jeden tylko stawię warunek: ażebym w ten sposób... raz... dając dowód bezinteresowności dobrej woli, od głupich podejrzeń był wolny.

Chwilę głosu mu zabrakło.

—’ Ja tam nie wiem nic, może być, że głupia gorliwość sług, że tam jakaś intryga, że tam coś było, ale ja o tern nie wiem... ja nie wiem, ja nie mogłem wiedzieć. Pani to sama miarkujesz... iż mąż waćpani, że potomek takiego rodu i domu...

nie mógł w takie brudy rąk umaczać... to oczywista...

— Ale bądź spokojny — przerwała ex=wojewodzina — nie mam najmniejszego podejrzenia., wszystko okryte jest największą tajemnicą.

— A żeby ten głupi Bronisz, imaginatyk, bo to człowiek bez mózgu, przywiduje mu się nie wiedzieć co! żeby nie plótł andronów, zamalować mu tę gębę... ho to gęba paskudna...

— Bronisz stary sługa domu i pewnie nic., coby nas pokrzywdzić mogło, rozgłaszać nie będzie...

— Dać mu tam na dzierżawę, czy dożywocie, czy tam co... a niech nie bluzga, niech milczy... — dodał Podskarbic człowiek — niespokojny, gotów grzebać się w grobach. Co to jest! co to jest!

Widząc go mocno wzruszonym, ex-wojewodzina starała się ukoić.

— Proszę cię, nie myśl już o tern...

— Nie będę myślał, każ pani akt urzędowy sporządzić, i niech go król J. Mość potwierdzi... Wszak to wiele czasu nie zabierze, żebym raz mógł być spokojnym, bardzo proszę.

Rozmowa była skończona; żona wstała i pocałowawszy go w ramię, nie mówiąc słowa odeszła. Tejże chwili wystano do prawnika, aby akt sporządził, a ex-wojewodzina kartą oznajmiła pani pisarzowej o swem szczęściu.

Wypowiedzenie tych kilku słów, które nosił znać długo na sumieniu, to tyle uspokoiło chorego, że gdy po południu po raz już piąty czy szósty zameldowano mu odwiedziny hrabiny Estelli, której wprzódy nie przyjmował, kazał ją do siebie wpuścić.

Dawna przyjaciółka, która zjeżdżała tyłko dla ceremonii i grzeczności, a nie spodziewała się wcale tej łaski, gdy jej zapowiedziano, że Podskarbic prosi, zdziwiła się, a nawet skrzywiła trochę, lecz musiała wysiąść. Nie lubiła ona ani widoku nie-” boszczyków, ani chorych, obawiając się równie śmierci i choroby. Była też, najpewniejszą, że paraliż może być zaraźliwy, i dla bezpieczeństwa chustką zlaną woniami osłoniła usta....

Podskarbic siedział ubrany na łużku, tylko miasto peruki na głowie, miał biały czepek związany zieloną szeroką wstążką, który go czynił podobniejszem do starej baby, niż do chorego mężczyzny.

— No, widzisz kochana hrabino? odezwał się słabym głosem — co się ze mną stało? — Czy ja jeszcze przyjdę do siebie tak, żebym mógł zjeść śniadanie z kasztelanem?

Rozśmiała się, hrabina zbladła, nie śmiała się odezwać, kasztelan bowiem przed tygodniem zjadł ostatnie śniadanie.

— Ale to przejdzie! — rzekła hrabina — nie wyglądasz nawet tak bardzo źle; tylko się nie trwóż lada czem.

— Wiesz —szepnął, schylając się ku niej — kuso było ,bardzo kuso mnie... Musiałem adoptować!

— Kogo?

— Hm... tego wiesz... Znaleźli bestye... nie było sposbu.. chodzili po świadectwo na mnie do trumny...

— To okropne...

— Tak, to okropne —westchnął Podskarbic, ale to tak głupi świat; ludziom jak ja nigdy się nie szczęści, nadto byłem dobry!...

Znać, najmocniejsze miał przekonanie, iż prawdę powiedział, potwierdził ją bowiem jeszcze jednem westchnieniem.

Ale mniejsza o to -dodał —niech sobie już tak będzie; dzieci nie mam, niech go adoptują, co mi tam. Ja sobie wrócę do Krakowa, pensyę mi dać muszą.

— Ty zostaniesz u nas w Warszawie - rzekła hrabina.

—A któż tam bank ciągnie? — spytał żałośnie.

— I, bez ciebie gry prawie nie ma — pocieszać zaczęła przyjaciółka — bardzo mała...

— Mnie się zdaje, że ja za tydzień będę mógł! tylko mi ręka czasem drętwieje... ale to brak ruchu — rzekł Podskarbic — to przejdzie.

— To musi przejść! - pospiesznie dodała hrabina, która wcale nie wierzyła, żeby bank już kiedy mógł ciągnąć jej przyjaciel i pragnęła tylko co najprędzej wynieść się z zatęchłej izdebki chorego. On zaś chciał ją zatrzymać, aby się uskarżyć i wyżebrać nieco pociechy.

— Im prędzej radbyś wstać i być zdrowym, tern teraz powinieneś się więcej szanować. Nie męcz się rozmową, słuchaj doktra, nie gryź tym wypadkiem, bo to już nic nie pomoże, a wszystko będzie dobrze.

Biedny pan Podskarbic uśmiechnął się.

— Chciałbym jeszcze pożyć trochę—rzekł cicho — jeszcze mi się nie chce umierać.

— Ale któż tam o tak brzydkich mówi rzeczach ! — zaśmiała się hrabina. Do widzienia! jlo widzienia!

I wysunęła się jak mogła najprędzej, zatykając nos i usta, żeby się paraliżem nie zarazić!

Któż opisze tej matki szczęście, opłakiwane odzyskującej dziecię, po tylu latach smutku, który miał chyba z życiem się zakończyć? Jak tylko urzędowy akt adoptacyi został dopełniony, do którego i pan Podskarbic się pisał, zawarowawszy sobie dożywotnią pensyę i swobodę rozporządzenia resztkami swojego mienia na rzecz własnej rodziny... matka zajęła się wyprawą syna, który z imieniem wojewody i matki dziedziczył teraz znaczne dobra, i rnusiał odpowiednio do nowego stanu swego wystąpić.... Dla Leliwy był to jakby sen czarowny; przecierał oczy, aby się przekonać, że to wszystko , co się z niem w niewielu stało godzinach, nie 'było marzeniem i ułudą. Naprzód pobiegł po Brzeskiego,aby ex=wojewodzinie przedstawić, jako swojego opiekuna i człowieka, któremu winien był ocalenie... Nie wiedział zaprawdę, bo mu Brzeski nigdy ze wszystkiego się nie spowiadał, jak dalece był mu dłużnym, i jak choć późna skrucha tego człowieka wpłynęła na dalsze jego losy. Brzeskiego znała dobrze ex-wojewodzina, ale z najgorszej strony, było więc dla niej niepojętem, iż się tak mógł odmienić.

Padł on z płaczem, do nóg jej, a gdy doń wyciągnęła rękę, rzekł tylko głosem stłumionym:

— Pani, nie jestem godzien...

— Niech ci Bóg za mnie zapłaci — zawołała matka — dla nas będziesz, odtąd przyjacielem, wierzycielem naszym, bośmy ci nieskończenie dłużni...

Jankowi wszystkich tych radości nie dosyć było. Wyspowiałał się przed matką, iżby miał na sumieniu gdyby teraz swobodny, nie poszedł przybranej swej macierzy, starej poczciwej Hruzdzinej odwiedzić.

— Ona mi była drugą matką i starań jej, a dobroci nigdy nie zapomnę. Wyrzucałbym sobie niewdzięczność... pozwólcie mi umyślnie pojechać na Prądnik i wziąć od niej błogosławieństwo...

Chociaż ex-wojewodzina jednej chwili nie chciała teraż stracić i zazdrosną była o to dziecko, tak, że mu się prawie oddalić na chwilę nie pozwalała, musiała się zgodzić na usilną prośbę, od siebie dodając dla staruszki podarki i pamiątki... Gdy nadeszła chwila wyjazdu, zaczęła się niepokoić, nie pozwoliła Janowi jechać samemu, prosiła Brzeskiego, aby mu towarzyszył. Dobrano konie i służbę, a wybór w drogę chłopca, ¿co do pieszczot nie nawykł wcale, prawie go zawstydził... Na samem wyjezdnem dopiero wśród tego zamętu, przypominał sobie, iż p. pisarzowę i Ewunię trochę zaniedbał... Pobiegł więc tam jeszcze, w porę zaprawdę, bo dziewczę znowu było we łzach. Teraz się ono więcej trwożyło o swego Janka, niż gdy był ubogim, i szeptała rzucając się na szyję siostrom:

— Jakże on teraz może chcieć mnie kochać i myśleć kiedy ze mną ożenić! O niego najpiękniejsze starać się będą. On już Ewuni nie zechce...

Pisarzowa, choć nigdy nic nie wiedziała, choć o niczem wiedzieć jej nie wypadało, nie była też bez obawy o przyszłość.Nie mogła wszakże żadnego uczynić kroku, trzeba było sprawę opatrzności polecić. Gdy w progu teraz pokazał się Janek w nowych sukniach, z blaskiem na twarzy, jaki szczęście daje, rozjaśniło się oblicze pisarzowej, i w pierwszym wybuchu radości uścisnęła go jak syna... Janek schylił się do kolan... Ludwika,która była w salonie, strzałą pobiegła po Ewunię.

— Choćże, choć — zawołała — narzeczony twój przyszedł.

— Cóż ty pleciesz! — rumieniąc się ze wstydu i wesoło, odparła Ewunia — pewno Janek? Ale ja tak zaraz biedź sama do niego nie mogę; chodźmy pomalutku (tylko prędko) wszystkie razem.

Z tego pomalutku, tylko prędko, naśmiały się siostry i weszły śmiejąc się jeszcze do sali. Janek przerwał rozmowę, spiesząc na powitanie Ewuni... Przyniósł był z sobą wprawdzie aż trzy bukiety od matki dla panien pisarzówien, jednak bukiet Ewuni był jakiś odmienny. Opasywały go gęste, niezapominajki, za niemi szły kwiatki myśli... a w środku śmiały się róże. Język kwiatów nie dzisiejszym jest wynalazkiem.Ewa patrząc mu w oczy,figlarnie odebrała swój bukiet, który rozpoczął rozmowę. Siostry jakoś znalazły coś niesłychanie pilnego i ustąpiły, matka także była niezmiernie zajętą, mogli kilka słów do siebie przemówić bez przeszkody.

— A widzisz pan — szepnęła Ewa — że miałam słuszność bronić panu księdzem zostać; piękneby to teraz było...

— Mógłżem na taki cud rachować?

— Człowiek tylko na cuda i na Boga liczyć może z pewnością — odezwała się Ewunia rezolutnie — na inne swoje plany, nigdy...

— A na serca? — spytał Janek.

— Jak jakie — mówiła Ewa — na serce siostry zawsze.

Janek w rękę pocałował, i nikt tego nie postrzegł, jak się ręce ścisnęły.

— Ja jadę do Krakowa, ale wracam za dni kilka...

— Do Krakowa? a toż po co?

— Podzielić się mojem szczęściem z tą, która się ze mną, gdym był biedny sierota, swojem dzieliła ubóstwem, z poczciwą dobrą wieśniaczką, która mnie wychowała.

-- A! jedź pan jedź! — przerwała z uniesieniem Ewa — wdzięczność taka przynosi błogosławieństwo Boże, a siostraby pragnęła, aby wszystkie niebios łaski i błogosławieństwa na głowę brata spłynęły.

Po krótkiej jeszcze rozmowie, Janek pożegnał panią pisarzowę, oznajmując jej także, że wyjeżdża. Matka ściskając wyprowadziła go na schody ganku, poleciła Brzeskiemu, ludziom, i powóz raźną zaprzężony czwórką potoczył się ulicami Warszawy. Tegoż dnia pan Podskarbic w lektyce pożyczonej z saskiego pałacu, kazał się przenieść do swojego mieszkania; miał najmocniejszą nadzieję, iż tam wypocznie, a za parę dni u hrabiny Eestelli banczek pociągnie...

Janek, z uczuciem dziwnem zbliżał sięteraz do Krakowa... łzy, mu się kręciły w oczach, miasto tak mu się wydawało dziwnem, tak innem choć tem samem!... Wszystko jakoś zmalało, zbiedniało, opustoszało... a mimo to tak było serdeczne i kochane. Nie mogąc wytrzymać w bryce, wysiadł i pobiegł witając się z kamieniami i ścianami... W rynku jakby wczoraj otwarty handel p. Materskiego pod zieloną wiechą. Stary gdera i złośnik wyprawiał zwykle swe harce z chłopcami i właśnie miał kułak, wedle swego obyczaju, podniesiony do góry, gdy w progu zjawił się Janek.

Któżby w tym paniczu poznał dawnego chłopca... P. Materski podniósł nań oczy i wpatrzył się nie mogąc zrozumieć, co to za dziwne widmo stało przed nim.

— Jakto, pan mnie nie poznajesz?

— A — a — nie poznaję, bo nie znam... — zawołał Materski.

— Mnie, mnie waćpan nie znasz? — rozśmiał się Janek., poskakując do kątka, w którym był zwykł siadywać, i zajmując dawne miejsce.— No? a teraz?

— Juścić nie Janek...

— A Janek! panie Materski, tylko odnowiony! — krzyknął rzucając mu się na szyję chłopak...

— Tak, tak — dodał Brzeski z progu, bo szedł za nim i na krok go odstąpić nie chciał. — P. Jan Leliwa... syn pani ex=wojewodzinej.

— Jaki syn?... co za bałamuctwa...

— Bajki żywe, we śnie dodał Brzeski. — Daj lampkę miodu, to ci powiem wszystko..,..

¡^adbiegła i pani Materska, wszyscy goście w handlu skupili się w około Jana, bo już tam coś słyszeli o dziwnej historyi... wrzawa się stała wielka, a Janek uścisnąwszy Materskiego, skorzystał z zabałamucenia Brzeskiego i drapnął...

Była może godzina druga z południa... o furkę nietrudno, rzucił się na piewszą lepszą, od Prądnika... A! i ta droga 1 ta droga... usiana była pamiątnikami. Wysiadł pomodlić się pod figurą, niedaleko której spotkał wojewodzinę... Chłop, co go wiózł, nie mógł naprawdę zrozumieć panicza, i dla czego mu tak było pilno, że po‘ tynfie ciągle nagląc pospiech narzucał. Wreszcie pokazała się wieś, chata, stara grusza, podwórko i stajnia, której żuraw zgięty służył dotąd jeszcze. Janek wyskoczył, z wozu, zapłacił furę i odprawił.

Przed chatą było pusto zupełnie, pług wpra= dzie leżał niedawno używany i brona, ale koło stajni i domu żywej duszy. W sieni dwie kury drzwi, w środku małe okienko słabo oświecało izdebkę. Dopiero po chwili, gdy się oczy oswoiły, dostrzegł na ławie siedzącą staruszkę, która trzymała kądziel i drzemiąc niby przędła. Wrzeciono leżało na ziemi, palce jej jednak nie istnejącą nić ciągnęły pracowicie... Była to Hruzdzina, ale zestarzała wielce... Oczy źle jej służyły, ręce się trzęsły...

— A kto tam? —spytała ochrypłem głosem.

— Niech Chrystus będzie pochwalony.

— Na wieki. A któż tam?

— Swój, matko, swój, tylko zdaleka.

— Nie dowidzę; mówcie kto taki?

— To ja matko, to ja, po głosie byście może powinni poznać Janka?

— Janka? jakiego?

— Głupiego Janka, matuniu...

Staruszka się zatrzęsła, ruszyła, kądziel padła na ziemię... — O Chrystusie Zbawicielu, a czyż to być może!...

Janek się już rzucił całując pergaminowe ręce staruszki. — Tak, ja to jestem.

— O! mój Boże! skądże ty? a jam cię opłakała? a to ty żyjesz jeszcze?

— Zyję, zdrów jestem i szczęśliwy, dużo mówić o tern... Umyślnie do was przyjechałem, matko...

- Zkąd?

— Z Warszawy...

— A! czyż być może! toś ty o starej pamiętał!

— Zaczęła płakać, bo starość i smutek i wesele opłakać musi... Chwyciła go za głowę i poczęła całować... Oczy niewiele jej' służyły, więc rękami chciała zobaczyć, jak też ten Janek wyglądał; poczuła suknie cienkie i włosy jedwabne i zapach paniczowski od niego...

— Dziecko? cóż się z tobą dzieje? mów...

— Nic, matuniu: naprzód wy mi powiecie, co u was. Gdzież wasz...

Hrudzina spuściła głowę i łzę otarła:

— Pochowali go łońskiego roku...

— A któż gospodarzy?

— Siostry, córka i jej mąż... ale oni na polu...

— I jakże wam z nimi?

Pokiwała głową.

— Po ludzku., ni źle ni dobrze, starzy wszędzie ciężarem...

— A gdybym ci domek zbudował i sługę przy» jął....

— Daj ty mi pokój... ja mojej chaty nie opuszczę, choćby dla pałacu, tu już głowę położę...

Gdy Janek rozpowiadać począł o sobie, a rozwinął dary od matki i gościńce od siebie, Hruzdzina uszom i rękom wierzyć nie chciała. Właśnie na to nadeszli z pola młodzi i parobek, i cisnęło się to wszytko słuchać a dziwować i przyjmować woje» wodzica. Ba w pół godziny wioska niemal cała stała w progu, sieniach i na podwórku, tak że Janek do jutra żegnając Hrudzinę rnusiał uciekać od ciżby, najął znowu wózek i nazad do Krakowa ruszył.

Wrócił Janek na Prądnik powtórnie i zastał tam nazajutrz całą niemal gromadę oczekującą na niego, pragnącą zobaczyć tego, co z chłopskiej sukmańki wyrósł nad senatorskie dziecię. Odżyła nawet nieco stara Hrudzina, bawiąc się prawie po dziecinnemu goćcińcami przywiezionymi jej przez Janka. Wszystko to porozkładane leżało w izbie na podziw przybywającym, a stara płakała i błogosławiła wdzięcznego wychowańca. Namówić ją jednak na nowy domek, na wygodniejsze życie i mieszkanie nie było podobna. Rodzina tej najuroczyści przyrzekła, że jej na niczem w świecie zbywać nie będzie, że wszyscy się na posługi staruszki poświęcą. Janek ukląkł żegnając ją wreszcie, i pobłogosławiony drżącemi rękami, wzruszony i smutny odjechał, sprawiwszy jeszcze uroczyste

nabożeństwo za duszę Hruzdy, choć go nieboszczyk za życia nieraz drapieżnie wytuzał nie wiedzieć za co. Dla czego dziś i to podwórko wiejskie i ten ciężki pług i stajenka uboga wszystkie wspomnienia nędzy tyle dlań miały wdzięku? We dworze zapóźno dowiedziano się o przybyciu tego zbiega, i panicz, towarzysz zabaw Janka, sumitował mu się pokornie, przypominając dawnej znajomości, a polecając protekcyi. Chcieli nawet dowodzić, że gdyby nie owa czupryna, nie owa groźba chłosty i nie wszystkie wypadki, które do ucieczki zmusiły, kto wie, czyby Janek został kiedy wojewodzicem? Zatem należała pewna wdzięczność posiadaczowi czupryny... Janek uścisnął się serdecznie z dawnym znajomym i odjechał do Krakowa. Tu go czekali inni znajomi, przyjaciele, towarzysze, bo w szczęściu niby na nich nie zbywa. Za biedą nikt nie goni, bojąc się, ażeby nie była zaraźliwą.

Tu czekali nań państwo Materscy, którzy teraz jeszcze go mocniej kochali; przyszła stara Maciejowa ze łzami przypominać mu, jak kuchnię poczciwie i pokornie zamiatał; stawił się przezacny Bramiński, który niestety, mało miał już nadziei, ażeby został kiedy profesorem uniwersytetu, i przyjął obowiązki bibliotekarza przy bibliotece, której jeszcze nie było. Nawet pani Salomonowa chciała koniecznie zaprosić na obiadek panicza, który o mały włos nie został dozorcą jej dzieci, ledwie się pan Jan wymówić od tego potrafił, bo mu już czasu nie stawało.... Z uczuciem wielkiem odwiedził tylko grób kanonika na cmen-

tarzu, i kamienicę Brzeskich, i ową izdebkę na strychu, w której się przemęczył nad książkami słuchając, czy miotła Maciejowej nie da mu znać, by jej posłużył około drewek i wody.

List matki, która umyślnym posłańcem dopominała się gwałtownie jak najprędszego powrotu, przyspieszył wyjazd z Krakowa. Wojewodzina niepokoiła się już o syna, o pobyt jego, o zdrowie, o znużenie, tęskniła za nim, nęciła go, aby do niej pospieszał. Trzeba więc było rzucić to gniazdo wspomnień i jechać do Warszawy.

Czule go powitano tutaj, jakby nie parę tygodni, ale lata całe nie widziano go. Przez czas niebytności Jana, matka nim żyjąc i myśląc tylko o nim, z pomocą poczciwego Bronisza, który jej w tern dzielnie dopomagał, dopełniała wyprawę zrobiąną na prędce, chciała bowiem, ażeby syn jej mógł wystąpić, jak na potomka rodziny możnej przystało. Zdawało się sercu jej, że długo pozbawiony wszystkiego, *co* życie w młodości uprzyjemnić może, Janek będzie szczęśliwy z tego zbytku i świetności, z tych pieszczonych wygódek, które go otoczą; spostrzegła nierychło z podziwieniem, że chłopak z wdzięcznością przyjmując te dowody jej troskliwości, prawie był niemi zakłopotany. Liczna służba, konie, powozy stanowiły dlań raczej ciężar i niewolę, niż przyjemność; nie widać było radości z tego, ale zakłopotanie, rumieniec wytryskał na twarz, a uprzedzając zabiegi Bronisza płacił uściskami i prośbą, aby się tak bardzo nie trudził.

— Wierz mi, drogi panie — rzekł mu jednego dnia — że ja doprawdy jeszcze tern wszystkiem cieszyć się nie umiem; woiałbym książki stare i spokojny kącik, w którybym jeszcze się uczył.

Na to wojewodzina i Bronisz uśmiechali się jak na dowód dziecinnych gustów wojewodzica, nie mogąc pojąć, aby tak po odzierane i szpetnie wyglądające szpargały, które zbierał, mogły mieć jakąś wartość i sprawić komuś przyjemność.

— Niech pan tych rupieci tu w Warszawie nie kupuje — rzeki w końcu Bronisz — bo u nas tego po strychach do licha się wala, i szczury to tylko jedzą, a jak zbierzemy, co jest w rezydencyi i podworach i u oficyalistów, będzie tego na kilka pokoi od góry do dołu....

Z rozmów z synem przekonawszy się o jego pragnieniu nauki i widzenia świata, pani wojewodzina aż z bólem serca przystawała na myśl podróży do Włoch, Fracyi i Anglii, odkładała ją tylko coraz do dalszego jakiegoś terminu, bo rozstać się z synem było trudno. Jedna tylko okoliczność jeszcze przemawiała za tą podróżą. Oko matki dostrzegło łatwo, iż między Janem a córkami pani pisarzowej częstszy jakiś zawiązywał się stosunek... Ale Jaś wydawał się tak młody, dwie pisarzówny prawie dlań były już starsze, niż sobie życzyła. Ewunia zaś choć tak dobra, miła i piękna, była nieco ułomną i chorowitą,! siatka myślała w duchu, że syn jej łatwo, sobie świetniejszą jeszcze partyę wyszuka. Gdyby Jan żądał koniecznie, nie byłaby mu stawiła przeszkód, ale pragnęła może, ażeby się to rozchwiało. Podróż po Europie była

najlepszym sposobem, najmniej widocznym, a najskuteczniejszem na te amory lekarstwem. Więc choć sercem wstrzymać pragnęła Janka, rozumem wyprawić go co prędzej starała się, szukając tylko kogoś, komuby jego niedoświadczenie powierzyć mogła. Zdziwił się Jan nieco, gdy zrazu zwlekana podróż, nagle potem zaczęła być przedmiotem codziennych rozmów, i zjawił się bardzo przyzwoity człowiek, mający mu towarzyszyć.

Janek, który tymczasem prawie codziennie bywał u pani pisarzowej, zbliżając się do Ewy, mniej znowu do wyjazdu miał ochoty. Ewa się jej obawiała i szeptała pocichu: „Może my kiedyś razem pojedziemyl” Ważył się więc ten wyjazd, tłumaczony trochę filuternie chęcią pozostania przy matce. Ale pora użycia wód karlsbadzkich mijała, ex=wojewodzina nie wybierała się już w tym roku, czując się lepiej bo ją odzyskanie syna uzdrowiło. Natomiast mowa była coraz częstszą o powrocie na wieś, do której ciszy i życia tylu latami przywykła. Z panią pisarzową wcale o dzieciach mowy nie było. Gdy wreszcie coś nadal postanowić było potrzeba i albo razem wracać w Krakowskie, lub Jana za granicę wyprawiwszy, samej do domu odjechać, jednego ranka wszedł syn do pokoju ex=wojewódziny i ucałowawszy jej kolana dał do zrozumienia, trochę się rumieniąc i mieszając, że mą z nią o czemś ważniejszem do pomówienia.

Domyślić się było łatwo.

— Moje drogie dziecko — odezwała śię, w głowę go całując, wojewodzina — po cóż te wstępy i ce-

remonie ze mną?^Wiesz, że dla ciebie serce moje otwarte, że każdą myśl twą i pragnienie powierzyć mi’ możesz... Bądź szczery, mów, co ci na myśl przyjdzie.

—A!— matko kochana — odezwał się Jan, biorąc drżącą jej rękę — boję się okazać dziecin» nym i zuchwałym razem... Wypadek zapoznał mnie z domem pisarzowej, gdym był jeszcze ubogim i sierotą. Oni mnie wówczas nie odpychali. Przywiązałem się do Ewy, ona do mnie. Wiem, że jestem za młody, że nie czas mi myśleć o żenieniu, lecz niech mi wolno będzie zapewnić ją, że jej wiernym zostanę, niech moje słowo powtórzą usta matki, aby się stało uroczystszem, a ja cierpliwie czekać będę.

— Wojewodzina milczała chwilę; błagające wejrzenie dziecka ją rozbroiło.

— Cóż ja mogę mieć przeciwko temu, gdy serce twe ją wybrało? — rzekła — Ewa miła i dobra, rodzina zacna: straszy mnie jej zdrowie, chciałabym dla ciebie szczęścia... Jeśli go gdzie indziej nie widzisz...

— Nie pojmuję, bym go mógł szukać gdzie indziej — rzekł Jan. — Ona dla mnie jedyną siostrą, narzeczoną, przyjacielem, wszystkiem; czuię, że bez niej żyć bym nie potrafił.

Wojewodzina położyła mu rękę na ramieniu.

— Mój Jasiu — rzekła — to dosyć, ja się nie sprzeciwię; powinieneś towarzyszkę życia sam sobie wybrać. Niech Bóg błogosławi, ale podróż wprzódy i rok cierpliwości.

Jan schylił się do kolan... Wieczorem tegoż dnia pojechali do pisarzowej, a matka wiozła

pieśrcionek, który na palec przyszłej córce z błogosławieństwem włożyła... i w kilka dni potem Janek z Mentorem za granicę wyjechał.

Moglibyśmy na tern zakończyć opowiadanie nasze, gdyby los pana Podskarbica, o którego może się zakłopotać czytelnik, nie domagał się epilogu. Zgon jego był też tak orginalnym i nagłym, że mu się choć wzmianka należy.

Chociaż wszystko się tak jakoś złożyło, iż adoptowanie Janka nie dozwalało się domyślać prawdziwych aktu tego powodu, rozpowiadano bowiem ze strony Podskarbica, iż on się oddawna losem młodzieńca zajmował że, go sam przysposabiał na swego spadkobiercę, a wojewodzina... przyjaciółka Podskarbica, hrabina Estella, zbyt lubiła opowiadać na ucho skandaliczne historyjki, ażeby się przed swymi serdecznymi przyjaciółmi i z *tą* wygadać nie miała pod największym sekretem. Wiadomo jak tego rodzaju największe sekreta się dotrzymują, gdy treść ich jest drażliwa i osobliwa; każdy się tym przysmakiem dzieli ze swoimi. Hrabinie Estelli zdawało się, iż opowiadanie przeszłości Podskarbicowi już dziś, gdy ona zosała naprawioną, wcale szkodzić nie mogło. Wyszeptała więc, co z ust samego Podskarbica o tern słyszała, swym pouiałym; poszło to w świat od nich, wprawdzie nie jako rzecz zupełnie pewna, lecz jako nader prawdopodobna. Słuchajcie tego opowiadania i powtarzając je ludzie zwykle dodawali:

— Czy to tak było, czy nieco inaczej, coś w tem prawdy być musi bo się takich rzeczy z paka nie wysysa a kiedy gadają, coś już musi być.

Na tern tle tedy snuto i haftowano mnogie waryanty czynów Podskarbica, życia jego i pożycia.

On tymczasem, odzyskawszy władzę w rękach, spokojnie ciągnął banczek u hrabiny Estelli z zadowolnieniem ogóinem. Trafiło się jednego razu, że gra była znaczna, a stawiający przeciwko bankowi pan kasztelan nowo kreowany, namiętnie się zapalał. Był to Dorobkiewicz, któremu szło o to, żeby się pokazał panem, i który tak dokazywał, iż krótko bardzo miał nim pozostać. Nieszczęściło mu się, a nie umiał faire bonne mine a mauvais jeu. W chwili, gdy przegrawszy pięć tysięcy czerwonych złotych, ostatni tysiąc miał stracić, karta padła nieszczęśliwa, kasztelan kartami rzucił o stół.

— Niech cię kaci porwą, greku jakiś! — zawołał. —Samem winien, bo któż gra z takimi rozbójnikami.

— Mości panie! — zawołał Podskarbic.

— Milczałbyś, stary djable — dodał przegrywający — Znają cię ludzie! — Kto na niewinnego dziecka czyhał życie, ten się na cudzy grosz zastawić sideł nie waha...

— Mości panie — ryknął Podskarbic, któremu oczy z pod powiek o mało nie wyskoczyły — mości panie, waćpan mi za to odpowiesz!

— Milczże ty stary trupie! Znają cię wszyscy, i ten szanowny dom, w którym uprawiasz swe rzemiosło... rzezimieszek jesteś i kwita.

Podskarbic chciał się podnieść i zamierzył rzucić kartami w twarz przeciwnika, gdy ten uprzedzając go cisnął mu w oczy całą talią.

Podskarbic obalił się na poręcz krzesła. Zamęt stał się wielki, przyskoczono, by ich rozjąć, wpadła hrabina Estella, nadbiegli dalsi widzowie sceny. Podskarbic się nie ruszył... Tknięty został paraliżem powtórnie i śmiertelnie, i oddał ducha, nie=wiadomo komu.

Nazajutrz rozpowiadano, że przy grze było gorąco, okno otwarte, i że Podskarbica tak fatalnie zawiało... Przyczynę śmierci utajono dla honoru familii, a ciało nieboszczyka wywieziono pocichu na wieś do rodzinnych grobów, gdzie złożone zostało...

Hrabina Estella, po utracie przyjaciela, wyjechała wprędce na dewocyę do Lwowa i cała się poświęciła praktykom religijnym, prawdziwie budującym, łącząc do nich nadzwyczajną gorliwość w prześladowaniu tych, którzy jej dorównać nie mogli. Lat kilka jeszcze żyła, otoczona czcią i szacunkiem powszechnym, a mowa pogrzebowa, którą wydrukowano po jej zgonie, świadczy po dziś dzień o cnotach, choć późno, ale do wysokiej doskonałości przez nią doprowadzonych.

KONIEC.